JAK KRĘCONO SZCZĘKI

reporter na bazarach

A KIEDY KSIĘŻYCOWA PEŁNIA

ODGŁOSY

ROK XIX, NR 37 (979) 9 WRZEŚNIA 1976 r. CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PROBLEMY

JAN BĄBIŃSKI

POWRÓT, DO OBCOŚCI

— Niemcy powracający z Polski potrzebują naszej pomocy — pisze grafina Marion von Dönhoff na łamach hamburskiego „Zeit-Magazin". — Co za los spotyka tych ludzi. Są obcymi pośród Niemców. Kiedy przebywali tam, po drugiej stronie granicy, marzyli o powrocie do swoich w Bundesrepublice. Teraz, gdy są wśród nas, czują się jak w getcie, tęsknią z powrotem do Pomorza, Śląska, do Prus Wschodnich. Wielu z nich złożyło podania, chcą wracać skąd przyjechali...

W tymże czasopiśmie i w tym samym kwietniowym numerze ukazał się reportaż Michaela Holzacha. Reportaż nosi znamienny nagłówek — „Heimkehr in die Fremde", powrót do obcości. Właściwie Heimkehr oznacza powrót do domu, na łono ojczyzny, więc trzeba by ten tytuł przełożyć jako powrót do domu, który okazał się obcy. Otóż to, Holzach dobrze wiedział co miał na myśli. Jeździł, sondował, prowadził rozmowy, beznamiętnie obserwował i z materiału, który zebrał, zrodził się reportaż, którego treść, być może, będzie zaskoczeniem dla niejednego, też polskiego, czytelnika. Nie wszystko złoto co się świeci, tak, tak, daleko nie wszystko.

Holzach pisze:

— Minął zaledwie jeden dzień od wyjazdu z Bytomia i Roszok uwierzył, że stał się innym człowiekiem. Gdy „Ost-West Expres" przejechał 13 marca o 2-ej nad ranem granicę w Helmstadt, Roszok miał już na imię Heinz zamiast Henryk, urodził się w Gleiwitz a nie w Gliwicach. Zamiast czuć się Polakiem, poczuł się stuprocentowym Niemcem...

Dla wyjaśnienia dodam, że Roszok wyjechał do Federalnej Republiki Niemiec z całą rodziną. Wraz z nim Polskę opuściła jego żona i dwie córki, Karina i Łucja. Na dworcu w Friedland rodzinny nastrój zapanował radosny. 40-letnia pani Roszok z trudem hamowała łzy radości. Wreszcie jest w „Reichu", nareszcie znalazła się wśród swoich. I wszyscy są tacy przyjaźni. Konduktor w pociągu dodawał odwagi, siostry Czerwonego Krzyża spieszyły z radą i pomocą, urzędnicy w biurze uśmiechali się zachęcająco... i w ogóle. W obozie wypłacono Roszokom 660 marek, wprowadzono do czystego pokoju, w którym stały dwa dwupiętrowe łóżka i poczęstowano darmowym obiadem.

Pani Roszok była wniebowzięta.

— To wszystko przechodzi nasze najśmielsze sny — oświadczyła dziennikarzowi.

Dalszy ciąg na str. 5

REPORTAŻ ZAGRANICZNY

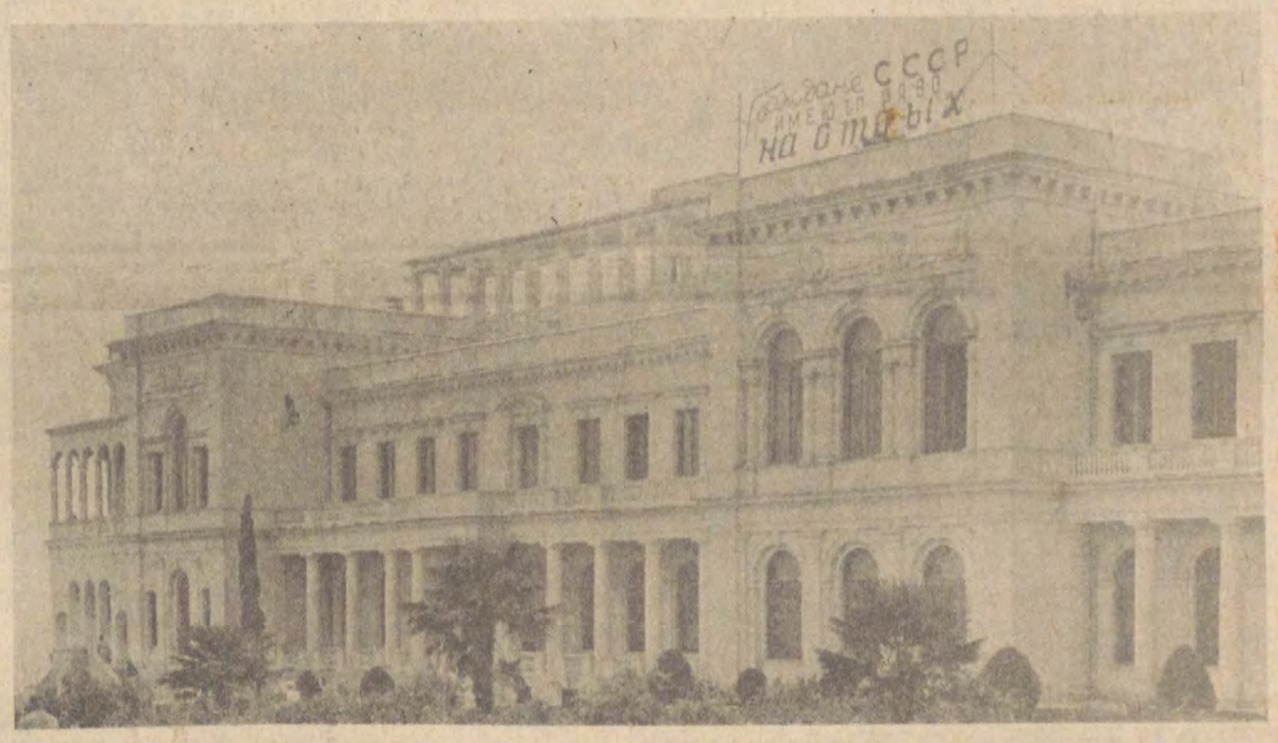

JERZY WAWRZAK

NOTATNIK JAŁTAŃSKI

1.

Współpraca polskich i radzieckich pisarzy nie ogranicza się do oficjalnych kontaktów. Obok przepływu delegacji, wspólnie organizowanych imprez, kontaktów zaprzyjaźnionych środowisk — istnieje tzw. wymiana kulturalna. Umożliwia to wyjazdy do ZSRR za honorarium autorskie, formalnie prywatnie, ale faktycznie pod troskliwą opieką związku pisarzy i Litfondu. Zwalnia to człowieka od przyziemnych kłopotów i mimo że wyjeżdża na urlopowe wytchnienie, przyjmowany jest jak specjalny wysłannik Ministra Kultury. Ale to chyba nie sprawa funkcjonowania systemu wymiany, lecz tradycyjnej rosyjskiej gościnności.

Dalszy ciąg na str. 12

DRUGA ŚWIATOWA

ANDRZEJ BLAJER

NA POŁUDNIE OD RIO GRANDE

Działalność hitlerowskiego wywiadu na zachodniej półkuli nie ograniczała się jedynie do terytorium Stanów Zjednoczonych. Przedstawione poniżej wydarzenia, które notabene przez szesnaście lat były okryte ścisłą tajemnicą, są tego najlepszym przykładem. Chodzi tu bowiem o operację, w której biorący udział specjalni agenci często ryzykując własnym życiem przyczynili się do wykrycia i likwidacji niemieckich siatek szpiegowskich w Środkowej i Południowej Ameryce.

A wszystko zaczęło się jeszcze w 1940 r. kiedy prezydent USA Roosevelt i inni czołowi przedstawiciele jego administracji nagle uświadomili sobie niezwykle niepokojący fakt, mianowicie — obecność hitlerowskich agentur wywiadowczych lokalizujących się od Mexico City aż do Cieśniny Magellana. W tym okresie Ameryka Południowa była dla niemieckich szpiegów wprost wymarzonym terenem, jako że mogli oni stamtąd dość łatwo infiltrować na terytorium Stanów Zjednoczonych. Płynęły więc do Rzeszy informacje dotyczące systemu obronnego i potencjału przemysłowego USA. Zakonspirowane radiostacje niemal bez przerwy nadawały do Hamburga, Kolonii i Brukseli, gdzie znajdowały się hitlerowskie centrale wywiadowcze, długie i szczegółowe raporty o tematyce wojskowej, politycznej oraz ekonomicznej. Wśród licznych informacji wiele dotyczyło praktycznych możliwości podboju przez Niemcy krajów Ameryki Południowej. Jeszcze na długo nim gwiazda Hitlera zaczęła świecić pełnym blaskiem wielu Niemców rokrocznie emigrowało do Południowej Ameryki, zakładając tam kolonie i osiedla. Z czasem stały się one oazami niemieckich obyczajów, języka i kultury. Pod koniec 1930 r. liczbę niemieckich emigrantów i ich potomków żyjących w Brazylii szacowano na 360 tysięcy, w Argentynie mieszkało ich ok. 194 tysięcy, a w Chile — 129 tysięcy. Osadnictwo niemieckie koncentrowało się głównie w stanie Santa Catarina (południowa Brazylia), na terenie okręgu Misiones (północna Argentyna) i regionu Valdivia położonego w południowo-środko-

Dalszy ciąg na str. 6

KOSMONAUTYKA

MIROSŁAW WOJALSKI

ARY STERNFELD W NAŁĘCZOWIE

Wczoraj wróciłem z Nałęczowa po kilku dniach nader owocnego pobytu. Nie odczuwam na razie dolegliwości sercowych, zatem nie troska o własne zdrowie zapędziła mnie do sanatorium w słynnym centrum kardiologicznym.

Do pięknego Nałęczowa nie pociągnęły mnie też ani muzea biograficzne Stefana Żeromskiego i Bolesława Prusa, ani jedyne w Polsce Muzeum Ruchu Spółdzielczego, choć skrupulatnie je zwiedziłem. Ani uroczy park sanatoryjny, choć zachwycił mnie i doceniłem w pełni jego piękno.

Jak magnes ciągnęła mnie nieodparta chęć poznania osobiście tak doskonale mi znanego z literatury i korespondencji „bohatera naszych czasów" — „sternika kosmicznych tras". **Ary Sternfeld** — bo o nim mowa — sieradzanin i łodzianin, a od wielu lat moskwianin z wyboru, przebywa właśnie w Nałęczowie na leczeniu, zaproszony przez Ministra Zdrowia PRL prof. Mariana Śliwińskiego.

Od dawna interesowała mnie postać tego znakomitego uczonego, teoretyka kosmonautyki, tak mocno związanego z Łodzią w latach swojej młodości. Przed wielu, wielu laty wertując mniej znane materiały do dziejów techniki w Łodzi zetknąłem się z postacią Ary Sternfelda. Droga życiowa, którą przebył uczony, silny związek jej początku z Łodzią wzbudziły moje głębokie zainteresowanie i pogłębiam je nadal gromadząc wszystkie dostępne materiały i wiadomości. Uznałem, nie bez słuszności, że nie sposób przepuścić takiej okazji, jaką może być pogłębienie wiedzy o uczonym podczas bezpośredniego prywatnego spotkania. Mogło to nastąpić tym łatwiej, że zostałem przez Ary Sternfelda nie tylko zachęcony do złożenia wizyty, ale i gorąco zaproszony.

Do spotkania przygotowywałem się długo i starannie, sumiennie wertując dostępne mi prace z zakresu kosmonautyki, a przede wszystkim **„Wstęp do Kosmonautyki"**. Chciałem przypomnieć sobie, pogłębić i utrwalić dotychczasową moją skromną wiedzę o problemach podróży kosmicznych, abym mógł zrozumieć fachowe sprawy jakie niewątpliwie, sądziłem, wypłyną w rozmowie i wstyd byłoby nie sprostać im.

Dalszy ciąg na str. 15

TEATR

FANTAZJA POWYŻEJ GWIAZD

4 sierpnia br. telewizyjny Teatr Małych Form wznowił spektal według poematu Michała Lermontowa „Demon" (reż. Konstanty Ciciszwili, w rolach głównych: Jan Englert i Anna Seniuk). Przedstawienie to zbiegło się niemal dokładnie ze 135 rocznicą śmierci autora, jednego z najciekawszych poetów, prozaików i dramatopisarzy rosyjskiego romantyzmu. Kolorowe widowisko telewizyjne, pełne ozdobników w postaci elementów rosyjskiej sztuki sakralnej, orientalnej egzotyki i romantycznego nastroju, odbiera się z przyjemnością, jak sympatyczną baśniową opowiastkę. Ale tutaj zaczyna się całe nieporozumienie. Lermontowski „Demon" nie jest bowiem li tylko romantyczno-baśniową opowiastką. Z tego właśnie względu telewizyjnej adaptacji nie można uznać za udaną. A przecież próba ta miała wszelkie szanse powodzenia, gdyż u jej podstaw leżał utwór o niepospolitym artyzmie, oryginalnej ekspresji i głębokich uniwersalnych treściach.

Gdyby zdołano to nam pokazać, poznalibyśmy Demona innego. Nie byłby on wówczas godnym pożałowania, wykletym duchem, który z braku lepszego zajęcia, powodowany różnymi wątpliwościami (a może bezsennością?), nęka po nocach piękną gruzińską księżniczkę. Lermontowski Demon jest symbolem jednostki głębokiej duchowo, myślącej konsekwentnie i podporządkowanej — o czym nie wolno zapomnieć — wysokim ideałom moralnym. Wyraża on protest przeciwko konformizmowi i hipokryzji, z nieprzeciętną pasją obnaża zło szczególnie niebezpieczne, bo mające pozory dobra. Stanowi bez wątpienia jeden z metaforycznych wzorów szeroko rozumianej postawy rewolucyjnej i jako taki odpowiadać może marzeniom współczesnego człowieka o przeciwstawianiu się miernocie, łatwiźnie i taniemu, beznadziejnie „średniackiemu" działaniu. Zamiast tego prawdziwie lermontowskiego Demona otrzymaliśmy ładną, ale spłyconą historyjkę o tajemniczym duchu uśmiercającym księżniczkę w imię głupiego kaprysu, a następnie, niczym niesforna gęś, przepędzonym przez jaśniejącego nieziemskim blaskiem anioła.

Niepowodzenie telewizyjnej adaptacji „Demona" nie wynika z samowoli reżysera. Ma ono charakter wtórny. Reżyserowi zabrakło po prostu niezbędnego oparcia w dobrym przekładzie tego utworu. Scenariusz przedstawienia powstał według tłumaczenia pióra Zbigniewa Bieńkowskiego. Przekład ten, jak najbardziej sceniczny i efektowny, nie oddaje jednak ideowej treści oryginału. Daje on wprawdzie wyobrażenie o malowniczości opisów, ale nie zachowuje właściwego dystansu między egzotyką i baśniowością a warstwą intelektualno-filozoficzną, która decyduje o wartości poematu, powinna być zatem potraktowana pierwszoplanowo.

Kłopot w tym, że mimo godnego szacunku wysiłku tłumaczy borykających się z ogromnymi trudnościami, jakie sprawia oryginał, nie ma takiego polskiego tłumaczenia „Demona", które dawałoby, chociażby w przybliżeniu, właściwe wyobrażenie o myśli i stylu oryginału. „Wiele utworów Lermontowa nie znalazło godnego siebie tłumacza — stwierdzał jeszcze w 1955 roku Seweryn Pollak. — Wielokrotnie usiłowano np. przełożyć „Demona". Prób takich jest chyba z kilkanaście... Do ostatnich czasów jednak „Demon" na próżno czekał tłumacza, jeśli nie liczyć kilku udanych fragmentów E. Morskiego". Sytuacja ta trwa do dzisiaj. Jak udało się ustalić, istnieje ponad 20 przekładów literackich „Demona" na język polski, w całości i we fragmentach. Pomimo to nie tylko polski telewidz, ale i czytelnik nie zna właściwie tego utworu, który może stanowić klucz do zrozumienia Lermontowa w ogóle, gdyż „Demon" jest najpełniejszą sumą obserwacji i filozoficznych przemyśleń poety.

Historia powstania poematu jest bardzo zajmująca. Na jego ostateczny kształt Lermontow długo nie mógł się zdecydować. Pierwszą linijkę dzieła napisał w wieku 15 lat i interesujący jest fakt, że pozostała ona niezmieniona, chociaż tekst podlegał przemianom i był przez autora wielokrotnie przerabiany. Ostatnia redakcja utworu jest więc zapisem gruntownych, długich dociekań i myślowo przetrawionych lektur filozoficznych poety. Ewolucję i przeobrażenia tematu możemy śledzić w tym wypadku nie tylko na podstawie poszczególnych wariantów tekstu, ale również na podstawie takich utworów, jak np.: „Mój Demon", „Uczta Asmodeusza", „Urywek — 1830 r. ", „Jam nie dla raju i aniołów", „Wadim", „Bajka dla dzieci", czy poemat „Anioł śmierci", którego fragmenty pokrywają się z całymi partiami poematu „Demon". Niektóre utwory Lermontowa, zresztą bardzo wartościowe pod względem artystycznym, są jedynie etiudami odpowiadającymi kolejnym etapom pracy nad danym tematem, co jako właściwości procesu twórczego odnaleźć można w dorobku wielu artystów. Fakt ciągłego powracania do zagadnień, które Lermontow ostatecznie rozstrzygnął w „Demonie", świadczy o tym, jak ważny i niepokojący jego osobowość artystyczna był ten właśnie temat. Istotnie, stanowi on najtrwalszy motyw jego pisarstwa.

Wspomniałam o złożonych źródłach obsesyjnie powracającego motywu. Wywodzi się on zarówno z ambitnych lektur filozoficznych, jak i z doświadczeń nabytych w podróżach po terenach, na których ścierały się różne kultury, wierzenia, obyczaje. W pierwszym rzędzie podkreślić tu należy rolę, jaką odegrały w kształtowaniu się poglądów poety jego studia nad filozofią Schellinga, a także nauką Platona i Kanta. Lermontowska interpretacja dobra i zła, relatywnie uwikłanych ze sobą i nie podlegających prostemu, jednoznacznemu rozgraniczeniu, słusznie kojarzy się też z ideą zła jako ludzkiego „jecer-here" (wytworu wyobraźni) i analizą zjawiska synkretyzmu bóstw u Żydów babilońskich (znamienne, że poeta nosił się z, nie zrealizowanym zresztą, zamiarem umieszczenia akcji „Demona" w czasach niewoli babilońskiej). Można także wysunąć tezę, iż duży wpływ na Lermontowa wywarło zetknięcie się z wędrującą po Dagestanie kurdyjską sektą jezydów, związkiem czczącym Demona za jego bliskie człowiekowi, buntownicze, rewolucjonizujące „zło", które przejawiło się w powstaniu przeciwko Bogu w imię dobra ludzkości. Również niemałą rolę odegrały zapewne wątki o szlachetnym prometeizmie pewnej kategorii „złych" — a w istocie dobrych czynów, zaczerpnięte z wierzeń ludowych Dagestanu i Gruzji, widoczne np. w gruzińskich legendach o Amirani — „Dziecięciu Słońca".

Dzięki podróżom Lermontowa po Gruzji i Dagestanie „Demon" wzbogacił się o żywe kolory i dźwięki. Jego bohaterowie stopniowo tracili abstrakcyjność, zamieniając się w obrazy żywych osób, opisy przyrody rabierały barwy i melodyjności. Pamiętać bowiem warto, że Lermontow był bardzo muzykalny i odznaczał się wybitnym talentem rysowniczym — sam wykonywał ilustracje do swoich utworów, komponował melodie do słów swoich wierszy. Charakterystyczne więc, że „Demon" inspirował wielu artystów, by wspomnieć tu fascynujące rzeźby i obrazy Michała Wróbla, które obejrzeć można w Galerii Trietiakowskiej, czy operę Antoniego Rubinsteina „Demon".

W Polsce Lermontow jest znany z przekładów jego liryki, powieści „Bohater naszych czasów", dramatu „Maskarada", poematu „Mcyri" i wielu innych utworów. Popularny jest jego wiersz „Na śmierć poety", poświęcony tragicznej śmierci Puszkina. Ale by czytelnik polski miał możność zapoznania się z istotnymi, a do tej pory nieobecnymi w naszej świadomości kulturalnej, wartościami twórczości Lermontowa, należałoby złożyć „zamówienie" na bardziej doskonały przekład „Demona". Trudno sugerować tutaj jakieś jednoznaczne rozwiązanie, ale może byłoby celowe, żeby tłumacze, którzy będą przekładać „Demona" na język polski, spróbowali w planie porównawczym przestudiować już istniejące próby translatorskie. Prawdopodobnie pomogłoby to im uniknąć błędów poprzedników, a pozwoliło wykorzystać ich osiągnięcia. Należy zdawać sobie sprawę z wielkich trudności, jakie będą oni napotykać w swej pracy gdyż odpowiedzialna to rzecz — przekładać dzieło genialne. Podjęcie tego ambitnego zadania jest jednak jedyną szansą, by czytelnik polski poznał w końcu bez uproszczeń i okaleczeń, a w całej głębi moralnej i poetyckim uroku, te „piękna fantazję powyżej gwiazd", jak przed stu laty Auguste Witu nazwał na łamach „Le Figaro" Lermontowskiego „Demona".

BARBARA KOWALCZYK-LORYNOWICZ

WSPOMNIENIE

KONRAD FREJDLICH

STASZEK

Zetknąłem się z Nim po raz pierwszy, zwykła to chyba kolej rzeczy, nie osobiście, ale przez teksty, które od połowy lat pięćdziesiątych zaczął ogłaszać w prasie. Nazwisko Grochowiak nie mówiło wtedy jeszcze zbyt wiele ani smarkatemu, jak ja, licealiście, ani wytrawnym nawet krytykom, których po długim okresie nijakości przytłoczył ten niesłychany wyż wyobraźni rozciągający się nagle nad Polską. Był dla nich jednym z pokolenia, które po październikowym zakręcie historii zaczęło żłobić własną kolejnę na szerokim gościńcu literatury. I chyba, z początku przynajmniej, traktowano Go nieco nieufnie. Obarczony mimo bardzo młodego wieku liczną rodziną, z przedwcześnie przerzedzonymi włosami, z nalaną twarzą o pospolitych rysach, nie przypominał przecież w niczym wymuskanego Cherubina, którego legenda i tradycja tak chętnie łączy z wizerunkiem prawdziwego poety. Młody twórca mozołem pióra zarabiający na utrzymanie rodziny, rezygnujący ze wsparcia opiekuńczych instytucji, tłukący się parę razy w tygodniu w pociągu Warszawa — Łódź, żeby za marne grosze napisać komentarz do studenckiej etiudy filmowej to zaiste prawdziwe wyzwanie rzucone tej opinii, która widziałaby w poecie wieczystego utrzymanka społecznego. Pamiętam zdumienie pewnego nadętego, choć pozbawionego talentu literata, że znam niektóre wiersze Grochowiaka na pamięć (Staszek był wówczas autorem dwóch tomików wierszy):

— I na cóż to panu — zauważył z prawdziwą troską — po co przeciążać pamięć tak nieistotnymi bagatelkami?

Wiersz, który recytowałem wtedy na ulicy, pod wrażeniem „Menueta z pogrzebaczem", dziś nabiera jakże wstrząsającej wymowy, uwierzytelnionej świeżą Jego śmiercią, której przeczucie zdawało się Go nigdy nie opuszczać.

„He, he, trumienko, gdzieś jest cmentarzyk,
Gdzie przykucniemy z wielką ochotą,
Żeby przykryci spierzchłą kapotą
Bardzo intymnie sobie pogwarzyć.

Mysz nas nawiedzi, przyfrunie sowa,
Szakal przyczłapie z obwisłą szczęką,
Kornik zacyka do drzwi tak cienko,
Jakby żałował czegoś, trumienko,
Jakby żałował..."

Przypisywano Mu wówczas chętnie młodopolską pozę, manieryzm stylistyczny, minoderyjny kult brzydoty, umiłowanie makabreski, zamykając chętnie oczy na Jego konsekwentną pracę w języku, na Jego osobną wyobraźnię, w której na równych prawach egzystował pogrzebacz do rozgrzebywania węgli wypalających się słońc, jak i szczur podgryzający podnóżek boskiego tronu. Nie brakowało tragicznych pomyłek: Przyboś, wielki Przyboś w swojej słynnej „Odzie do turpistów" zarządził „deratyzację" Jego wierszy. Ci dwaj wspaniali poeci kroczyli tak odrębnymi drogami, że zdawać by się mogło, nigdy nie znajdą dla siebie zrozumienia. A przecież potrafili sobie wybaczyć wzajemne urazy i wspomnienie Grochowiaka o Przybosiu jest tyleż świadectwem wielkoduszności, co i autentycznym hołdem złożonym wielkiemu artyście przez artystę zajmującego w świadomości społecznej jego miejsce. Bowiem przez tych dwadzieścia lat, które minęły od Jego książkowego debiutu, wyrósł Grochowiak już nie tylko na duchowego przywódcę swego pokolenia, ale na czołowego poetę nowej Polski. I stwierdzam to nie pod wrażeniem majestatu Jego świeżej śmierci, z której ogromem jeszcze nie potrafię się uporać, ale pod wpływem Jego pisarstwa, które teraz odczytuję na nowo, odkrywając w sobie, przywracając, tamte najdawniejsze dla niego zachwyty i pokłady wzruszenia, które towarzyszyły lekturze pierwszych Jego utworów.

I to ogromne uczucie rozczarowania, kiedy poznałem Go wreszcie osobiście, na jakimś zbiorowym wieczorze autorskim zespołu redakcyjnego „Współczesności". Może nie lubił takich stadnych występów: milczał uciekając wzrokiem od nabitej ludźmi sali, zmęczony obecnością popisujących się przed publiką kolegów, dręczony katarem, który raz po raz kazał mu sięgać po dużą, kraciastą chustkę. Wyznał mi potem, że na domiar nieszczęść był jeszcze wściekle głodny. Poszliśmy do jakiejś knajpy w pobliżu dworca, gdzie pośpiesznie przełknął spóźniony posiłek, żeby zabrać się na ostatni pociąg do Warszawy. To nie był jeszcze ten Grochowiak z legendy, choć już mający coraz lepszą prasę, kokietowany przez jednych, srogo zwalczany przez innych.

W ten późnojesienny dzień roku 1958 rozpoczęła się nasza przyjaźń, czy też może zabarwiona sympatią znajomość podtrzymywana lekturą i wspólnymi spotkaniami przy kieliszku. Był wytrawnym kompanem, choć kiepskim rozmówcą, bo sprawiał wrażenie człowieka zagłębionego w sobie jakby zbierając myśli do wierszy, którym impuls dawały pełne nostalgicznej zadumy biesiady. Był już chyba pod opieką lekarzy, ale w Jego powadze wyczuwało się nie tyle laboratoryjny chłód aptek, co półmrok starych kościołów: siedział z nieporuszoną twarzą, skupiony, zastygły. Lubił w takim momencie słuchać własnych wierszy, zaczynał czytać na głos i urywał zdjęty nagłym wzruszeniem. Pewnego razu, kiedy nocował u mnie, doszła nas wiadomość o śmierci Brezy ogłoszona w dzienniku radiowym. Staszek był wstrząśnięty, zaczął wspominać swoją ostatnią rozmowę telefoniczną z Marią Dąbrowską i długo nie mógł się uspokoić. Tamta śmierć, już oddalona w czasie, dawała się jakoś opowiedzieć. Dla świeżej straty, jaką ponosiła nasza literatura, nie znajdował jeszcze właściwych słów. Łatwiej już Mu było mówić o własnym końcu, bo chociaż się spalał, pozostawała przecież nadzieja:

„Nie cały minę Choć zostanie owo
Kochanie ziemi w bajorku i w oście
I przeświadczenie że śledź bywa w poście
Zarówno piękny jak pod jesień owoc".

Będąc schorowany, śpieszył się, ale w Jego utworach nie ma pośpiechu, jest tylko zdumiewająca dojrzałość, jaka znamionuje ludzi przedwcześnie pogodzonych ze swym losem, chociaż nie ze światem, a to przecież różnica. Ileż buntu i gwałtownego sprzeciwu zawiera to spokojne wyznanie z ostatniego tomu wierszy „Bilard":

„Bo na letnisku jestem, w dorodnych okiściach rodziny
Pobladły z poselstwa wątroby
jak brat, co wrócił z Misji
I teraz zdobi leżak. Uzupełniam kompozycję
Pełną ruchu, młodzieńczej opalenizny w oku ogrodowego akwenu
Rozbrykanych piłek.
Ból mam przyjaźnie uśmiechnięty i sprzyjający herbacie.
...Bo też coraz ktoś podchodzi.
Przygląda się badawczo
I czyta moje ręce, zagląda do odsyłaczy, które w tym wypadku
Lubi sobie przedstawić jako gońców śmierci. W powietrzu są ważki
Takie nadobne. Serso je woluje kapryśną wolutą".

I takim zapamiętam Go na zawsze: prawdziwego w bólu i w poezji.

TELEWIZJA

WIERZGANIE „PEGAZA"

Magazyn publicystyki kulturalnej „Pegaz" istnieje już od wielu lat i przechodził różne metamorfozy. Ostatnio wszakże, budzi coraz większe zażenowanie. Nie ze względu na formę — obecna forma „Pegaza" łącząca film z wypowiedzią, preferująca mini-wywiady i mini-felietony jest w istocie najlepsza z dotychczasowych.

Rzecz w czym innym. Zniecierpliwienie i zażenowanie budzi ton autorów magazynu. Ton — jakże bardzo „telewizyjny", ton wszystkowiedzących, reprezentujących jedyne racje, upoważnionych do nietaktów aż na granicy bezczelności.

Pamiętam sprzed paru tygodni jak publicznie postawiono do kąta redaktora naczelnego miesięcznika „Scena", bo nie chciał „Pegazowi" udzielić wywiadu. Przepraszam bardzo, ale co to za metody? „Pegaz" przejechał się kopytami po tekstach drukowanych na łamach miesięcznika. Miał rację czy nie miał — to inna sprawa, ale miał prawo wypowiedzieć swój sąd. Ale kierownik czasopisma miał również prawo odmówić rozmowy w narzuconej mu tonacji. Zwłaszcza, że — prawdopodobnie — dano mu dwie minuty na wyłożenie swoich racji, nie dając w dodatku gwarancji, że to co powie nie zostanie, bądź okrojone, bądź złośliwie skomentowane. Któż w takiej sytuacji zgodzi się na publiczną wypowiedź? Nonszalanckie traktowanie rozmówców jest zresztą dla „Pegaza" typowe. Ostatnio — przy okazji rozważań o kiczu poproszono o wypowiedź Krzysztofa T. Toeplitza. Publicysta mówił mądrze, chyba dość jasno i na temat. Ale, nie! „Pegaz" nie mógł sobie odmówić „kropki nad i". Ledwo Toeplitz skończył usłyszeliśmy głos przywołujący go do porządku: „Można lubić kicz, ale trzeba umieć widzieć granice między nim a sztuką". W porządku! A o czym innym mówił Toeplitz jak nie o tym?

Czy autorzy „Pegaza" uważają, że telewidz jest kompletnie głupi i sam nie potrafi zrozumieć jasnej i prostej wypowiedzi? A gdyby nawet Teoplitz mówił coś co nie zgadza się z tezą przyjętą przez redaktora Pikulskiego to co? Telewizja się zawali? Czy ewentualność różnicy zdań na obszarze jednego (marginesowego zresztą) tematu, jest dla autorów „Pegaza" tak przerażająca, że muszą na podsumowanie wypowiedzi stosować „bryki"?

Albo inny kwiatek. Reportaż z planu nowego filmu Wojciecha Solarza. Ale przedtem komentarz, który brzmi mniej więcej tak: „Solarz zawiódł nadzieje w swoich dotychczasowych filmach, nie wyszedł poza przeciętność, ale teraz kręci nowy film, miejmy nadzieję, że to będzie coś lepszego niż dotąd..." Po takim wstępie telewidz zaczyna patrzeć, na Solarza okiem dość podejrzliwym, a co poniektóry myśli — po cóż wobec tego dają w telewizji ten reportaż?

No, bo rzeczywiście. Jeżeli ten Solarz jest taki słaby, jeżeli dotąd nie spełnił pokładanych w nim nadziei (a na ekranie widzimy łysego pana, który nie ma chyba dwudziestu paru lat) — to po co telewizja reklamuje jego kolejny przeciętny film? A jeśli już to robi, to po co mu publicznie wytyka, że się nie sprawdził? O co więc chodzi?

Otóż — myślę — chodzi o to, by podkreślić iż „Pegaz" daje mu szansę. „Pegaz" go (bez przekonania co prawda), ale lansuje. Bo „Pegaz" nie tylko ma zawsze rację, nie tylko ma prawo do cenzurek bez argumentacji, ale „Pegaz" jest jeszcze — uwaga! uwaga! — „Pegaz" jest wielkoduszny.

I tak ze wszystkich audycji „Pezaga" — audycji zrobionych przecież fachowo i poznawczo ciekawych — wyłazi to własne zachwycenie autorów, którym dano do rąk techniczną zabawkę. Wyłazi to zachwycenie sobą, swoimi możliwościami ocen, weryfikacji, cenzurek i kopniaków.

Wcale nie pragnę aby „Pegaz" nie wierzgał. Niech wierzga, ale nie na ludzi, lecz na problemy. Nieco większe niż kiczowaty żubr z plastyku w kiosku w Mikołajkach.

TELEMAN

LISTY

„KOMU WOLNO SIĘ MYLIĆ"

W związku z artykułem pt. „Komu wolno się mylić" zamieszczonym w nr 32 z dnia 29.VII.1976 r. Waszego Tygodnika, Oddział Wojewódzki PZU w Łodzi podaje poniżej następujące wyjaśnienia:
Z dniem 1 stycznia 1975 r. Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 28.11.1974 r. Dz.U. nr 46 z dnia 9.11.1974 r. poz. 274 włączone zostało do obowiązkowych ubezpieczeń pojazdów również ubezpieczenie auto-casco.

Spowodowało to wprowadzenie nowej taryfy składek za obowiązkowe ubezpieczenie komunikacyjne. Nowa taryfa zróżnicowała wysokość składek w zależności od mocy silnika pojazdu.

Ponadto czas, w jakim pojazd podlega ubezpieczeniu, ograniczony został do 10 lat dla pojazdów zarobkowych i 15 lat dla pojazdów niezarobkowych.

Powyższe zmiany spowodowały konieczność uzupełnienia przez nasze Inspektoraty dotychczasowej ewidencji posiadaczy pojazdów takimi danymi, jak:
a) pojemność skokowa cylindrów silnika;
b) rok budowy pojazdu;
c) niejednokrotnie danymi personalnymi aktualnego posiadacza pojazdu.

Poza tym pozostały w mocy aż do upływu rocznego okresu dobrowolne ubezpieczenia auto-casco, przy czym w niektórych przypadkach klient miał prawo wyboru między całkowitym przejściem na obowiązkowe ubezpieczenie auto-casco, a pozostawieniem do upływu rocznego okresu dobrowolnego ubezpieczenia auto-casco.

Powyższe zmiany spowodowały napływ interesantów do PZU, których jak wynika z naszych analiz można podzielić na trzy grupy.

Pierwszą grupę stanowią posiadacze pojazdów, którzy z różnych względów nie dokonali w określonym terminie potrzebnych formalności przy zmianie pojazdu, sprzedaży itp.

Jest zjawiskiem obserwowanym od szeregu lat, że większość klientów zawiadamia PZU o zaszłych zmianach dopiero po otrzymaniu wezwań płatniczych.

Drugą grupę stanowią interesanci, którzy pragnęli na miejscu w naszym biurze dowiedzieć się o warunkach nowej formy ubezpieczenia, sprawdzić prawidłowość naliczonej składki i ewentualnie podjąć decyzję co do całkowitego przejścia na obowiązkowe ubezpieczenie auto-casco.

Trzecia grupa i wcale nie najliczniejsza to posiadacze pojazdów, którzy otrzymali wezwania płatnicze błędnie wystawione przez PZU na skutek pomyłek.

W roku bieżącym liczba interesantów przybyłych do biur PZU po otrzymaniu wezwań płatniczych była znacznie mniejsza.

Oddział nie zgadza się zatem ze stwierdzeniem Ob. red. Ewy Ostrowskiej, jakoby wszyscy interesanci tłumnie odwiedzający biuro PZU w miesiącach marcu i kwietniu znaleźli się tam z winy naszego Zakładu.

Opinię taką wyrażamy dlatego, że sprawa załatwiania klientów jest przedmiotem naszej stałej obserwacji i troski.

Oddział dokłada wszelkich starań, zarówno na odcinku organizacji pracy, jak i na odcinku odpowiedniego szkolenia personelu, aby ewidencja posiadaczy pojazdów samochodowych była prawidłowa i zawierała aktualne dane.

Trudności etatowe i fluktuacja personelu utrudniają nam jednak prawidłowe działanie na tym odcinku, co wprawdzie nie może stanowić argumentu dla interesantów, ale pozostaje faktem mającym znaczenie.

Sprawy ubezpieczenia Ob. red. Ewy Ostrowskiej, na kanwie której oparty został cały artykuł, nie jesteśmy w stanie wyjaśnić od strony merytorycznej oraz ustosunkować się do formy załatwiania jej przez pracowników, ponieważ w naszej ewidencji zarówno z roku 1975 jak i 1976 nie figuruje Ob. red. Ewa Ostrowska jako posiadacz pojazdu samochodowego.
Jeżeli jednak kłopoty takie miały miejsce (możliwe, że pojazd zarejestrowany jest na inne nazwisko), pragniemy tą drogą przeprosić red. Ewę Ostrowską jak i wszystkich zainteresowanych czytelników za mimowolne kłopoty, wynikłe z działalności naszej instytucji.

MGR ALEKSANDER WŁODARSKI

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji)
Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC

STATYSTYCZNIE RZECZ BIORĄC PREZENTUJEMY SIĘ CAŁKIEM PRZYZWOICIE: NA KAŻDEGO OBYWATELA PRL WYPADA DZIŚ 0,45 HEKTARA GRUNTÓW ORNYCH. ALE CO BĘDZIE ZA 10, NO POWIEDZMY 20 LAT? ZIEMIA NIE GUMA, NIE DA SIĘ ROZCIĄGNĄĆ, LUDZI TYMCZASEM PRZYBYWA, APETYT TEŻ ROŚNIE. WIĘC TO JEST PIERWSZY PROBLEM, A JEST ICH ZNACZNIE WIĘCEJ. I TRZEBA JE ROZWIĄZAĆ.

KRZYSZTOF POGORZELEC

CHLEB I COŚ DO NIEGO

* ☆ *

Nie zamierzam tutaj nikogo obrażać, zresztą sam się do nich zaliczam, ale tak z ręką na sercu mówiąc, to wypada powiedzieć, że przeciętny mieszczuch tyle mimo wszystko wie o problemach nurtujących współczesne rolnictwo, szerzej — o zaspokojeniu społecznego popytu na żywność, co przysłowiowy kot napłakał. A przecież w istocie rzeczy to właśnie on — mieszkaniec wielkich aglomeracji, „człowiek przemysłowy" powinien najlepiej, najpełniej zdawać sobie sprawę z tego, że to co po „drugiej stronie" to nic innego, jak tylko... fabryka. Jej hale wytwórcze, tylko w przypadku naszego kraju, obejmują powierzchnię 190 tys. kilometrów kwadratowych, pracuje tam niespełna 4,2 miliona osób, a wytwarza każdego roku produkty wartości 500 miliardów, tak jest — miliardów złotych. Tym jest już dziś nasze rolnictwo — wielką fabryką żywności dla 34 milionów obywateli naszego kraju, dla tych co mieszkają i pracują w miastach, jak i tych „ze wsi". Warto też może upowszechnić jeszcze jedną prawdę nie tak znowu bardzo znaną, uświadamianą, oto bowiem rolnictwo we współczesnym kształcie jawi się nam jako jedna z najbardziej skomplikowanych organizacyjnie i technologicznie dziedzin gospodarowania. Człowiek — maszyny — surowce: tradycyjny chciałoby się powiedzieć łańcuch ogniw, z którym mamy do czynienia w każdej fabryce. Ale tutaj dochodzą, ba — odgrywają pierwszoplanową rolę jeszcze inne „mechanizmy", takie jak choćby zjawisko fotosyntezy, przemiany materii. Specyfika rolnictwa. A jego znaczenia? No cóż — o tym będziemy tutaj cały czas mówić, a na razie pewne tylko pozornie oczywiste stwierdzenie: jeśli ktoś uważa, że stan zaopatrzenia półek naszych sklepów zależy od czegoś innego aniżeli poziomu, efektywności działania tej właśnie największej — co mam wrażenie dowiodłem — fabryki, to po prostu niczego nie rozumie. Krótko mówiąc: jakie jest rolnictwo, taki jest poziom odżywiania. I tak jest nie tylko u nas.

ZBOŻE RZĄDZI ŚWIATEM?

Bardzo proszę, by Czytelnicy zechcieli mi darować to zapożyczenie od Zischki, który taką konkluzję zawarł w swojej książce traktującej o roli ropy naftowej we współczesnym świecie. Analogie tak się jednak narzucają, że po prostu trudno jest im się oprzeć, tym bardziej, że całkiem świeżo mamy w pamięci kryzys energetyczny, skutki nim wywołane, u których podstaw leżały i jeszcze nadal się znajdują światowe kłopoty z olejem skalnym, czy właśnie ropą naftową.

Bo świat potrzebuje zboża, łaknie ogromnych ilości pszenicy, kukurydzy, jęczmienia, owsa, żyta, sorgo.

Pytanie: skąd bierze się ten apetyt — należy oczywiście ze zrozumiałych względów uznać za werbalne, nie wymagające jakiejś szerszej odpowiedzi. Natomiast, by jednak określić proporcje dla tego tematu, warto spopularyzować pewien fakt, z którego wynika cała „reszta". Tak więc dopóki praktycznie nie sięgniemy na przemysłową skalę do zasobów żywnościowych znajdujących się w morzach i oceanach, to zboże będzie głównym źródłem białka roślinnego, a także surowcem niezbędnym w procesie wytwarzania białka zwierzęcego, powiedzmy krótko — mięsa, produktu aktualnie zaliczanego do grupy najbardziej deficytowych na świecie.

W porządku — ale tak dla zaspokojenia ciekawości: ile zboża produkuje się na świecie? Szacunkowe obliczenia doprowadzają do następującego wniosku — **w bieżącym roku światowe rolnictwo powinno wytworzyć nieco więcej jak 1000 milionów ton zboża i będzie to oznaczało pierwsze przekroczenie bariery miliarda ton. Rozdzielając tę ilość na „drobne" specjaliści uważają, że światowe rolnictwo wyprodukuje blisko 380 milionów ton pszenicy, a ponadto niemal 700 milionów ton zbóż pastewnych, do których zalicza się kukurydzę, jęczmień, owies, sorgo, oraz... żyto.**

Można z tego wyciągnąć pewne wnioski. Po pierwsze więc, jeśli tak mocno podkreślamy fakt przekroczenia w produkcji zbóż na świecie owej bariery miliarda ton, to właśnie z tego względu, że wydarzyło się to po raz pierwszy, w dodatku w sytuacji, która zapowiadała — przynajmniej tak to wyglądało mniej więcej w połowie bieżącego roku — pogłębienie się kryzysu zbożowego, spadek światowych rezerw tego produktu. Przypomnijmy — rok temu, szczególnie niekorzystne warunki atmosferyczne, które objęły swoim wpływem obszar ZSRR, znacznie obniżyły rozmiary plonów, a teraz znowu praktycznie cała Europa zachodnia oraz środkowa prażyła się przez wiele tygodni w bezlitosnych promieniach słońca. Mogło to oznaczać spadek urodzajów, w takich np. krajach jak Francja, która do tej pory była eksporterem pszenicy. Nic też dziwnego, że najczulszy „barometr" — giełdy zbożowe, natychmiast zareagowały nerwową zwyżką cen. W świetle owego miliarda ton widać, że te wstępne prognozy nie bardzo się sprawdziły, w ZSRR wzrost produkcji zboża liczy się na jakieś 60 milionów ton, Stany Zjednoczone zapowiadają rekordowe zbiory kukurydzy.

Czy znaczy to, że — jak się to mówi — cały ten problem zbożowy mamy z głowy, „wykaraskaliśmy" się w skali światowej z niedostatku najważniejszego do tej chwili i zapewne długo jeszcze źródła białka?

A kto tak powiedział?

Ze światowych statystyk wynika, że jeśli chodzi o sferę produkcji, to o sytuacji decydują dwaj potentaci: ZSRR oraz USA. A w międzynarodowym handlu zbożem? Też tylko ta dwójka.

Globalny wzrost rozmiarów produkcji zbóż nie oznacza równomiernego rozłożenia tego ekonomicznego faktu, a właśnie tegoroczne perypetie światowego rolnictwa z warunkami atmosferycznymi, potwierdzają tylko to, o czym dawno przecież wiedziano, a mianowicie, iż zboże jest ogromnie wrażliwe na suszę i tak np. Holandia mogła wyjść z tego „lata 100-lecia" stosunkowo obronną ręką tylko dzięki kanałom irygacyjnym mającym także wpływ na poziom wód gruntowych, a w dodatku cała ta batalia o wodę dla holenderskiego rolnictwa była precyzyjnie sterowana przez... komputery. Słowem — taki rezultat dało się osiągnąć kosztem zaangażowania najbardziej skomplikowanej techniki oraz... olbrzymich nakładów finansowych.

No, a teraz — po drugie: wprawdzie Indie oraz Chińska Republika Ludowa — dwa, jak do tej pory najbardziej „zbożochłonne" obszary — sygnalizują możliwość, w rezultacie uzyskania relatywnie rekordowych zbiorów, rezygnacji z importu ziarna, to jednak na listę kupujących wpisały się już wszystkie właściwie kraje Europy zachodniej. Również i Polska należy do importerów zboża. Na przestrzeni minionych 5 lat, dla zaspokojenia potrzeb konsumpcyjnych oraz hodowli nabyliśmy za granicą ok. 21 milionów ton, to znaczy ilość równą mniej więcej całej rocznej krajowej produkcji naszego rolnictwa. Jak będzie się dalej rozwijała sytuacja na międzynarodowym rynku z tym szczególnym towarem, jakim jest zboże? Cena 1 tony tego surowca — magazynu białka, kształtowała się w światowych notowaniach — średnio biorąc — na poziomie 150 dolarów...

MIĘDZY POLEM, KASĄ I TALERZEM

No, a teraz pytanie: czemu ma służyć ten cały wywód o aktualnej sytuacji na światowym rynku zbożowym, w stale zmieniającym się rozmieszczeniu „sił" producentów jęczmienia, pszenicy, kukurydzy, żyta, ryżu i sorga?

Otóż jest to tylko w części tło dla „umieszczenia" w nim i naszej sytuacji, przecież ciągle od wielu już lat co najmniej złożonej, jeśli chcemy, a dążymy do tego konsekwentnie, zaspokoić apetyty, do tego ciągle wzrastające, naszego społeczeństwa tak na białko pochodzenia roślinnego jak i zwierzęcego. Na chleb i coś do niego. Warto chyba, już tylko z tych względów, znać następujące wielkości i relacje w nich zachodzące, a które przytaczam tutaj za „Trybuną Ludu". Otóż naszemu krajowi daleko jeszcze do osiągnięcia samowystarczalności jeśli idzie o zaspokojenie apetytu na zboże. **Obliczono, że aby zagwarantować spożycie mięsa na poziomie 70 kg na jednego mieszkańca w ciągu roku, trzeba wyprodukować około 1000 kg ziarna, też oczywiście „na głowę". Tymczasem nasze do tej pory osiągane plony dają nam niespełna 600 kilogramów, w ubiegłym roku — znowu przeliczając na jednego mieszkańca PRL — dokładaliśmy 200 kg ziarna pochodzącego z importu.** Razem więc 800 kg. Brakuje nam 200 kg....

Nie będę chyba daleki od prawdy, jeśli w tym miejscu użyję takiego stwierdzenia: w tym właśnie rachunku, prostym przecież, tkwi cała złożona technicznie, społecznie i ekonomicznie zależność między... polem, naszą narodową kasą oraz talerzem, a raczej tym co się na nim znajduje. Zgodzić się więc trzeba z Andrzejem Zalewskim, który w jednym ze swoich komentarzy o sytuacji naszego rolnictwa, jego potrzebach i zadaniach zawarł taką konkluzję: zboże rządzi naszym dobrobytem, a świadomość ta jest ciągle jeszcze słaba w społeczeństwie, w kraju.

Tak niestety jeszcze jest.

Fałszywa, jednostronna fascynacja przemysłem, jego rzekomo absolutnymi możliwościami, odgrywa w tym zjawisku niepoślednią rolę. A przecież faktem jest, iż rolnictwo jest tą dziedziną produkcji, w której powstają wytwory nie mające swoich substytutów, bo dla przykładu ropę naftową można zastąpić węglem, „białą energią", a choćby i niezmierzonym bogactwem tkwiącym w energii jądrowej... I jak tutaj nie zgodzić się z tymi, którzy nieco modyfikując tytuł książki Zischki powiadają, że... zboże rządzi światem, decyduje o jego przyszłości.

Jest smutnym paradoksem, że w państwach najbardziej potrzebujących zwiększenia produkcji żywności, głównie zbóż, w krajach tzw. „III i IV świata" ciągle więcej się wydaje na zbrojenia, aniżeli na intensyfikację upraw rolnych. W roku 1975 na całym świecie wydano na zbrojenia ponad 300 miliardów dolarów.

W porządku, tylko czy takie stanowisko daleko odbiega od rzeczywistości, od tego wszystkiego co w niektórych krajach jest już rzeczywistością, a do czego my się przymierzamy, na szczęście mając już świadomość nieodwracalności tych procesów, a także rozmiarów potrzeb.

KLUCZ DO SPIŻARNI

Właśnie.

Otóż, nie bez powodów przy tym rolniczym temacie, tak wiele faktów mających ścisły związek z przemysłem, ze sposobami produkcji w nim stosowanymi. Komputer sterujący nawadnianiem gleb w Holandii, co zmniejsza do miminum straty tamtejszego rolnictwa, energia elektryczna, kryzys na tle deficytu i wzrostu cen ropy naftowej, i tak dalej.

Bo chyba w tym — czy chcemy czy też nie chcemy — tkwi sedno problemu, klucz otwierający drzwi od spiżarni, nie tylko zresztą w naszym kraju, choć nas oczywiście najbardziej interesuje, jako że... koszula najbliższa ciału.

Przemysł — rolnictwo. Może warto się zastanowić, zaryzykować taki „pytajnik": czy w ogóle takie rozgraniczenie ma dziś głębszy sens? Dawno minęły już czasy kiedy na tę dziedzinę gospodarowania można było patrzeć przez pryzmat gospodarstwa chłopskiego, a nawet jeśli tak, to jest ono dziś zdecydowanie różne, „otwarte" na takie pojęcia jak chemizacja, specjalizacja, przemysłowe metody hodowli. A no właśnie — przemysłowe... Zaczynamy zresztą, i to jest konieczne, operować rachunkami, kalkulacjami, które niegdyś, nie tak dawno jeszcze akceptowane były wyłącznie w odniesieniu do przemysłu, a dziś znajdują pełne zastosowanie w rolnictwie: nasycenie maszynami, ilością czystego składnika przypadającą na hektar, całą tą skomplikowaną „maszynerią" związaną jakby się mogło wydawać tylko z fabryką.

No, nie przesadzajmy — być może powiecie, przecież jeszcze w tegorocznych żniwach 40 procent całej powierzchni gruntów rolnych znajdujących się „pod zbożami" było uprzątane kosami i w gruncie rzeczy dosyć prymitywnymi maszynami — żniwiarkami i snopowiązałkami.

Właśnie, ten procentowy wskaźnik może być uznawany za miarę dystansu, który dzieli nas od innych, mających już bardziej obficie zaopatrzone spiżarnie, gdzie i komputer nie jest cudownością bądź też kwiatkiem doczepionym do kożucha. I znowu — wypada zauważyć, że nie wszędzie prawidłowość, konieczność takich przeobrażeń w naszym rolnictwie jest uświadamiana, akceptowana. Jest przy tym coś w takim stanowisku dziwnego. Bo ci sami ludzie rozumieją zależność między — powiedzmy — nasyceniem rynku w wyroby dziewiarskie a stanem techniki w tym przemyśle, a już znacznie trudniej pojąć im relacje: nowoczesna maszyna — rezultat pracy rolnika. Ktoś obliczył, że nasz polski kombajn rodem z Płocka — „Bizon" zbiera zboże z jednego hektara w ciągu godziny, gdy kosa nie upora się z tym i w ciągu całego dnia. To w charakterze przykładu.

Na uzyskanie 1 kg mięsa trzeba przeciętnie 4 kg pasz treściwych. Dla zwiększenia o 1 kg spożycia mięsa oraz jego przetworów — licząc na jednego mieszkańca w skali roku — należy wyhodować dodatkowo ok. 500 tys. tuczników.

W rozwiązywaniu problemów żywnościowych nie tylko naszego kraju jesteśmy „skazani" na nowoczesność. Innej drogi po prostu nie ma, a kwota 4 bilionów złotych, na którą szacuje się potrzeby modernizacyjne tej największej z wielkich fabryk rozciągającej się na polach, też jeszcze wszystkiego nie załatwia. Kto wie, czy nie większe znaczenie będzie miało to, czy potrafimy nauczyć się patrzeć na rolnictwo tak, jak to jest konieczne u progu XXI wieku. Mając coraz większy apetyt na chleb... i „coś" do niego.

NIE TYLKO HISTORIA

DLA SIEBIE I DLA ŚWIATA

Prozaiczne zgoła, profesjonalne sprawy historyka, poszukującego jakiejś trudnej do znalezienia książki, zawiodły mnie niedawno do Ośrodka Kultury Węgierskiej w Warszawie. Cóż, książka której potrzebuję, wydana została przed laty na Węgrzech, więc trzeba się było zorientować, jakie mam szanse jej sprowadzenia. Przy tej okazji zapoznałem się z pięknie wydanymi katalogami węgierskich wydawnictw naukowych, przede wszystkim znanego na całym świecie Akademiai Kiadó, wydawnictwa Węgierskiej Akademii Nauk. Tak, nie przesadzam, wydawnictwo to jest dobrze znane na świecie, na pewno bardziej niż nasze. A dzieje się tak dlatego, że Węgrzy, zdając sobie dobrze sprawę z niekomunikatywności swojego rodzimego języka dla obcokrajowców, nawet najbardziej im życzliwych, wpadli na pomysł, który tam nikogo nie oburzył: drukowania znacznej części węgierskiej produkcji naukowej w tzw. językach kongresowych, to jest takich, których znajomość należy do obowiązku pracowników naukowych w całym świecie. Nikomu nie przeszkadza, że wiele wybitnych dzieł, również dotyczących historii Węgier, od razu zostało wydanych po rosyjsku, angielsku, niemiecku czy francusku. Widocznie jest tam uważane za oczywiste, że i węgierscy badacze muszą znać te języki, więc sobie przeczytają książkę w każdym z nich, zaś udostępnienie wyników badań uczonych węgierskich zainteresowanym czytelnikom, nie znającym węgierskiego, uważa się za sprawę pierwszoplanową. Nie chciałbym być gołosłownym, więc podam kilka przykładów, oczywiście z bliskiej mi dziedziny nauki historycznej. I tak podstawowe wydawnictwo, dotyczące węgierskiej polityki zagranicznej w latach 1933—1944, pozycja interesująca nie tylko obcokrajowców, ukazała się po niemiecku; dzieło E. Andicsa o reakcji na Węgrzech po upadku Wiosny Ludów — po rosyjsku, wielka monografia E. Andicsa o słynnym kanclerzu W Metternichu i Węgrzech — po niemiecku; praca zbiorowa o problemach narodowych w monarchii austro-węgierskiej w początkach XX wieku — po niemiecku; zbiorowe dzieło o związkach Odrodzenia i Reformacji na Węgrzech i w Polsce — po francusku i niemiecku, w dodatku ze streszczeniami po rosyjsku; książka O. Sashegyi o cenzurze austriackiej za Józefa II — po niemiecku. Zakrojony na kilka tomów zarys dziejów Czarnej Afryki, opracowywany przez węgierskiego uczonego E. Sik, dzieło uwieńczone Nagrodą Państwową, ukazało się od razu po angielsku i w tym właśnie języku doczekało się już dwóch wydań. Paralelnie to samo wydawnictwo rozpoczęło publikację wersji francuskiej, której tom pierwszy ukazał się, jak dotychczas, aż w czterech wydaniach. Informacje o wznawianiu węgierskich prac naukowych, wydawanych w językach obcych, znaczą wiele. Świadczą, że jeśli w jakimkolwiek kraju ukaże się dzieło rzeczywiście wybitne, mogące zainteresować czytelników na świecie, i zostanie ogłoszone w którymś z języków „kongresowych", ma wszelką szansę spotkać się z powodzeniem i doczekać kilku wydań.

O tym, jak bardzo inaczej jest u nas, przypominać chyba nie potrzeba. Warto sobie jednak uświadomić, że — w niczym nie ujmując znaczenia dorobku kolegów węgierskich — nasza polska nauka historyczna zajmuje bodaj jeszcze bardziej poczesne miejsce w świecie, co daje się zauważyć nie tylko podczas różnych światowych kongresów, ale i przy innych okazjach. Tymczasem w językach obcych ogłasza się u nas, jak dotąd, przede wszystkim publikacje popularyzacyjno-propagandowe, oraz... rzeczy absolutnie hermetyczne, w rodzaju akt zjazdów i konferencji międzynarodowych, które wszędzie zresztą ogłasza się w językach kongresowych. Jeżeli polska książka naukowa ukazuje się w obcym języku, dzieje się to albo z inicjatywy jakiegoś zagranicznego domu wydawniczego na jego własny rachunek, albo — coraz częściej — w kooperacji z wydawcą polskim, przy czym najczęściej bywa tak, że dzieło drukuje się u nas w kraju, zaś niemal wszystkie egzemplarze wędrują za granicę, gdzie są sprzedawane po horrendalnych, to jest takich, jakie tam istnieją, cenach liczonych w dolarach. Kto zarabia i ile na tej kooperacji, o tym nie wiemy, możemy natomiast niebezpodstawnie domyślić się, że jeśli jakaś niemiecka, austriacka, francuska czy włoska firma wydawnicza podejmuje na własną rękę tłumaczenie polskiej książki naukowej, którą wydaje w znacznym nakładzie, nie czyni tego z bezinteresownej sympatii do autora, czy jego kraju, ale dlatego, że widzi w tym interes. A w naszym powojennym dorobku naukowym jest wcale sporo takich książek, które zrobiły — faktycznie poza naszymi domami wydawniczymi — rzeczywiście światową karierę. Stało się to udziałem pięknej książki Tadeusza Manteuffla o „Narodzinach herezji", ostatnio zaś „Metodologii historii" Jerzego Topolskiego, która zanim ukazała się po angielsku w koprodukcji polsko-brytyjskiej była już dostępna... po włosku. Sam widziałem, jak interesowano się nią w zeszłym roku podczas Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych w San Francisco.

Myślę, że mimo iż coś przecież się zmienia, warto byłoby pomyśleć o tym, by zmieniało się szybciej. Pogląd, z którym wciąż często się spotykamy, głoszący: jak kto chce, to się i po polsku nauczy, sprzyja... naszej własnej bierności, przerzucając wszelkie trudności na tego obcokrajowca, który by chciał zapoznać się z naszą książką historyczną. Ileż to razy my, zawodowi historycy, spotykamy się z tym, że jakiś zagraniczny gość prezentuje nam coś, co wedle jego zdania jest absolutnie unikalnie nowatorskie, co dzieje się w nauce jego kraju, kiedy u nas robi się podobne rzeczy od lat i wcale nie gorzej? Wreszcie — i to już koniec naszych rozważań — nasza bierność może mieć również i ogólniejsze, niekorzystne skutki. Wszak nauka historyczna nie jest pozbawiona znaczenia ideologicznego... Czy więc nie warto przypatrzeć się, jak postępują nasi węgierscy koledzy — uczeni i wydawcy — i wyciągać z tego wnioski? Chodzi przecież o sprawy, których znaczenia nie sposób przecenić.

LEKTOR

ANTONI KASPROWICZ

A KIEDY KSIĘŻYCOWA PEŁNIA...

Gdy nad miastem zabuczały trwożnie syreny i dzwony kościelne zaczęły bić na alarm, wtedy dopiero pod naporem zbuntowanych więźniów politycznych otworzono cele.

A czas był najwyższy, bo, jak donoszono w grypsach, pod Koluszkami zbombardowano pociąg osobowy, a Wieluń i Tomaszów stały w płomieniach.

Wysypali się więźniowie z wąskich korytarzy na obszerny dziedziniec i natychmiast zaatakowali magazyny z cywilnymi ciuchami i żywnością. Wrzask, tumult, trwożne okrzyki i nawoływania mieszały się z buczącymi żałośnie syrenami i rozkołysanymi dzwonami, trwogą porażając serca.

Groźbę powiększała jeszcze czarna, obrzękła chmura, z błyskawicami, nadciągająca z zachodu.

Wincior, Matyniuk i Śliwa, współwięźniowie jednej celi, już za żelazną bramą, wśród piekielnego wrzasku towarzyszy opuszczających groźne mury, naradzali się krótko:

— Ty, Wincior — radził Matyniuk — masz żonę i dziecko w domu, więc rwij na Kielce, a my ze Śliwą na Warszawę, którą wróg pali i bombarduje.

Milczał Wincior przez chwilę z pochyloną głową i po krótkim namyśle rzekł:

— Jak to? W tej strasznej godzinie miałbym opuścić ojczyznę dla własnej rodziny, gdy tysiące żon i dzieci opłakuje swych mężów i ojców? Za Boga! Idę z wami!

Uściskali się więc serdecznie i wraz z tłumem ludzi ruszyli przez Rawicz na wschód, na Słupcę, na Kłodawę — bronić Warszawy.

Wkrótce znaleźli się na bitej szosie, obserwując chmurę, która ominęła miasto i pożeglowała na północny wschód. Pod wieczór przebyli w Słupcy drewniany most nad Kanałem Goplańskim i zeszli na trakty, dróżki i ledwie widoczne ścieżki, wijące się wśród zaoranych gleb, brzozowych zagajów i łąk mokrych od rosy.

— Spójrzcie! — wykrzyknął nagle Śliwa, przystając w mroku. — Dookoła dym i płomienie, aż zgroza patrzeć! To wróg pali wsie i oświetla sobie drogę, a nam niebo zasłania czarnymi kłębami.

— Słuchajcie tylko, słuchajcie — szepnął naraz Wincior, chwytając Matyniuka za ramię. — To trzask płomieni, poryki żywcem palonych bydląt i rozpaczliwe krzyki oszalałych kobiet... Słyszycie?...

I poczłapali nocą zażegwioną płomieniami, mijali bajora, zagajniki i wiejskie chałupy w sadach, mijali dukty leśne i stogi, i krzyże przydrożne, aż wreszcie o świcie zatrzymali się zmęczeni w cichej wiosce Wilczynie, u starego gospodarza Nalepy.

— A dokąd to wy tak czarną nocą? — pytał gospodarz. — Plądrujecie za czym?

— Nie plądrujemy, mili, chociaż noc głęboka — zapewniał Matyniuk. — Idziemy do stolicy bić wroga. Więc jeśli wasza wola, podajcie nam coś do picia.

Nalewając do kubków udojone przed chwilą mleko, połowica Nalepy jęczała:

— Lepiej byśta, ludzie, zostali u nas samotnych i bezbronnych. Gdzie wam tam po nocach i wertepach... Więc chociaż świt, kładźcie się, ludzie, w stodole i odpoczywajcie...

Ale Wincior, gdy wysiorbał mleko z glinianego kubka, powiedział:

— Kiedy kraj cały w ogniu, nam nie o spoczynku, droga matko. Żegnajcie, żegnajcie!

Wyszli przed chałupę. Na zadymionym horyzoncie wzeszła tarcza słońca, a na niedalekiej szosie grzmiał trwożny pomruk ludzi opuszczających w popłochu wsie i miasteczka. Ominęli jednak szosę i bocznymi drogami udali się w stronę Kłodawy. Napotykali po drodze wylęknionych cywilów i od jednego z nich dowiedzieli się, że wojska niemieckie zajęły już Poznań i Wrześnię i prą zbrojnym żelastwem na Konin i Kłodawę.

Szli z rozpaczą w oczach i boleścią w sercach. Około południa zatrzymali się w małej przydrożnej wiosce, w której już kilkunastu ludzi, utrudzonych podróżą, wypoczywało poza opłotkami, masując obolałe nogi.

Na skraju wioski, w cieniu stodoły Wincior, Śliwa i Matyniuk legli, zaciągając się fasowanymi papierosami.

— Już niedaleko Kłodawa — pocieszał Wincior umęczonych towarzyszy, nasłuchując z niepokojem nadlatującego samolotu.

Ledwie uskoczyli pod okap, gdy potworny jazgot przewalił się nad stodołą, a razem z nim kąśliwy terkot kulomiotu, okrzyki ludzi wybiegających w popłochu z płonących pobudowań i przeraźliwe jęki rannych, wzywających pomocy.

Pierwszy oprzytomniał Śliwa i skoczył na ratunek. Za nim pobiegł Wincior i Matyniuk, który wpadł do płonącej obory, by wyprowadzić ryczącą krowinę. Nie zdążył jednak odwiązać jej z łańcucha, bo płonący pułap zwalił mu się na głowę. Daremnie szukał towarzysza Śliwa i na próżno wzywał go Wincior, by natychmiast przyłączył się do dalszego marszu... Długo szukali go po bezlistnych sadach i po ogrodach, wreszcie z trudem powtrzymując łzy ruszyli w dalszą drogę, gdy tymczasem na wpół spalone zwłoki Matyniuka leżały pod dogasającymi gontami i belkami obok zwęglonej krowiny.

Wędrowali na przełaj łąkami i zagajami przez spalone wsie i rozwalone cmentarze. A kiedy późnym wieczorem, rozświetlonym nowymi pożarami, ominęli Kłodawę i stanęli na skraju lasu, zaszyli się czym prędzej w gęstwinie i legli w krzakach..

Pierwszy poderwał się Śliwa, szczękając z zimna zębami i zbudził Winciora, zdumionego, że to już ranek. Od dalekiej szosy dolatywał głuchy rumor, jakby kto toczył po bruku młyńskie kamienie.

Ruszyli szybkim krokiem w stronę Kutna, które, jak się dowiedzieli, było już bombardowane przez junkersy.

Czerniało niebo od dymów i drżała ziemia od wybuchów, a oni głodni i znękani szli wciąż naprzód, nie zważając na obolałe, do krwi otarte nogi.

Gdy Wincior pozostawał w tyle podciągał go Śliwa. A kiedy zmęczony Śliwa siadał gdzieś na przyrowiu naglił go Wincior. I tak wspomagając się wzajemnie, znaleźli się wieczorem pod Kutnem. Postanowili jednak, że po krótkim wypoczynku tejże jeszcze nocy pójdą na Żychlin, by jak najprędzej przeprawić się przez Bzurę, ruszyli więc zaraz przez miasto, którego puste ulice zasypane były szkłem i gruzem.

A kiedy wydostali się na wschodni skraj miasta i stanęli nad torem kolejowym — oczom ich ukazał się niesamowity widok.Na powykręcanych i wyrwanych z podkładów szynach leżały rozbite wagony i wywrócona lokomotywa, a w niedalekim zagajniku, wśród rozrzuconych puszek po konserwach i różnego sprzętu wojskowego — trupy żołnierzy polskich i czarny cekaem z taśmą naboi gotową do strzału.

Gdzieś w pobliżu wył żałośnie pies, a nad zagajnikiem krakały wrony.

Odurzeni cierpkim zapachem dymów napływających z dopalających się domów, przedostali się wkrótce poza miasto, na rozległe pola i łąki, nad którymi unosiła się księżycowa pełnia, cicha i serna, jakby nie krwawa wojenna pożoga, ale wieczny spokój trwał na świętej, polskiej ziemi.

Orzeźwieni jesiennym chłodem, przyśpieszyli kroku i ruszyli raźniej, bo na widok księżyca i tych spokojnych pól i łąk jakaś nadzieja napełniała im serca, że to jeszcze nie agonia umiłowanej ojczyzny, że wojna dopiero się rozpętała, a przecież Polska jest długa i szeroka, a palone wioski i bombardowane miasta nie stanowią jeszcze o klęsce polskiej armii, że przecież w tym kraju na wezwanie ojczyzny staną tysiące — tysiące takich jak oni: Wincior i Śliwa... i jak Matyniuk, gdyby żył.

Około południa posilili się w napotkanej leśniczówce, skąd wyruszyli w stronę Żychlina, by jak najprędzej przedostać się przez Bzurę, za którą, jak głosiła fama, umocniła się polska dywizja. Szli przełajami i około północy stanęli na warszawskiej szosie, wzburzonej, huczącej tłumem ludzi, bydła, pojazdów i chłopskich furmanek. Stali ogłuszeni na skraju rowu i po chwili, bez słowa wtopili się w tę rwącą rzekę, która poniosła ich z sobą jak wątłe drzazgi.

Słychać było głuchy pomruk i jazgot cywilnej ciżby, zdezorganizowanych, luźnych oddziałów wojskowych, rżenie koni, poryki bydła, rozpaczliwe nawoływanie kobiet, płacz dzieci, odgłos toczących się wozów.

Wincior maszerował w milczeniu obok potykającego się ze zmęczenia Śliwy.

Nagle wśród nocy wystrzeliły w niebo czerwone rakiety, rozpryskując się krwawymi bukietami. W tej samej chwili rozległ się nad szosą potworny huk pękających pocisków i okrzyki oszalałych ludzi, przypadających w przyrowia i rozbiegających się w popłochu po łąkach i zagonach.

Skoczył do rowu Wincior, za nim Śliwa i padli płasko na ziemię, ale powstał tylko Wincior, bo Śliwa, zwieszony połową ciała do rowu, leżał z rozrzuconymi rękami i twarzą zmiażdżoną odpryskiem pocisku. Poznał go Wincior po więziennej łysinie. Ze ściśniętym sercem ułożył zwłoki przyjaciela w rowie pośród innych poległych tej nocy i nakrył go własną kapotą.

Znowu potworna fala ludzka popłynęła naprzód szosą, nad którą wypełzła księżycowa pełnia, cicha i senna, jakby nie krwawa wojenna pożoga, ale wieczny spokój trwał na tej ziemi.

Szedł Wincior razem z tłumem, porażony zgiełkiem, senny, zbolały, półprzytomny i naraz wydało mu się, że tuż przed nim idzie w postrzępionej sukience jego żona Irena z córeczką Renatą. Krzyknął więc z radości, budząc się z półsnu na dźwięk własnego głosu i zdumiony ujrzał obok siebie ruchomą czarną masę posuwającego się tłumu, a przed sobą telepiącą się babinę z dziewczynką, prowadzącą na sznurku pomekującą kozę. A więc szedł, spał i śnił, jak wielu innych obok niego, umęczonych i udręczonych marszem.

O jesiennym świcie, który posrebrzył niwy i łąki, kiedy tłumy przetaczały się przez ulicę jakiegoś nieznanego miasteczka, ze strychów domów posypały się nagle strzały, kładąc na szosie trupem kilkunastu cywilów i żołnierzy.

Jak się później okazało, miasteczko zamieszkiwały przeważnie rodziny niemieckie, stanowiące dywersyjne placówki, które dysponowały, jak wiele innych w kraju, pistoletami i radiostacjami nadawczymi.

Gdy znów zahuczała szosa, do ledwie człapiącego Winciora przypatolił się jakiś rozczochrany chłopiec z pistoletem przewieszonym przez ramię, obciągnięty pasem, na którym przy każdym kroku podskakiwała zawieszona u boku aluminiowa manierka i szpadelek.

Maszerowali jakiś czas razem, wreszcie Wincior rzekł:

— A skąd to, sraluchu, ta armata na ramieniu?

— Po Niemcu, który pruł ze strychu.

— A manierka?

— Po saperze.

— A na co ci to?

— Wzywali przez radio, żeby bronić Warszawy. Jestem harcerzem, a ojciec był strażnikiem kolejowym, więc strzelba mi nieobca. Chcecie, to pójdziemy razem, bo rodziców zgubiłem pod Kutnem. Co wy na to?

— Ale u mnie z żarciem krucho, syneczku — poskarżył się Wincior — bo zaledwie dwie marchewki w kieszeni, które zaraz schrupiesz. Widzisz, jakie soczyste? Jedz!

I pomaszerowali z tłumem, który na rozstajnych drogach rozdzielał się, zdezorientowany, w różne kierunki: na zachód, z powrotem do opuszczonych domów, na południe — z nadzieją ucieczki za granice, i na wschód — bronić stolicy.

Wincior i chłopiec po krótkim odpoczynku w brzezince skierowali się wraz z innymi w stronę Bzury, nad której wschodnim brzegiem, jak zapewniano, umocniły się dwa pułki piechoty i szwadron ułanów. Wkrótce jednak oderwali się od szosy i poszli umęczeni, by skrócić drogę, na przełaj piaszczystymi dróżkami, ścieżkami, miedzami niw i duktami leśnymi.

A za nimi — ognie i dymy. A przed nimi — wybuchy straszliwe, a nad nimi łoskot dornierów przelatujących w kierunku Warszawy. Dudniło niebo, jęczała ziemia pruta bombami, a oni wciąż parli naprzód i dopiero pod wieczór, nad brzegiem upragnionej rzeki, na skraju sosnowego lasu zapadli w poszycie i legli.

A nad tą rzeką, nad tym lasem unosiła się powoli księżycowa pełnia, cicha i senna, jakby nie krwawa pożoga wojenna, ale wieczny spokój trwał na polskiej ziemi.

Poderwał ich terkot motoru, przyczaili się więc za cienistym jałowcem. Po chwili na piaszczystej drodze do Żychlina ukazał się motocykl z przyczepą i trzema wehrmachtowcami w ochronnych bluzach.

— Niemcy — szepnął chłopiec.

— Niemcy — potwierdził Wincior kiwnąwszy głową.

Patrzyli, jak motocykl zbliża się na cichych obrotach, dekuje się za przydrożnymi krzakami i jak po wyciszeniu motoru na drodze ukazuje się żołnierz z przewieszonym mapnikiem i lornetką w dłoni. Idzie powoli w stronę rzeki, rozglądając się ostrożnie dookoła.

Wincior i chłopiec, niewidoczni, uważnie obserwowali każdy jego ruch. A kiedy po chwili zatrzymał się i zaczął na mapie coś oznaczać, Wincior szepnął do chłopca:

— Daj no strzelbę! Załadowana?

— Pełny zamek.

— Więc uważaj!

— To prujcie!

Wycelował Wincior w żołnierza, ale ten w tym momencie obrócił się, obserwując zaplecze.

— No, czemu nie prujecie?

— Bo w tył głowy się nie strzela!

— Ale to wróg!

— Nawet do wroga, sraluchu!

— A teraz? — zapytał chłopiec, gdy żołnierz się odwrócił.

— Teraz można. Uważaj! — Błysnęła lufa ogniem, rozniosły się głośne wystrzały po lesie. Wypadła lornetka z rąk żołnierza, który podskoczył, zgiął się i padł na drogę.

— Leci drugi! — krzyknął nagle przerażony chłopak, wskazując ręką, ale Wincior wygarnął ponownie i spłoszył go wystrzałami.

Leżeli pod jałowcem na wilgotnym mchu, obserwując okolicę, i po minucie dobiegł ich warkot oddalającego się motocykla. Cichł powoli, aż wreszcie zamilkł zupełnie.

— Słyszycie? — zapytał nagle chłopiec Winciora.

— Słyszę.
— Jęczy!

— Jęczy. Pewnie ciężko ranny. Padł twarzą do ziemi. Ale cisza i spokój, bo mogą być w pobliżu niemieckie patrole. Poczekamy jeszcze trochę, a później poszukamy brodu i furtniemy na drugi brzeg rzeki.

Leżeli wtuleni w wilgotny mech, nasłuchując i wypatrując.

— Ale jęczy! — odezwał się chłopiec.

— Ano jęczy. Przecież wojna — uspokajał go Wincior.

— I woła, słyszycie? „Herr Jesus! Mutti, Wasser! Mutti, Wasser!" Może mu tę resztę wody, co w naszej manierce? Jak uważacie?

— Leż spokojnie, syneczku. Leż i odpoczywaj. Jak wojna, to wojna, uważasz? — przestrzegał Wincior.

Więc chłopiec leżał spokojnie, przerażony niedawną strzelaniną, głodny, zziębnięty i rozgorączkowany, ze ściśniętym sercem, nasłuchując jęku rannego żołnierza...

Naraz poderwał się Wincior z pistoletem spod jałowca, czujny na każdy szelest, i rozejrzawszy się dokoła zaklął straszliwie, nie ujrzawszy chłopca.

— Poleciał, kurwa, z tą swoją manierką! Ech, ty, serce słowiańskie! Sraluchu! — pomstował biegnąc w kierunku piaszczystej drogi.

Wtem sparaliżowały go suche wystrzały rewolwerowe.

Czyżby? — zatrwożył się, przystając i tłumiąc ręką bicie serca.

Nagle na drodze rozległ się tupot. Od strony rzeki biegli zaalarmowani pierwszymi wystrzałami polscy żołnierze, którzy przeprawili się przez rzekę w pontonowej łodzi.

Podskoczył do nich Wincior, objaśnił, co i jak, i popędzili razem we wskazanym kierunku.

Gdy nadbiegli na miejsce, ujrzeli dwa trupy: zastrzelonego chłopca, którego przeląkł się ranny, sądząc zapewne, że chce go dobić, a w oddali na dukcie wehrmachtowca z rewolwerem w ręku przy skroni.

Stali wstrząśnięci żołnierze nad ciałem chłopca, gdy dowódca ich przeszukiwał jego kieszenie, chcąc znaleźć dokumenty.

Stali, wzdychali i żałowali poległego, a Wincior prosił ich z płaczem:

— Żołnierze, złóżcie na krzyż polskie karabiny, nieście chłopca, ja za nim jak ojciec za synem, ale płakać nie będę.... Nieście wolno do lasu przez te rośne trawy, by leżał bliżej rzeki, w pobliżu Warszawy. Nieście go, nieście, lekiego jak ptaka, lecz ja płakać nie będę, bo gdybym zapłakał... A teraz złóżcie chłopca pod tą polską sosną, niech śpiewa mu jak matka swemu dziecku do snu. A ja mu tym szpadelkiem, zanim błysną zorze, grób wykopię, pogrzebię i darnią obłożę. A kiedy łzę ostatnią obetrę rękawem, przepłynę z wami rzekę, by bronić Warszawy.

Kiedy razem schodzili z leśnej skarpy nad rzekę, na rozgwieżdżonym niebie kołysała się cicha i senna księżycowa pełnia, jakby nie krwawa pożoga wojenna, ale wieczny spokój trwał na świętej, polskiej ziemi.

PROBLEMY

POWRÓT DO OBCOŚCI

Dalszy ciąg ze str. 1

W Friedland cała rodzina została oficjalnie zarejestrowana. Wypełniono liczne formularze. Roszok musiał też odpowiedzieć na mnóstwo pytań, nim po czterech dniach cała czwórka pomaszerowała ponownie na dworzec z walizkami w rękach. Tym razem droga wiodła do obozu w Unna, miejscowości położonej na dalekich krańcach Zagłębia Ruhry.

Pani Roszok otworzyła oczy ze zdumienia.

Foto: Archiwum

Wyjeżdżający z Polski nie znają w ogóle niemieckiego, bądź go kaleczą w sposób dla miejscowego ucha rażący. Więc wszystkich kieruje się na kursy. W obozie przejściowym w Unna takie kursy prowadzi pan Sydow. Problemów językowych, zdaniem kierownika kursów, nie ma. Dzieci są pojętne i jak to dzieci uczą się obcego dla nich języka stosunkowo szybko. Gorzej ze starszą generacją. Starsi nigdy już nie nabiorą odpowiedniego akcentu, zawsze zdradzą się wymową, że pochodzą z innych stron. Język tą najwyższą przeszkodą jednak nie jest. Już trudniej przezwyciężyć bariery natury socjalnej i społecznej. Nasze społeczeństwo, powiada Herr Sydow, funkcjonuje na zupełnie innych zasadach. Dla przykładu doszło tu ostatnio do tragicznego wypadku. Jeden z chłopców poszedł jakby nigdy nic przez bramę, w samych tylko spodenkach, do widocznego między drzewami basenu. I został poszczuty psem. To była prywatna posiadłość.

W obozie przejściowym Bochum-Kirchharpen mieszka od dwóch lat rodzina B. ze Strzelec Opolskich. Holzach wyjaśnia, że bardzo go o to proszono, by nie podawał pełnego brzmienia nazwiska tej rodziny. Głowa tej familii, wykwalifikowany mechanik miał szczęście. Jako dobry fachowiec znalazł pracę w prywatnym warsztacie naprawczym.

— Finansowych kłopotów nie mamy — zwierzyła się dziennikarzowi Urszula, córka tego mechanika — Wiedzie się nam znośnie. Brakuje jednak innych rzeczy. Nie mamy żadnych, praktycznie, kontaktów z miejscową ludnością. Przybysze z Polski przebywają w obozach, są zawsze razem, a nawet gdy przeniesiemy się do nowego osiedla Rosenberg, które jest teraz budowane, to też będziemy mieszkać tam razem jak w getcie. Jesteśmy tu traktowani jak mniejszość narodowa, choć zdawało się nam, że jedziemy do swoich. Jeszcze i to, że przywykłam do tego, że studenci wzajemnie sobie pomagają. Tak było w Polsce. Tutaj jest inaczej, każdy dąży do tego, by sam uzyskał jak najlepsze oceny. Tu każdy tylko dla siebie...

Otóż właśnie, w krajach Zachodu walka o byt traktowana jest z całą powagą na wszystkich społecznych szczeblach. Albo ty kogoś, albo ten ktoś ciebie. Ktoś musi przegrać, żeby ktoś mógł wygrać. Nikt tam w żadne ceregiele się nie bawi. Albo, albo... Mechanik B. usilnie prosił by jego nazwiska nie publikować. Można to zrozumieć. Dawno przecież się zorientował, że w Bundesrepublice uważany jest za Polaka, że patrzy się nań jak na auslendera, na kogoś zupełnie obcego. Wie, że nigdy już w ten grunt korzeniami nie wrośnie. Zdaje sobie też z tego sprawę jego 55-letnia matka, zatrudniona jako pomoc w dużej restauracji.

Kobieta poskarżyła się dziennikarzowi:

— Choć jestem najstarsza z tych wszystkich, co pracują w kuchni, to najgorsze roboty zwala się zawsze na mnie. Kiedy te młode koleżanki sobie chichoczą, to ja muszę taszczyć ze spiżarni te najcięższe skrzynie z kiełbasą. Kiedy one się malują i już są gotowe do wyjścia, to jeszcze muszę za wszystkich powynosić kosze ze śmieciami. Tak na każdym kroku, a to jest dla mnie ciężka lekcja...

Tym bardziej ciężka to lekcja, że upokarzająca i prawdopodobnie nieoczekiwana. Tam, na Zachodzie przyjmą cię z otwartymi rękami, ucałują, obdarują i wynosić będą pod niebiosa... Bajki, kompletna bzdura. Taki sąd o tamtym świecie może tylko wydać, kto nigdy nie potrącił butem zachodniego brzegu. To nie tak. To nie w tamtejszym obyczaju podać komuś rękę. Radź sobie sam. Licz tylko na siebie. Pokaż co umiesz. A jak nie umiesz, to idź po zapomogę, a mnie nie zawracaj głowy. Egoizm Zachodu... no właśnie, czy to aby nie Adenauer oświadczył jeszcze w latach pięćdziesiątych, w gronie swych najbliższych współpracowników, panowie, postawmy na sacro egoismo, postawmy na wrodzony człowiekowi egoizm, a wszystko rozwiąże się samo. Czy widział kto ptaka, żeby znosił do cudzego gniazda? Niech każdy dąży do swoich egoistycznych celów, a całe państwo się na tym wzbogaci.

Owszem, niektórzy się przez te lata pobogacili, niektórzy...

Mechanik B. bogactwo dawno już sobie wybił z głowy. Kariery tam nie zrobi. Nie ten start i nie to zaplecze. Nawet majstra się nie dochrapie. Nie dla niego te zaszczyty.

Rolnik Brunon Komorowski opuścił z żoną duże gospodarstwo w Biesowie pod Olsztynem. Wyjechał na stałe do Bundesrepubliki. Dobre to było gospodarstwo, 13 hektarów niezłej ziemi, dwie mlecznice, dwa konie, świnie, drób, dostatnio się żyło na tym gospodarstwie. W Bochum 43-letni Komorowski znalazł pracę przy taśmie montażowej zakładów samochodowych „Opel". Szaleńcza robota. Ruchy odmierzone jak w zegarku. I ten huk. Ten zaduch. To ciągłe napięcie. Ta dyscyplina. Gdy Komorowski chciał na moment pójść do toalety, wpierw musiał się odmeldować u majstra. Tak się tam pracuje, albo, albo.

— Stała się rzecz tragiczna — pisze w swym reportażu Holzach — Komorowski stracił nagle mowę. Nie brał niczego do ust. Popadł w apatię. Leżał całymi dniami w łóżku i oddawał się rozmyślaniom. Uznano więc, że jest „arbeitsunfähig" i zwolniono go z pracy. Komorowski, niegdyś chłop o karku byka, dziś chudy i wymizerowany, dostał po wielu zabiegach pracę w niewielkiej lakierni. Tu już tego tempa nie ma. Robota jest spokojniejsza. Komorowski jednak powiada, co z tego, kiedy straciłem moją wolność, straciłem też moje ukochane gołębie...

Holzach dodaje:

— Według posiadanych przeze mnie informacji **w ambasadzie polskiej w Kolonii leży 800 podań dotyczących w sumie 3500 osób, które pragną niezwłocznie powrócić do Polski. Jako motyw tej decyzji większość podaje, soziale Isolierung.**

Wszystko więc się zgadza i to koło się zamyka. Socjalna izolacja, społeczne odosobienie, przeświadczenie, że się zeszło na status obywatela drugiej, jeśli nie trzeciej kategorii. Na powrót decydują się ci, którzy już się duszą, już dłużej nie mogą. Wielu jednak się nie poddaje, wciąż od nowa próbuje się przepchnąć, aby tylko się nie przyznać do życiowej pomyłki i życiowej klęski. Już kończę. Bo właściwie cóż do tego dodać? **Fakty przytaczane przez niemieckiego dziennikarza dostatecznie są wymowne.**

JAN BĄBIŃSKI

DO OBCOŚCI

— Tu w Unnie więcej jest aut na ulicy niż w Bytomiu było bulek u piekarza — zwierzyła się dziennikarzowi. — A ilu jest rzeźników. Wszędzie można kupić kiełbasy ile tylko się zechce i nigdzie nie stoi się w kolejkach. W domu towarowym widziałam całe piętro tylko z lampami i żyrandolami, a wyżej same znów zabawki dla dzieciaków. W głowie się kręci. Czasem to mi się zdaje, że odwija mi się przed oczami kolorowy film.

Michael Holzach dodaje od siebie:

— Po dokonaniu w Unna tych pierwszych zakupów Roszokowie wejrzeli do portmonetki z nie ukrywanym zdziwieniem. Więc to tak... połapali się, **że 660 marek wystarcza w Bundesrepublice na utrzymanie czteroosobowej rodziny zaledwie przez dwa tygodnie..**

Jasne, przeliczyli się, wielu przecież liczy, tylko że nie od tej strony. Może zresztą Roszokowie liczyli i dobrze, tyle że po czarnorynkowych kursach sprzed sklepów „Pewexu". Nie jest dla nikogo tajemnicą, że za jeden bon dolarowy żąda się w Polsce na czarnym rynku 100—120 złotych. **Jest to kurs obłędny, nierealny, po prostu bzdurny. Licząc po tym kursie państwo Roszokowie doszli widocznie do przeświadczenia, że jedna zachodnioniemiecka marka warta jest 50 złotych. I raptem to nagłe przebudzenie. Różowy sen prysnął w okamgnieniu. Dolar na Zachodzie wart jest wszystkiego 18—20 złotych polskich. Marka warta jest złotych polskich 8—9. I nie jest warta ani feniga więcej. Taka jest rzeczywistość. Strzyżenie u fryzjera kilka marek. Przejazd tramwajem po krótkiej stosunkowo trasie kosztuje półtorej marki, gazeta kosztuje markę.**

Pewnie, że auta i te inne rzeczy są tam tańsze. Przedtem jednak, nim się wsiądzie do auta, trzeba się w coś odziać, trzeba coś zjeść i gdzieś zamieszkać. W najtańszym hotelu płaci się 20—30 marek za dobę. Za parę męskich półbutów trzeba wyłożyć 80—90 marek. Ręcznie szyte są dwukrotnie, nawet trzykrotnie droższe. Za taki sobie garnitur płaci się 300—400 marek. Tak, tak lepiej już bez złudzeń.

SCYTOWIE

HISTORIA ZŁOTEGO PEKTORAŁU

Sztukę można określić jako
rzetelną próbę oddania najwyższej
sprawiedliwości widzialnemu światu...
J. Conrad

Była to prawdziwa sensacja archeologiczna 1971 roku. W trakcie wykopalisk archeologicznych, prowadzonych przez Ukraińską Akademię Nauk w okolicach miasta Ordżonikidze, w kurhanie Tołstoja Mogiła natrafiono na nienaruszony scytyjski grobowiec królewski. Zaskoczenie było tym większe, że nikt początkowo nie spodziewał się większych rewelacji. Sam kurhan Tołstoja Mogiła był co prawda imponujących rozmiarów, liczył sobie bowiem 9 metrów wysokości i 70 metrów średnicy, ale w okolicy, w której się znajdował, wydobywano z ziemi liczne co prawda świadectwa scytyjskiej kultury, były to jednak niemal wyłącznie przedmioty z brązu, żelaza i kości. Badano tydzień po tygodniu 9-metrowe wzgórze. Buldożery zdejmowały warstwę ziemi po warstwie. W sumie usunięto 15 tysięcy metrów kubicznych ziemi. Na razie zdumiewała tylko archeologów praca, jaką musieli wykonać budowniczowie tego ogromnego kurhanu. Scytowie przywozili ziemię na budowę wzgórza z miejsca odległego o 5 km aby jamami nie zakłócać harmonii stepowego krajobrazu. Potężna ciężarówka pracę tę wykonać by musiała w tysiącu rejsach.

Niepewność, co do końcowego efektu podjętych prac wzbudziło odkrycie szczątków tunelu, którym „złodzieje grobów" usiłowali dotrzeć od wnętrza kurhanu. Ileż to razy archeolodzy dotarłszy wreszcie do wnętrza grobowców, zastawali je „splądrowanymi" doszczętnie? Proceder okradania grobowców znany był nie tylko już w starożytnym Egipcie, ale i wszędzie tam, gdzie chowając władców, dostojników i kapłanów grzebano wraz z nimi broń i kosztowne przedmioty. A czyniono tak niemal w każdej starożytnej cywilizacji. Tym razem jednak, po kilku metrach stwierdzono, że „tunel rabusiów" nie dociera do domniemanych komór grobowych. Może więc jednak?

Nareszcie, po dniach wytężonej pracy, natrafiono na dwie krypty pochodzące z dwóch różnych okresów. Starsza okazała się być grobowcem króla Scytów, królowej i małego królewicza. Łączyły ją z późniejszą kryptą dwa korytarze. Obie były nietknięte — archeologom ukazały się wnętrza takie, jakie pozostawiono w dniu pogrzebu, to jest dwa i pół tysiąca lat temu...

Poza drewnianymi sarkofagami rodziny królewskiej znaleziono zwłoki sług, koni oraz wielką ilość bezcennych dla nauki i dosłownie, przedmiotów. Znaleziono także złoty pektorał — niespotykany dotąd w wykopaliskach scytyjskich klejnot misternej roboty, ze scenami z codziennego życia Scytów. Nie tylko jednak sam klejnot, ale też miejsce, w którym został on odkryty wzbudziły zdumienie archeologów. Leżał on obok żelaznego miecza dwusiecznego w złotej pochwie, zdobionej bogato motywami zwierzęcymi, w jednym z dwóch korytarzy łączących obie komory. Dlaczego pozostawiono właśnie tam owe przedmioty? Miejsce dość dziwne i nietypowe dla tego rodzaju rzeczy. Czy przez zapomnienie, czy dla jakiejś innej przyczyny? Tego raczej nie dowiemy się nigdy. Pytanie, dlaczego pektorał i miecz nie znajdowały się w którejś z krypt pozostanie wieczną tajemnicą Tołstoj Mogiły. Wszak pektorał, to nie tylko złoty, bogaty naszyjnik — to także, a raczej przede wszystkim, insygnium władzy królewskiej.

Dlaczego więc?...

Scytyjski pektorał, odnaleziony w Tołstoj Mogile skomponowany jest z trzech równoległych półksiężycowych fryzów. Górny i dolny wypełniają miniaturowe rzeźby nie przekraczające trzech centymetrów w liczbie ponad dwudziestu. Przedziela je pośrodku fryz ornamentalny.

W dotychczasowych znaleziskach scytyjskich dominowały obrazy przedstawiające wojowników, jeźdźców, myśliwych, sceny z walk i polowań, rytualne obrzędy, motywy zwierzęce i roślinne. Tym razem na pektorale ukazały się oczom współczesnych sceny z życia codziennego i to — co jest najbardziej zdumiewające — z udziałem kobiet. Na górnym fryzie widzimy dwóch Scytów szyjących kurtkę z owczej skóry, obok nich leżą odłożone chwilowo kołczany. W ręce jednego z nich wyraźnie dostrzec można igłę z nawleczoną nitką. Jest to scena centralna całej kompozycji. Dalej mamy postacie kobiet: jedna doi owcę, druga zaś przelewa mleko do amfory. Ze scenami górnego fryzu, który przedstawia sceny z pasterskiego życia skontrastowany jest fryz dolny, pełen dynamicznych układów obrazujących krwawą walkę dzikich koni z gryfami, mitycznymi uskrzydlonymi lwami.

Twórca pektorału przeciwstawił sobie dwa światy: codzienne, pasterskie, spokojne życie ze śmiertelną walką, strachem i niepokojem. W tych dwóch kontrastujących ze sobą obrazach zamknął artysta istotę kultury i historii Scytów, utrwalił w żółtym metalu ponadczasowe uogólnienie ludzkich losów.

Plemiona scytyjskie zamieszkiwały w okresie od VII w. p.n.e. do II w.n.e. północne wybrzeża Morza Czarnego. Wypracowały wysoką kulturę, która przejawiała się szczególnie w bardzo rozwiniętym rzemiośle artystycznym, głównie metalurgicznym.

We wczesnym okresie rozwinął się tzw. „styl zwierzęcy", w którym znajdujemy wiele wspólnych cech ze sztukę Saków.

Scytowie byli spokrewnieni z plemionami Saków i Sarmatów zamieszkujących w pierwszym tysiącleciu p.n.e. Azję Środkową. Wzmianki o Sakach znajdujemy często u starożytnych autorów m. in. u Herodota, Ktezjasza, Strabona, Arriana, Ptolomeusza. Donoszą o nich również dokumenty staroperskie, chińskie i induskie. Te wojowniczo-koczownicze plemiona panowały onegdaj (XVII—VIII w.p.n.e.) na ogromnych obszarach rozciągających się od Morza Arabskiego po wschodni Turkiestan, od jeziora Batchasz po Ałtaj i Pamir. Był moment, że wtargnęły one aż w rejony północnych Indii. Znaleziska w Tien-szaniu, Kraju Semireczeńskim, Ałtaju, w Pamirze, w rejonach Ałma-Aty, Syr-Darii i Amu-Darii i nad Morzem Aralskim dostarczyły ponadto wielu różnorodnych zabytków ich kultury. Plemiona Saków wypracowały wysoką kulturę, która przejawiała się szczególnie w rzemiośle artystycznym. Ich wyroby z brązu, żelaza, złota odznaczają się wysokim kunsztem umiejętności rzemieślniczej i wielkim poczuciem artyzmu. Również w dziedzinie tkaniny (wyroby z wojłoku) rzemiosło Saków szczycić się może dużymi osiągnięciami. W zdobnictwie metalowym i w aplikacjach na tkaninach chętnie używali Sakowie motywów zoomorficznych, które potem przejęli od nich właśnie Scytowie.

W rzeźbie widać wyraźnie wpływy sztuki lurestańskiej i asyryjskiej. Niektórzy naukowcy dopuszczają nawet tezę, aby kulturę Saków i Scytów traktować jako jedną, scytosakijską cywilizację, wyrosłą na podobnych warunkach bytowania, a obejmującą swym zasięgiem obszar od Karpat po Pamir i Ałtaj.

„Styl zwierzęcy" Scytowie rozwinęli i podnieśli do rangi wielkiej sztuki. Przedstawiane przez nich zwierzęta świadczą o wnikliwej obserwacji natury i skłonności artystów scytyjskich do syntezy ruchu i dynamicznych układów. Obok zwierząt przedstawiano chętnie także twory fantastyczne i mitologiczne, a więc skrzydlate gryfy, sfinksy, zwierzęta z ludzkimi głowami obok ornamentów geometrycznych i roślinnych. Od V w. p.n.e. daje się zauważyć w kulturze scytyjskiej silne i coraz bardziej wzrastające wpływy sztuki greckiej. Prosty i syntetyczny styl zwierzęcy ustępuje miejsca rozbudowanym, barokowym przedstawieniom figuratywnym i kompozycjom ornamentalno-dekoracyjnym. W okresie późniejszym, twórcami wyrobów rzemiosła artystycznego byli Grecy i pracujący pod ich wpływem rzemieślnicy scytyjscy, jednakże różnice między nimi dają się dość łatwo ujawnić. Greccy rzemieślnicy byli bardziej umowni w odtwarzaniu scen z życia codziennego. Twórcy rodzimi z większą wiernością, z większym stopniem realizmu i ekspresji odtwarzają sceny bitew i obozowego życia, szczegóły uzbrojenia i ubioru.

Rzemiosło artystyczne, kowalstwo, zdobnictwo, wybór biżuterii ze złota, drogich i półszlachetnych kamieni stały u Scytów na bardzo wysokim poziomie. Dzięki rozwiniętemu kultowi zmarłych, zachowało się w grobowcach stepowych wiele przedmiotów, które poza wartościami natury estetycznej niosą nam liczne i szczegółowe informacje o historii, życiu, obyczajach plemion scytyjskich. Zachowane resztki architektury w Neapolu Scytyjskim i starej stolicy Scytów, w pobliżu miasta Kamienskoje nad Dnieprem, świadczą o budownictwie opartym na miejscowej tradycji i wpływach greckich oraz o upodobaniach do zdobnictwa i dekoracyjności (freski i mozaiki).

Anonimowy twórca złotego pektorału z Tołstoj Mogiły był artystą wysokiej miary. Znał wyśmienicie nie tylko wszelkie arkana sztuki rzeźbiarskiej, ale doskonale radził sobie z tworzywem, w tym wypadku ze złotem. Badacze starożytności przyrównują go do wielkich mistrzów sztuki greckiej, do Lizypa, Praksytelesa, Fidiasza. *Stworzony przez niego klejnot jest unikalny. Podobnego jemu próżno by szukać w dotychczasowych znaleziskach scytyjskich. A oglądać go można „na stałe" w Ermitażu, a „chwilowo" w Muzeum Narodowym w Warszawie obok złotego Jelenia ze Stanicy Kostromskiej (VI w. p.n.e.), złotego grzebienia ze sceną batalistyczną (V w. p.n.e.), obok elektronowego naczynia z kurhanu Kul Oba ze scenami z życia Scytów (IV w. p.n.e.).*

ANDRZEJ GRUN

Dalszy ciąg ze str. 1

wej części Chile. Kiedy nazizm zaczął święcić triumfy w Rzeszy również tam, w odległej Ameryce Południowej, Niemcy założyli brunatne uniformy oddziałów szturmowych, a na ich domach pojawiły się sztandary ze swastyką. Nie była to bynajmniej tylko zwykła manifestacja solidarności z Trzecią Rzeszą i jej führerem. Oni także mieli swoją misję. Jeszcze w 1911 r. Richard Tannenberg w swej książce: „Wielkie Niemcy: Dzieło Dwudziestego Wieku", wysunął teorię, zgodnie z którą znaczna część Brazylii i Argentyny, cały Urugwaj, Paragwaj oraz wschodnia Boliwia miały się stać niemiecką kolonią w Nowym Świecie. Niespełna trzydzieści lat później przywódca nazistów w Ameryce Południowej Arnold Fuhrmann nakreślił konkretny plan podboju Urugwaju.

Toteż nic dziwnego, że FBI dzięki informacjom otrzymywanym od swych agentów w tych krajach oraz wywiadu brytyjskiego doszła do wniosku, że jedyną i zarazem najlepszą drogą zapewnienia sobie kontroli nad siecią agentów hitlerowskich w USA będzie zlikwidowanie ich szpiegowskich gniazd w Ameryce Łacińskiej. Mogło to być jednak osiągnięte tylko pod warunkiem nawiązania ścisłej współpracy z państwami Ameryki Środkowej i Południowej. Ale działaniom takim musiała zarazem towarzyszyć zręczność i talent dyplomatyczny, chodziło bowiem o to, aby oczekiwany rezultat osiągnąć nie przysparzając kłopotów tak Stanom Zjednoczonym, jak i ich południowym sąsiadom. Problem ten na początku maja 1940 był przedmiotem dyskusji między dyrektorem FBI Hooverem a zastępcą sekretarza stanu USA Adolfem A. Berle, zaś nieco później, w czerwcu Hoover rozmawiał na ten temat z generałem Shermanem Milesem, zastępcą szefa oddziału G-2 sztabu sił lądowych (wywiad wojskowy) oraz admirałem Walterem S. Andersonem, szefem wywiadu morskiego. Rezultatem tych dyskusji była propozycja o powołaniu do życia Special Intelligence Service (SIS-Specjalna Służba Wywiadowcza), do której zadań miało należeć operowanie na obcych terytoriach. Berle zgodził się przedłożyć odpowiedni projekt Departamentowi Stanu i prezydentowi celem uzyskania ich aprobaty.

Ustalono, że SIS będzie działać jak agencja serwisowa, zaopatrując Departament Stanu, dowództwa wojskowe FBI i inne agendy rządowe w informacje na temat działalności politycznej, dywersyjnej, handlowej i finansowej kół nazistowskich w Ameryce Południowej, które miały za zadanie osłabiać bezpieczeństwo USA. Kiedy przedstawiono projekt prezydentowi Rooseveltowi zadecydował on, że odpowiedzialność za działalność wywiadowczą na zachodniej półkuli powinno się powierzyć Hooverowi i jego ludziom. 24 czerwca 1940 r. odpowiednia dyrektywa została przygotowana i w okresie co najmniej 30 dni FBI polecono zorganizować operację SIS oraz przerzucić agentów na południe. Większość spośród nich byli to ludzie z wieloletnim doświadczeniem, dobrze przygotowani do pracy konspiracyjnej co stwarzało szansę, że nie zostaną łatwo wykryci. Nieco później wysłano następnych, których włączono do personelu ambasad i misji wojskowych, gdzie pełnili funkcje oficerów łącznikowych przy dowództwach sił zbrojnych i policji, oczywiście za aprobatą rządów tych krajów. Jeden z tajnych agentów rozpoczął swoją działalność w Ameryce Południowej jako przedstawiciel handlowy pewnego amerykańskiego koncernu mydła, szefowie którego notabene nigdy nie dowiedzieli się prawdziwego celu jego misji. W ciągu zaledwie kilku miesięcy obroty handlowe dzięki jego działalności wzrosły tak dalece, że firma musiała wydatnie zwiększyć eksport mydła i wciąż okazywało się, że istnieją dalsze możliwości wzrostu. W rezultacie lokalni handlowcy związani z firmą zmuszeni zostali do odstąpienia koncesji i wycofania się ponieważ nie byli w stanie wytrzymać konkurencji. Tymczasem energiczny Amerykanin poczynał sobie coraz śmielej i niebawem udało mu się nawiązać korzystne kontrakty ze strony kół handlowych oraz rządowych i jak się okazało nie tylko kontrakty. Inny młody człowiek założył z kolei firmę maklerską i w krótkim czasie zdobył sobie dość poważne wpływy na giełdzie. Raporty giełdowe, które wysyłał ze swej firmy przyniosły mu niebawem uznanie w argentyńskich kołach handlowych. Utrzymywał łączność radiową z Nowym Jorkiem toteż wkrótce interesy jego klientów na giełdzie nowojorskiej wyniosły ponad 600 tysięcy dolarów. Uzyskiwał więc z tego tytułu wcale niezły dochód, ale jego raporty dla FBI były jeszcze obfitsze w informacje niż raporty giełdowe dla klientów.

W innym znów mieście argentyńskim rozpoczął pracę reportera młody Amerykanin. Niebawem otworzyły się przed nim drzwi lokalnych klubów i do Stanów Zjednoczonych zaczęły napływać artykuły, w których zawierał tak własne spostrzeżenia o tym co dzieje się w Argentynie, jak i wyciągi z interesujących publikacji dotyczących spraw Ameryki Łacińskiej. Ten nieco osobliwy o chłopięcym wyglądzie reporter, którego dalej będziemy nazywać George Stevens, był również agentem FBI. Jedną z jego ulubionych melin był mały hotelik prowadzony przez człowieka, którego rodzice żyli w III Rzeszy. Choć próbowano nawiązać z nim kontakt nie chciał jednak przystać na współpracę. Właściciel hotelu był zarazem prezesem zrzeszenia handlowców, tak posiadających własne, drobne przedsiębiorstwa, jak i zatrudnionych w dużych firmach czy agendach rządowych. Codziennie przez jego biuro przewijało się w związku z tym wielu różnych ludzi. Toteż Stevens postanowił to wykorzystać i pozyskać jego pomoc. Wybrał się więc pewnego dnia do biura hotelarza.

Siedząc przy filiżance kawy, Stevens zwierzył się z celu swej wizyty:

„Chciałbym napisać cykl artykułów na temat grup narodowościowych jakie żyją w tym mieście. Czy mógłbym liczyć na pańską pomoc przy zbieraniu informacji?"

NA POŁUDNIE OD RIO GRANDE

W tym momencie przyjrzał się uważnie twarzy właściciela hotelu starając się dokładnie zaobserwować jaką reakcję wywoła u niego ta propozycja. Hotelarz podniósł wzrok i utkwił go w twarzy młodego Amerykanina. Badał jego intencje. Stevens czuł, że jego rozmówca chyba nie jest przekonany, że naprawdę chodzi mu tylko o materiał do artykułu, chyba zrozumiał propozycję. Minęła pełna minuta, gdy wreszcie hotelarz przerwał milczenie i odpowiedział. Głos jego był spokojny i opanowany:

„Jeżeli udzielę panu takich informacji to czy dotrą one do właściwych ludzi?"

Stevens kiwnął twierdząco głową.

„Obiecuję, że nie musi się pan obawiać żadnych kłopotów".

Nie była to żadna gwarancja na piśmie, czy w jakiejś innej formie. Nie była bowiem potrzebna. Ci dwaj ludzie rozumieli się doskonale.

„Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak ten człowiek", wspominał później Stevens. — **„Jego ludzie darzyli go takim zaufaniem, że gdyby im kazał skoczyć w przepaść zrobiliby to".**

„Przynajmniej raz w tygodniu policja śledziła mnie. Ale zawsze wiedziałem wcześniej kiedy to nastąpi i wówczas wcielałem się w skórę zapalonego reportera. Detektywi, którzy węszyli za mną nigdy nie wiedzieli kiedy właściciel hotelu udzielał mi poufnych informacji ponieważ miał on swojego człowieka w komendzie policji".

„Pewnego dnia — wspomina dalej Stevens — **nasi ludzie dali mi znać, że dwóch Niemców, co do których istniały podejrzenia, że zajmują się szpiegostwem na rzecz III Rzeszy, udało się samochodem do sąsiedniego kraju. Polecono mi dowiedzieć się kim są, dokąd pojechali, z kim się spotkali i czy wrócą z powrotem. Łatwo powiedzieć ustal fakty, kiedy nawet nie znałem nazwisk tych ludzi. Poszedłem więc do mego przyjaciela. Powiedział mi aby pojawił się za kilka dni. Gdy przybyłem w umówionym terminie poprosił abym przyszedł później. Jednak następnym razem także nie miał dla mnie informacji. Zapytałem go wówczas czy zadanie to nie przekracza jego możliwości. W odpowiedzi odrzekł krótko: przyjdź jutro. Kiedy znów pojawiłem się u niego wręczył mi notatkę napisaną na maszynie, a dotyczącą owych Niemców. Był tam podany numer rejestracyjny samochodu, którym jechali, cel podróży a nawet streszczenie rozmowy jaką prowadzili w czasie drogi. Wynikało z niej, że mają się niebawem spotkać w Argentynie. Poza tym chodziło tu nie o dwóch, a o trzech Niemców. Był to jeden z niezwykle szczegółowych raportów, dzięki czemu mogliśmy wkrótce wykryć całą szpiegowską siatkę".**

„Może mi pan powiedzieć w jaki sposób udało się uzyskać tak dokładne informacje?" —zapytałem właściciela hotelu. Ten uśmiechnął się i odpowiedział:

„Człowiek, który był kierowcą ich wozu jest jednym z moich ludzi. Kiedy ktoś chce wynająć samochód w tym mieście kierowcą jest zawsze mój człowiek".

Stevens wspomina jednak, iż raz o mało nie spowodował zerwania swych kontaktów z hotelarzem.

„Robił tak wiele dla nas, że zaproponowałem, iż będziemy mu płacić za otrzymywane informacje. W pierwszej chwili myślałem, że wyrzuci mnie ze swego biura ale on tylko chłodno odpowiedział: „To co robię dla was, czynię z serca" — nie dla pieniędzy. Ostatecznie chcąc wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji powiedziałem, że nie chodzi o pieniądze dla niego osobiście, a po prostu o pokrycie wydatków na zbieranie informacji. Jeszcze przez długi okres człowiek ten oddawał nam nieraz nieocenione usługi". — kończy swoją relację Stevens.

Choć większość rządów Ameryki Południowej i Środkowej chętnie pomagała amerykańskiemu wywiadowi w jego akcjach przeciwko niemieckim szpiegom, były również kraje, m.in. właśnie Argentyna gdzie policja i przedstawiciele rządu odnosili się do tego raczej z wrogością. W tych warunkach praca agentów SIS nie tylko nie była łatwa, ale wręcz niebezpieczna. Mimo to demaskowano wciąż nowe kryjówki niemieckich szpiegów, czego wymownym dowodem jest sprawa inżyniera Josepha Starziczny'ego.

Hitlerowski aparat wywiadowczy na półkuli zachodniej koncentrujący się pierwotnie w Brazylii, Argentynie, Chile i Meksyku, w czasie wojny objął swym zasięgiem niemal wszystkie państwa Południowej i Środkowej Ameryki. Wśród nich pierwszoplanowe znaczenie nadawano Meksykowi, jako że kraj ten sąsiadował ze Stanami Zjednoczonymi, był obiektem głównego zainteresowania Abwehry i wywiadu SS. W USA zdawano sobie sprawę, że od momentu gdy nad światem zaczęły gromadzić się ciemne chmury wojny, pole konfrontacji głównych stron konfliktu będzie bardzo szerokie. A tymczasem ów kraj był właściwie do tego zupełnie nieprzygotowany, w jego systemie bezpieczeństwa było wiele newralgicznych punktów, jak chociażby stosunki z państwami kontynentu południowoamerykańskiego. Niektóre z nich, o ile nie otwarcie, to skrycie sprzyjały III Rzeszy. Jednak gdy minął okres początkowych, błyskotliwych zwycięstw Osi, nie pozostało to bez wpływu na ich stosunki z państwami półkuli zachodniej jak np. z Brazylią.

Brazylia pogorszyła swoje stosunki dyplomatyczne z Osią w początkach 1942 roku. Stało się to zarazem sygnałem dla agentów SIS do podjęcia działań na rzecz nawiązania ściślejszej współpracy z władzami brazylijskimi w celu likwidacji hitlerowskich siatek szpiegowskich. Tylko w tym kraju agenci wywiadu III Rzeszy dysponowali sześcioma tajnymi radiostacjami. Depesze, które emitowano w eter za ich pośrednictwem, a odbierane przez niemieckie stacje rozlokowane w Europie, były jednak w większości przechwytywane wcześniej przez FCC i FBI. Meldunki jakie zawierały owe depesze dekodowano i analizowano, a ich treść udostępniano ludziom SIS w Brazylii i Departamentowi Stanu w Waszyngtonie. Większość agentów Osi wraz z ich kryptonimami stała się dzięki temu Amerykanom znana. Ale nawet pomimo to, iż niebawem Brazylia w ogóle zerwała swe stosunki z Niemcami, jedna pewna sprawa pozostała nadal dla policji i agentów SIS zupełną zagadką. Chodziło mianowicie o tajemniczego człowieka, który kierował niemiecką siatką szpiegowską i korzystał z nadajnika o sygnale wywoławczym CIT.

Owym tajemniczym agentem był Josef Jacob Johannes Starziczny, inżynier i naukowiec. Wywiad hitlerowski pozyskał go do współpracy jeszcze w 1940 r. i Starziczny odbył w jednej ze szkół Abwehry odpowiednie szkolenie w pracy szpiegowskiej, kodowaniu meldunków oraz posługiwaniu się radiostacją. Zgodnie z pierwotnymi planami zamierzano go wykorzystać na terenie Anglii, gdzie miał zostać zrzucony na spadochronie ponieważ jednak z jego odwagą nie było najlepiej zdecydowano się wysłać go do Brazylii pod nazwiskiem Niels Christian Christensen. Ów mały człowieczek, spoglądający sowim wzrokiem spoza grubych szkieł, przybył do Rio de Janeiro 6 kwietnia 1941 r. na pokładzie parowca „Hermes". W czarnej, skórzanej torbie przeszmuglował na brzeg nadajnik radiowy, cztery książki szyfrów i instrukcje dotyczące mikrofotografii. Miał też przy sobie list polecający do Otto Vebele, niemieckiego konsula w Santos i menedżera firmy „Theodor Wille i Spółka". W liście polecono Vebele wypłacić Christensenowi 5000 dolarów i udzielać wszelkiej pomocy w jego misji. Już po upływie miesiąca od chwili pojawienia się Starziczny'ego na kontynencie południowoamerykańskim do Niemiec zaczęły napływać pierwsze meldunki wysyłane przez tajną radiostację o sygnale wywoławczym CIT. A więc Christensen przystąpił do akcji.

Bywają ludzie, których ostrożność można przyrównać do przysłowiowego dmuchania na zimne. Nie można jednak powiedzieć aby do takich właśnie należał Starziczny alias Christensen. Mimo dość wyraźnych zarządzeń aby niszczyć wszystkie depesze i instrukcje jakie otrzymał w trakcie swej szpiegowskiej działalności, agent ten z iście niemiecką pedanterią starannie gromadził cały ów materiał. Ta jego słabość do przechowania dokumentów w sposób fatalny przysłużyła się funkcjonowaniu siatek wywiadowczych III Rzeszy w Brazylii. Jak wiadomo agentury szpiegowskie to bomba zegarowa, która może w każdej chwili eksplodować. Tak było również w tym przypadku. Starziczny zaś stał się tym, który zapalił lont owej bomby. Stało się to w momencie kiedy przyjechał do Santos aby zainstalować nadajnik, znaleźć odpowiedni falomierz.

Był grudzień 1941 r. Christensen zamierzał właśnie dokonać zakupu odpowiedniego radioaparatu i w tym celu wstąpił do małego sklepu z odbiornikami radiowymi.

„Nie mam w tej chwili w magazynie takiego aparatu jaki by pana interesował — powiedział właściciel sklepu — ale jeśli zostawiłby pan swoje nazwisko i adres powiadomiłbym pana we właściwym momencie gdyby coś się znalazło". Starziczny napisał więc na kawałku papieru: „O. Mendes, Hotel Santos, Santos". Właściciel sklepu po wyjściu dziwnego klienta jeszcze przez długą chwilę podejrzliwie przyglądał się kartce. Władze brazylijskie ostrzegały bowiem właścicieli i personel sklepów elektrotechnicznych aby zachowywali ostrożność przy sprzedaży części radiowych i akcesoriów obcym. Toteż nie namyślając się wiele kupiec zatelefonował na policję przekazując jej nazwisko i adres amatora radioaparatu. Niebawem też okazało się, oczywiście, iż nikt o nazwisku „O. Mendes" nie figuruje w spisie gości hotelu Santos.

Ale oto w połowie lutego 1942 r. właściciel sklepu odebrał telefon z pewnej firmy w Santos dotyczący falomierza zamówionego przez Mendesa. Ta sama firma dokonała wcześniej zakupu radioaparatu, o który prosił Starziczny i fakty wkrótce dotarły do wiadomości ludzi z SIS.

Tymczasem policja współdziałając ściśle z SIS i Departamentem Stanu śledziła uważnie drogę zamówień i zakupów, by wreszcie zacząć łączyć nazwisko „O. Mendes" z osobą Nielsa Christiana Christensena, „duńskiego" inżyniera przebywającego w Rio de Janeiro. W wyniku tych obserwacji Christensen został niebawem aresztowany i wówczas odkryto, że jego prawdziwe nazwisko brzmiało Starziczny. W czasie rewizji okazało się, iż mieszkanie agenta i jego sejf w banku były skarbnicą materiałów szpiegowskich o niezwykłej wprost wartości. W podręcznym archiwum znaleziono niemal wszystkie depesze, szyfry i tajne instrukcje, którymi się posługiwał, a także, co najważniejsze, nazwiska innych agentów. Nie zarejestrowany nadajnik radiowy był ukryty w kufrze.

Aresztowanie Starziczny'ego było silnym ciosem dla wywiadu hitlerowskiego i to bynajmniej nie pierwszym jaki otrzymał on w ostatnim okresie. Analizując przyczyny wpadek swoich agentów Niemcy doszli do wniosku, iż większość tych dotkliwych porażek nastąpiła w momencie ujawienia działalności siatki szpiegowskiej zgrupowanej wokół radiostacji o sygnale wywoławczym CEL.

Na czele grupy CEL stał Albrecht Engels przystojny i wytworny Niemiec, ściśle współpracujący z ambasadą III Rzeszy w Brazylii, a konkretnie z Hermannem Bohny, niemieckim attaché morskim w Rio de Janeiro. Engels był głównym menedżerem i dyrektorem zakładów energetycznych, a zarazem człowiekiem, który posiadał liczne, poważne koneksje niemal w całej Ameryce Południowej.

Był lojalnym Niemcem toteż zdenerwował się, a nawet zaniepokoił nie na żarty kiedy Erich Leonahardt Immer po powrocie z Rzeszy w 1940 r. zakomunikował mu, że on, Immer został skierowany do pracy wywiadowczej w Brazylii. Engels był wręcz zaszokowany, że jego rząd mógł powierzyć tak odpowiedzialną misję człowiekowi, który choć z zawodu inżynier nie był nikim innym jak tylko trzeciorzędnym urzędnikiem. W opinii Engelsa Immer zupełnie nie nadawał się do takich zadań, uważał, że powinno się je powierzać jednostkom bardziej wartościowym intelektualnie.

I oto swój pierwszy błąd Immer popełnił już wkrótce po rozpoczęciu akcji werbowania agentów. Wręczył bowiem jednemu ze swych agentów mikro-dokument, który z kolei przekazał go pewnemu optykowi, zresztą Niemcowi, celem odczytania pod mikroskopem. Ten zaś zapoznawszy się z treścią dokumentu natychmiast poinformował o tym incydencie ambasadę III Rzeszy. Można sobie wyobrazić wściekłość attaché Bohny'ego kiedy się o tym dowiedział. Jak Immer mógł dopuścić do takiego niedbalstwa, przecież groziło to ujawnieniem całej akcji i udaremnieniem dalszej działalności wywiadowczej, tego Bohny nie mógł zrozumieć. Wkrótce po tym fatalnym incydencie Immer otrzymał telegram, w którym nakazywano mu natychmiastowy powrót do Niemiec. Sądził, że czekają go nowe zadania, że otrzyma nowe instrukcje. Ale w żadnym razie nie mógł przewidzieć, tego co nastąpiło w momencie gdy przekroczył próg centrali Abwehry w Berlinie. Kiedy znalazł się w gabinecie swego bezpośredniego zwierzchnika ten spojrzał na niego ze zdziwieniem. **„Co pan tutaj robi? Dlaczego nie jest pan w Rio de Janeiro?"**

„Przecież polecił mi pan tu przyjechać".

„Nic podobnego. Nie wydałem żadnego takiego polecenia".

Immer całkowicie zdezorientowany i zaniepokojony takim obrotem sprawy wyciągnął z kieszeni ową depeszę.

„Oto pański telegram!"

Oficer obejrzał uważnie depeszę. „Ty idioto! Nigdy nie wysyłałem podobnych poleceń". Cisnął kartkę Immerowi, który z trudem uświadamiał sobie co zaszło. „Precz stąd" — wrzasnął oficer Abwehry i Immer ani się spostrzegł jak znalazł się za drzwiami. Nieco później w liście do przyjaciela wyraził przypuszczenie, że w tej historii z pewnością maczali palce Engels i Bohny. A tymczasem spółka Engels — Bohny poczynała sobie całkiem dobrze. Dostarczała do Rzeszy wszelkie informacje o charakterze politycznym, ekonomicznym i wojskowymi, a między innymi szczegóły dotyczące budowy gigantycznego portu lotniczego pod Natal w Brazylii, który miał się stać główną bazą dla bombowców amerykańskich zaopatrujących się tam w paliwo, podczas lotów na Bliski Wschód. Nic więc dziwnego, że bardzo to interesowało Berlin. Oto niektóre z depesz jakie krążyły między radiostacją Engelsa (CEL) a berlińską centralą Abwehry:

Od: ALD 10/7/41
Do: CEL
NIEZWYKLE INTERESUJE MNIE DOSTARCZENIE NASTĘPUJĄCYCH PISM AMERYKAŃSKICH: ARMY NAVY JOURNAL, MARINE ENGINEERING AND SHIPPING REVIEW, PACIFIC MARINE REVIEW, MARINE NEWS, ARMY NAVY REGISTER. SZCZEGÓLNĄ WARTOŚĆ POD TYM WZGLĘDEM MAJĄ INFORMACJE DOTYCZĄCE NOWYCH KONSTRUKCJI I REMONTÓW OKRĘTÓW. 63. STEIN.

Od: CEL 9/29/41
Do: ALD
„ESKADELEGATE"* Z ŁADUNKIEM RUDY OPUŚCIŁ BRAZYLIĘ 28 LISTOPADA O GODZ. 15 UDAJĄC SIĘ W KIERUNKU ANGLII. NA PEŁNYM MORZU ZMIENIŁ NAGLE KURS KIERUJĄC SIĘ DO POŁUDNIOWEJ AFRYKI. SYLWETKA ZMIENIONA TYLKO PRZEZ JEDEN MASZT. ALFREDO.

Od: CEL
Do: ALD
STATEK POMOCNICZY „BALTAVIA" PRZYBYŁ 11/8 I ZOSTAŁ WPROWADZONY NA DOK 11/10 Z LEKKIMI USZKODZENIAMI SILOWNI... WYPŁYNĄŁ DO RIO GRANDE. HUMBERTO.

Od: CEL
Do: ALD
RAPORTY DONOSZĄCE O LOTACH Z NATAL DO AFRYKI. MASZYNAMI SĄ SAMOLOTY BOEING B-17 LUB CONSOLIDATED B-24. SPOŚRÓD SAMOLOTÓW TYCH TYPÓW PIĘĆ PRZYLECIAŁO W OKRESIE OD 16 LISTOPADA DO 26 LISTOPADA. RÓŻNICE SĄ SPOWODOWANE BRAKIEM DOSTATECZNEJ ZNAJOMOŚCI TYCH TYPÓW PRZEZ OBSERWATORÓW. AKTUALNIE DĄŻYMY DO WYELIMINOWANIA TEJ NIEKORZYSTNEJ CECHY. ALFREDO.

Od: CEL
Do: ALD
NADAWANIE PRZERWANO A NADAJNIK PRZENIESIONO PO WYKRYCIU GO PRZEZ AMERYKANÓW. DRUGA STACJA W BUDOWIE, JEDEN NADAJNIK W REZERWIE. DALSZE 2 STACJE WKRÓTCE BĘDĄ GOTOWE DO SŁUŻBY. SALOMON ARESZTOWANY, ZDOŁALIŚMY UKRYĆ JEGO NADAJNIK. NADAJNIK FREDERICO ZBYT PRZECIĄŻONY.

Ale oto w marcu 1942 r. — czyli w nieco ponad miesiąc po zaostrzeniu stosunków dyplomatycznych między Brazylią a państwami Osi — policja brazylijska dzięki informacjom uzyskanym od agentów SIS przystąpiła do akcji osaczania rezydentów hitlerowskiego wywiadu w tym kraju oraz ich współpracowników. W rezultacie zlikwidowano 6 szpiegowskich radiostacji i obsługujących je siatek, a sądy brazylijskie wydały wyroki skazujące na 86 agentów.

Ale walka nie była bynajmniej zakończona. Aresztowania doprowadziły wprawdzie do sparaliżowania działalności niemieckiej sieci szpiegowskiej w Brazylii lecz hitlerowskie placówki wywiadowcze pracowały nadal, tyle że teraz w Argentynie i Chile. Toteż przed SIS stanęło niezwykle ważne i dość trudne zadanie przeprowadzenia odpowiednich akcji przeciwko wywiadowi Rzeszy w krajach, których władze nie odnosiły się do współpracy z USA zbyt przychylnie, a czasami nawet wręcz wrogo. W Waszyngtonie zdawano sobie z tego sprawę, ale cel był ważniejszy...

ANDRZEJ BLAJER

* Statek bandery brytyjskiej

MIROSŁAW KUŹNIAK

FEDERACJA STOWARZYSZEŃ KULTURALNYCH

W „Rozwoju", łódzkim dzienniku z 1905 roku, znalazłem wiele informacji na temat działalności dwóch towarzystw śpiewaczych „Lutni" i „Liry". Członkowie obu podczas cotygodniowych koncertów wykonywali „arie, monodeklamacje oraz obrazki sceniczne".

„Lutnia" i „Lira" nie były jedynymi łódzkimi towarzystwami. Działało wtedy o wiele więcej, niektóre nawet dotrwały do naszych czasów, jak choćby prawie stuletnie Towarzystwo Śpiewacze „Harmonia".

Sięgam do tak odległych czasów po to, aby przypomnieć, że wszelkiego rodzaju towarzystwa, czyli to co dzisiaj nazywamy ruchem społeczno-kulturalnym, mają w naszym mieście długoletnią tradycję.

W ciągu ostatnich trzydziestu lat liczba towarzystw zmalała. Niektóre rozpadły się, z różnych zresztą powodów, niekiedy po prostu zabrakło pieniędzy na podtrzymanie ich społecznej działalności, albo, częściej, odeszli ludzie, którzy w nich pracowali. Członkowie wielu towarzystw starzeli się, a młodych, chętnych do tego rodzaju pracy brakowało.

Powstały jednak nowe towarzystwa, o wiele prężniejsze i liczniejsze, jak choćby Towarzystwa Przyjaciół Łodzi. One to nadały ruchowi społeczno-kulturalnemu nowy ton, spychając niejednokrotnie w cień stowarzyszenia mniejsze, słabsze.

O tym, że należałoby ruchowi społeczno-kulturalnemu pomóc mówiło się od dawna. Dopiero jednak przed dwoma miesiącami zaczęła działać w Łodzi Federacja Stowarzyszeń Kulturalnych. Na jej czele stanął znany łódzki kompozytor **Andrzej Hundziak**.

Andrzeja Hundziaka i Stefana Izdebskiego, dyrektora Biura Federacji, nawiasem mówiąc jej jedynego etatowego pracownika, poprosiłem o informacje na temat profilu i planów tego stowarzyszenia.

— Federacja Stowarzyszeń Kulturalnych jest pierwszym tego rodzaju przedsięwzięciem organizacyjnym w skali kraju?

Andrzej Hundziak: Tak. Istotnym novum Federacji jest to, że grupuje ona stowarzyszenia kulturalne o różnym ukierunkowaniu. Fedracje tematyczne, jednokierunkowe działają w Polsce, jak choćby federacje sportowe.

Stefan Izdebski: Istnieją również federacje towarzystw sztuk pięknych czy przyjaciół książki.

Andrzej Hundziak: Z tego wynika, że organizacje o jednym kierunku pracy mają swoje federacje. Natomiast taka jak nasza, a więc jednocząca różne towarzystwa, muzyczne, plastyczne, muzealne, przyjaciół książki jest absolutną nowością.

Stefan Izdebski: Warto dodać, że dużym odłamem naszej Federacji są Towarzystwa Przyjaciół Łodzi i Głowna. Liczymy na to, że w przyszłości zgłoszą swój akces Towarzystwa Przyjaciół Zgierza i Pabianic.

— Po tych wyjaśnieniach postawmy więc podstawowe pytanie o sens i cel Federacji Stowarzyszeń Kulturalnych.

Andrzej Hundziak: Przyczyn powołania Federacji było wiele. Zacznijmy od finansowych. Federacja gromadzi wszystkie dotąd rozproszone fundusze na ruch społeczno-kulturalny. Wiadomo, że towarzystwa rokrocznie występowały o dotacje na swoją działalność. Trafiały ich petycje do różnych urzędów. Od jednych dostawały jakieś pieniądze, od innych nie. A i te fundusze, które w końcu trafiały do ich kasy różnie były wykorzystywane. Dlatego właśnie zgromadziliśmy wszystkie dostępne fundusze, aby następnie, nie ingerując w zasadzie w całokształt planów każdego towarzystwa, rozsądnie je porozdzielać.

— Federację będą chyba interesowały sposoby wydatkowania tych pieniędzy?

Andrzej Hundziak: Pamiętać jednak należy o tym, że ruch społeczno-kulturalny opiera się przede wszystkim na dobrej woli ludzi, na ich szlachetnym i bezinteresownym zapale. Oczywiście, celem Federacji jest inspiracja tego ruchu. Można to osiągnąć choćby poprzez umiejętne podsuwanie propozycji finansowych. Będziemy także starali się, w miarę możliwości, zapobiegać marnotrawieniu sił ludzkich. Na przykład, działają w naszym mieście towarzystwa o podobnym charakterze: Łódzkie Towarzystwo Muzyczne, Ludowy Instytut Muzyczny, Stowarzyszenie Chórów. Nie chcemy, aby te towarzystwa powielały się w swojej pracy. Nie ma oczywiście mowy o likwidacji jakiegokolwiek stowarzyszenia, chodzi raczej o koordynowanie ich poczynań. Ten obowiązek weźmie na siebie Federacja.

Sądzę także, że będzie nam łatwiej doprowadzić do połączenia pewnych form działalności, choćby poprzez organizowanie wspólnych imprez.

Stefan Izdebski: Chciałbym także wspomnieć o naszych planach wydawniczych. Do tej pory nie istniał w Łodzi żaden społeczny organ, który mógłby inspirować działalność wydawniczą z zakresu publikacji poświęconych naszemu miastu. A to także będzie w kręgu naszych zainteresowań. Na razie decyzją Prezydenta przekazano nam album „Architektura Łodzi przemysłowej", a dochód z jego sprzedaży zapoczątkuje fundusz wydawniczy Federacji. Oczekujemy więc ciekawych propozycji wydawniczych.

— Od razu zgłaszam propozycję sfinansowania antologii poezji łódzkiej.

Andrzej Hundziak: Uważam, że warto tę propozycję przedyskutować.

— Wracając jednak do głównego tematu naszej rozmowy, chciałbym zgłosić pewną wątpliwość. Otóż wydaje mi się, że Federacja w jakimś stopniu dubluje pracę Wydziału Kultury i Sztuki?

Andrzej Hundziak: Jest w tym trochę prawdy. Z tym jednak zastrzeżeniem, że nie wkraczamy w kompetencję Wydziału. Przecież nikt z niego nie zdjął odpowiedzialności merytorycznej za działalność ruchu społeczno-kulturalnego. Federacja ma na celu ożywienie tego ruchu, a to przez czynniejsze zaangażowanie w pracy koncepcyjnej samych działaczy. Przecież to oni powinni być najlepiej zorientowani w jego możliwościach kadrowych i merytorycznych. A przy tym stwarza się im możliwość racjonalnego gospodarzenia funduszami przeznaczonymi na ruch społeczno-kulturalny.

— Kilkakrotnie mówił pan o funduszach Federacji. Jaką sumę zdołaliście zgromadzić?

Andrzej Hundziak: Wcale niemałą, bo prawie 3 mln złotych. Ale też potrzeby są niemałe. Na terenie województwa łódzkiego miejskiego działa obecnie prawie 50 towarzystw. Oczywiście, ich siła oddziaływania jest różna. Od potężnych, takich jak Towarzystwo Przyjaciół Łodzi, po mało liczące zaledwie kilkudziesięciu członków. Pamiętać trzeba będzie o wszystkich, może przede wszystkim o tych małych, które mają najczęściej długoletnie tradycje. Właśnie te towarzystwa będziemy starali się wzmocnić, tym bardziej że dotychczasowa gospodarka funduszami nie preferowała ich działalności. Poza tym większość z nich wegetowała na marginesie właściwego życia kulturalnego Łodzi. Może warto byłoby te towarzystwa częściej pokazywać? To też jest sposób na ich wzmocnienie, a przy tym dałoby to większą satysfakcję pracującym w nich ludziom.

— Do Federacji przystąpiło dotychczas 15 towarzystw. Dlaczego nie wszystkie działające w województwie?

Andrzej Hundziak: Bo pracujemy od niedawna i informacje o Federacji nie dotarły do wszystkich działaczy. Sądzę jednak, że w najbliższym czasie Federacja powiększy się o nowych członków, tym bardziej, że niedługo przedstawimy im interesujące propozycje. Przejęliśmy niektóre postulaty zgłoszone przez działaczy podczas Plenum KŁ poświęconego rozwojowi kultury w Łodzi. Na przykład, jesteśmy bardzo zainteresowani postulatem dotyczącym popularyzacji muzyki poważnej wśród społeczeństwa łódzkiego. Na ostatnim zebraniu radziliśmy nad utworzeniem specjalnej nagrody za najciekawszą formę popularyzującą tę muzykę.

Stefan Izdebski: Mówiliśmy tu o łączeniu pewnych form działalności towarzystw, ale mamy również zamiar zaprosić do pracy w Federacji przedstawicieli środowisk twórczych. Stanie się to wtedy, gdy powołamy przy Federacji Radę Programową.

Andrzej Hundziak: To też będzie istotne novum w naszej pracy. Chcemy bowiem skupić w naszym stowarzyszeniu wszystkich tych, którzy zajmują się ruchem społeczno-kulturalnym. Względy prawne nie wszystkim pozwolą stać się członkami Stowarzyszenia. Na przykład, nie wejdą do niego łódzcy literaci, którzy są oddziałem terenowym jednej centralnej organizacji. Ale bardzo liczymy na ich udział w pracach Rady Programowej.

Chcemy także, aby w pracach Rady uczestniczyły te organizacje, które obok swojej zasadniczej działalności prowadzą działalność kulturalno-oświatową. Na przykład, ostatnio zgłosił się do nas PTTK. Jest to towarzystwo turystyczno-krajoznawcze, ale przecież również, zajmuje się pewnymi formami kulturalno-oświatowymi. PTTK ma zresztą z tym sporo problemów, nad którymi w Federacji trzeba będzie się zastanowić.

Rada Programowa, która niezadługo zacznie działać przy naszym stowarzyszeniu będzie więc jakby sejmikiem kultury łódzkiej. Wydaje nam się, że działacze kulturalni Łodzi odczuwają potrzebę utworzenia takiego forum. Ostatecznie nie mamy zbyt często okazji, aby porozmawiać na te tematy.

Federacja powstała niedawno. Przedstawione przez Andrzeja Hundziaka i Stefana Izdebskiego plany wydają się interesujące i oparte na racjonalnych przesłankach. Zastanawia mnie tylko jedna sprawa. Do niedawna ilekroć mowa była o problemach kultury łódzkiej, tylekroć działacze wysuwali na czoło kłopoty natury finansowej. Ileż to interesujących propozycji upadło, przeminęło z powodów, które określa się mianem „braku funduszów". Okazuje się jednak, że skupienie wszystkich dostępnych środków w jednych rękach obala ten mit. Inna sprawa, że nie zawsze były to fundusze najlepiej rozdzielane. Przypomniana tu przeze mnie sprawa antologii poezji łódzkiej jest tego najjaskrawym przykładem. Zresztą nie jedynym.

STEFAN MROŻEWSKI

8-go września 1975 r. zmarł w Kalifornii Stefan Mrożewski artysta plastyk o światowej sławie.

Urodzony w 1894 roku w Częstochowie, wczesną młodość spędził w Łodzi. Zmuszony trudnymi warunkami materialnymi do pracy zarobkowej, rozpoczął swą edukację artystyczną w Wieczorowej Szkole Rysunku i Malarstwa Jerzego Lehmana przy ul. Zawadzkiej — dziś Rewolucji 1905 roku. Spośród wszystkich nauczycieli, pod kierunkiem których Mrożewski studiował, najserdeczniej wspominał Lehmana. Po kilku latach wyjeżdża do Poznania, by tam w Szkole Sztuk Zdobniczych kontynuować swoje studia plastyczne. Dalsze ich etapy to krakowska, a następnie warszawska Akademia Sztuk Pięknych, którą ukończył w 1925 roku. Zetknięcie z mistrzem drzeworytu Władysławem Skoczylasem zadecydowało, że został grafikiem — drzeworytnikiem, choć wiele innych technik plastycznych uprawiał.

Natychmiast po studiach wyrusza Mrożewski w świat. Zaczyna od Paryża, gdzie mimo ciężkich warunków materialnych dużo rytuje wystawiając swe prace tu i ówdzie. Szybko zwraca na siebie uwagę znawców sztuki. Wydawcy dzieł luksusowych zamawiają u niego ilustracje do arcydzieł literatury światowej, takich jak „Bracia Karamazow" Dostojewskiego, „Król w złotej masce" Schwoba, „Wielki i mały Testament" Villona, „Don Kichot" Cervantesa. Drzeworyty do tego ostatniego zamówił u Mrożewskiego właściciel warszawskiej firmy wydawniczej specjalizującej się w pięknej książce literackiej — Jakub Mortkowicz.

Niestety, ze względów ekonomicznych wyszedł drukiem tylko tom pierwszy z 14 drzeworytami Mrożewskiego. Tom drugi, który miał być ozdobiony pozostałymi 10 rycinami, nigdy nie ujrzał światła dziennego, jako że płyty drzeworytnicze spłonęły w pierwszych dniach wojny w Warszawie.

W początkach lat 30-tych opuszcza Mrożewski Paryż, żeby kontynuować włóczęgę po świecie. Jej główne etapy to Holandia, Belgia, Anglia, Włochy kilkakrotnie Polska, wreszcie od roku 1951 — Stany Zjednoczone.

Najbardziej znany jest Mrożewski jako grafik — drzeworytnik, jednak uprawiał wiele innych technik jak: linoryt, miedzioryt, akwaforta, akwatinta, malarstwo olejne, akwarelowe, pastelowe, witrażowe, na szkle, ścienne-alfresco, mozaika, ceramika, rzeźba, emalierstwo.

Twórczość Mrożewskiego jest ogromnie bogata i różnorodna. Składają się na nią sceny rodzajowe (życie uliczne Paryża, Amsterdamu, Londynu), prehistoryczne, historyczne, biblijne, mitologiczne, hagiograficzne, martwe natury, architektura, portrety, ekslibrisy, pejzaże oraz szczególnie ulubione przez niego tematy legendarne i baśniowe.

Lwią część prac artysty stanowią ilustracje do dzieł literackich. Ze wszystkich artystów polskich XX wieku Mrożewski zilustrował najwięcej arcydzieł literatury światowej. Niektóre z nich to „Parsifal" Eschenbacha, „Malte" Rilke'go, „Selected Poems", „Cierpienia młodego Wertera", „Faust" Goethego, „Madame Bovary" Flauberta, nie mówiąc o już wymienionych „Testamencie" Villona, „Królu w złotej masce" Schwoba, „Braciach Karamazow" Dostojewskiego i „Don Kichocie" Cervantesa.

Spośród polskich należałoby wymienić Mickiewicza „Dziady", „Ballady i romanse", Sienkiewicza „Nowele" (francuski przekład), Słowackiego „Smutno mi Boże", Norwida „Trzy miłości", Choynowskiego „Opowieści szlacheckie", Żeromskiego „Dumę o hetmanie" i „Urodę życia".

Największym dziełem życia Stefana Mrożewskiego, dziełem o którym marzył już jako chłopiec, są ilustracje do „Boskiej Komedii" Dantego. Sto plansz plus portret Alighieriego i trzy ozdobne frontispisy do poszczególnych tomów — to owoc 30-letniej pracy nad dziełem Dantego, zaczętej we Włoszech 1938 roku — ukończonej 29 sierpnia 1969 roku w Kalifornii. Szczególny zbieg okoliczności sprawił, że nad „Piekłem" pracował artysta w Polsce w latach okupacji hitlerowskiej. Toteż umieścił w nim również sprawców wojny z Hitlerem na czele. Jest Mrożewski nie tylko jedynym Polakiem, ale jedynym artystą, który zilustrował „Boską Komedię" w całości, pieśń po pieśni.

Artysta lubi tematy legendarne, baśniowe, fantastyczne, niezwykłe. Fascynują go dawne wieki, szczególnie średniowiecze. Świadczą o tym drzeworyty do „Testamentu" Villona i „Parsifala" Eschenbacha świetnie oddające epokę, które zaliczane są zresztą do jego największych sukcesów ilustracyjnych. Fantastyka tekstów Schwoba („Le roi au masque d'or"), Coleridge'a („Selected Poems"), Goethego („Faust"), Mickiewicza („Ballady i romanse", „Dziady"), „Boskiej Komedii" Dantego nie tylko nie jest dla Mrożewskiego przeszkodą, ale raczej podnieca jego twórczą, wizjonerską wyobraźnię.

W najczęściej stosowanej w swych pracach technice drzeworytniczej, operując wielorzędowym rylcem, osiąga Mrożewski efekty wręcz oszałamiające. Jego drzeworyty zachwycają lekkością i koronkowym wdziękiem. Są pełne światła i nieziemskiego czaru. Toteż krytycy piszący o nim używali określeń „czarodziej" i „Paganini" rylca. Tajemnicę uroku tych prac może wyjaśnić częściowo wypowiedź samego artysty: — „Świeże grafiki rysuję prosto na drzewie czy metalu czy kamieniu — nigdy nie robię szkiców na osobnym papierze, by je później kopiować. Są przeto grafiki bezpośrednie i świeże".

Oryginalność twórczości Stefana Mrożewskiego jest oryginalnością najwyższej klasy „...gdy chodzi o mnie tom sobie wbił w głowę dewizę: rób sam, nawet gorzej, ale realizuj swoje dzieło własne..." — pisze w jednym z listów, a w innym: „...nikomu nic nie zawdzięczam!. Jedynie przyrodzie, historii naszej ziemi... no i mojej może niespokojnej fantazji".

Artysta był zawsze sobą i dzięki temu stworzył własny styl drzeworytniczy, posługując się rylcem wielokrotnym. Eteryczna zwiewność jego drzeworytów jest jedyna w swoim rodzaju, widoczna zresztą tylko w oryginale, pozostawia niezatarte wrażenie. Dzieła Mrożewskiego cechuje ogromna ekspresja, dynamika i żywiołowość obrazowania. Widać w nich umiłowanie ludzkiego ciała, a doskonałe renesansowe kształty postaci przywodzą na myśl twórczość Michała Anioła.

Obdarzony niezwykłą fantazją widział Mrożewski w otaczającym świecie piękno, które zaklinał w swoje dzieła. Z dzieł tych promieniuje osobowość artysty, który był człowiekiem niezwykle pogodnym, skromnym, kochającym świat i ludzi. Patrzył na świat oczyma zdziwionego dziecka, które odkrywa co chwila jego nowe uroki.

Niebywale pracowity wykorzystywał niemal każdą chwilę na tworzenie. — mając w głowie zawsze mnóstwo nowych pomysłów do urzeczywistnienia. — „W nawale tłoczących mi się do głowy pomysłów — pisał w jednym z listów — widzę, że mam i miałem za mało czasu do realizacji, trzeba by ryć nie 100—200, a tysiąc lat!".

Stefan Mrożewski pozostawił ogromną spuściznę, zaskakującą swoistym pięknem i niebywałą różnorodnością. Prace jego, rozproszone po całym świecie z powodu ciągłych wędrówek artysty, nie dadzą się ująć na razie w dokładne, a nawet przybliżone cyfry które zresztą byłyby z pewnością zaskakująco wysokie. — „Zrobiłem dużo, dużo więcej może niż inni... nie lubiłem „bezrobocia", zawsze byłem w ruchu" pisze artysta o sobie.

Mrożewski wystawiał swoje prace w Polsce i za granicą w takich miastach jak Paryż, Rzym, Wenecja, Amsterdam, Haga, Rotterdam, Londyn, Hamburg, Berlin, Wiedeń, Madryt, Moskwa, Chicago, Los Angeles, Oakland, Washington i in. Poza tym w Chinach, Japonii i wielu innych krajach.

Liczne nagrody, z których pierwsza sięga roku 1908, kiedy jako mały chłopiec wziął udział w ogólnopolskim konkursie rysunkowym zorganizowanym dla dzieci we Lwowie — a jedna z ostatnich: nagroda fundacji im. Alfreda Jurzykowskiego w Nowym Jorku w 1968 roku za całość twórczości, potwierdzają wysoką rangę jego sztuki.

Stefan Mrożewski był przede wszystkim dobrym, kochającym swój kraj Polakiem. Świadczy o tym polska tematyka jakże wielu jego prac, których końcowym przerwanym ogniwem jest rozpoczęta seria portretów wielkich Polaków w Ameryce (przyczynek tamtejszej Polonii do obchodów 200-lecia niepodległości Stanów). Artysta skończył czwarty, piąty leży naszkicowany na drzewie. Ostatnim wyrazem jego miłości do Ojczyzny było polecenie, że chce być pochowany w Polsce.

Stefan Mrożewski był przez blisko 50 lat ambasadorem naszej sztuki za granicą, a jego dzieła rozsławiają nadal imię Polski na świecie.

AMELIA BURSÓWNA

Foto: Archiwum

A. W. MIKOŁAJEWSKI

MIESIĄC W OBLĘGORKU

Fot.: Jerzy Berkowski

„Oblęgorek urzekł mnie zupełnie — pisał Henryk Sienkiewicz. — Drzewa bardzo porosły, park jest ogromny, kwiatów mnóstwo, a jabłonie, grusze i śliwy gną się literalnie pod ciężarem owoców. Urodzaj jest wyjątkowy i widok gałęzi obsypanych czerwonymi jabłkami bardzo ładny. Dom jest duży i wygodny..."

Sądzę, że ten fragment, mówiący o urodzie Oblęgorka, satysfakcjonuje każdego, kto miejsce to już widział. Kiedy więc reżyser **Edward Pałczyński** zaproponował mi rolę asystenta przy realizacji jego nowego filmu pt: „Oblęgorek Henryka Sienkiewicza", byłem podwójnie szczęśliwy. Miałem nareszcie okazję poznać Oblęgorek bliżej, a przy tym przysłużyć się niemałej sprawie...

W taki to sposób, dnia 18 czerwca br. wyjechaliśmy (myślę o całej ekipie) do Kielc i zameldowaliśmy się w Hotelu Centralnym, aby od dnia następnego codziennie, przez niemalże miesiąc, przemierzać siedemnaście kilometrów na zachód od tego miasta, do pracy, robić film. Film znaczny, o dużych wartościach oświatowych, którego bohaterem jest sławny i chyba po wsze czasy popularny pisarz, wiecznie żywy Henryk Sienkiewicz.

„Robur" Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi zajeżdża na miejsce. Oto i dworek, i park go otaczający — oto to miejsce, które tak bardzo nas wszystkich urzeka. Wszak cała Ziemia Kielecka budzi w człowieku prawdziwy zachwyt. Nie ja jeden zresztą jestem pod jej urokiem. Ludzi takich przykładem jest choćby reżyser Edward Pałczyński, który poświęcił jej nie tylko filmy, ale i wiersze, a znakomity pisarz łódzki Wiesław Jażdżyński opiewa jej urok w swoich powieściach.

I nie bez przyczyny padł wybór na Oblęgorek, gdy naród polski zapragnął godnie, jak to było ówcześnie w zwyczaju, uświetnić 25-lecie pracy twórczej swojego mistrza, wielkiego odnowiciela obywatelskich postaw, który w czasach dla narodu najbardziej trudnych potrafił pokrzepić jego serca. A czynił to trudem twórczym, jak i stałą działalnością kulturalną, polityczną i charytatywną. To Sienkiewicz przecież w celach uczczenia setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza zainicjował budowę pomnika wielkiego poety w stolicy i doprowadził do jego odsłonięcia, pomimo oporu władz carskich, które w rezultacie zabroniły mu wygłoszenia przygotowanego na tę okazję przemówienia. Jak wiemy, uroczystość odsłonięcia pomnika poety odbyła się w całkowitym, lecz za to wszystko mówiącym milczeniu... Był ponadto Sienkiewicz fundatorem pierwszej w kraju aspirantury naukowej, stając się członkiem-założycielem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, powstałego w roku 1900 — jubileuszowym dla Uniwersytetu Warszawskiego. Także on był jednym z założycieli Kasy im. Mianowskiego — instytucji, która w okresie niewoli organizowała badania naukowe. Kiedy zaś po wydaniu „Pana Wołodyjowskiego" otrzymał od nie znanego sobie wielbiciela 15 tysięcy rubli, przeznaczył je na stypendium dla twórców zagrożonych gruźlicą. Stypendium to nazwał imieniem Marii z Szetkiewiczów Sienkiewiczowej, pierwszej jego żony, na tę nieuleczalną wtedy chorobę zmarłej. Ofiarowanym mu tak niezwykle wysokim funduszem dysponował dyskretnie poprzez Polską Akademię Umiejętności, a ze stypendium tego korzystało 16 osób, przy czym m. innymi Maria Konopnicka, Stanisław Przybyszewski, Stanisław Witkiewicz, Stanisław Wyspiański i Kazimierz Przerwa-Tetmajer.

Skoro jesteśmy już przy historii, jak mniemam, doskonale każdemu znanej, warto tu jeszcze powiedzieć więcej o samym Oblęgorku.

W wieku XVI należał do Odrowążów, przechodząc następnie na własność rodziny Łosiów, związanej z sektą ariańską, co w odpowiednim czasie, bo w okresie prześladowania Arian, wykorzystała rodzina Tarłów. Ci ostatni napadli na Łosiów, spalili dwór, a ziemie włączyli w przynależne im dobra. Właścicielami Oblęgorka byli do roku 1883, zjeżdżając tu tylko na polowania, bowiem na stałe rezydowali w Zamku Piekoszowskim. Od nich nabył je rejent kielecki Wacław Halik; wraz z małym, jednopiętrowym pałacykiem myśliwskim, zwanym „Tarłówek", do którego w kilka lat później dobudował drewniany dwór z werandą. Obecnie jest to tzw. „Halikówka". Tak więc „Tarłówek", „Halikówka" i dobudowany w latach 1900—1902 murowany pałac, zaprojektowany bezinteresownie, bo w darze jubileuszowym dla twórcy „Trylogii", przez architekta z Warszawy Hugo Kudera, tworzą do dzisiaj całość pięknego dworku na stałe związanego z nazwiskiem wielkiego polskiego pisarza.

Komitet Jubileuszowy Obchodów 25-lecia pracy literackiej Henryka Sienkiewicza, dnia 22 grudnia 1900 roku, w sali ratuszowej Zamku Warszawskiego, wręcza godnemu jubilatowi akt własności dóbr oblęgorskich zakupionych od rejenta Halika. Do aktu własności dołączone zostają cztery ogromne księgi zawierające autografy ofiarodawców tego wielce zasłużonego daru.

Do Oblęgorka zjeżdża Henryk Sienkiewicz 9 czerwca 1902 roku, a więc dopiero wtedy, gdy jest już gotowy pałac. Sprowadza tu z Warszawy meble, książki, zbiory pamiątek ze swoich podróży po świecie, z których znane są jego listy i otrzymane dary jubileuszowe. Nie zamieszkuje tu jednak na stałe. Warunki sprawiają, że Oblęgorek staje się dla pisarza i jego rodziny letnią rezydencją. Ale zastaje go tutaj wybuch I wojny światowej. Stąd więc następuje jego wyjazd do Szwajcarii, gdzie umiera 15 listopada 1916 roku w hotelu „Bilae" w Vevej. Po ośmiu latach, zwłoki tego największego bodaj w tym czasie Polaka, laureata nagrody Nobla (1905 r. za powieść „Qvo Vadis"), zostają sprowadzone do kraju i złożone w podziemiach Katedry Św. Jana w Warszawie.

Tymczasem w 1919 roku wraca do Oblęgorka Maria z Babskich — trzecia żona pisarza i pozostaje tutaj do roku 1925, w którym umiera, i tym samym właścicielami dóbr oblęgorskich stają się dzieci Henryka Sienkiewicza — syn Henryk Józef i córka Jadwiga.

W latach II wojny światowej majątek Oblęgorek staje się, dzięki Henrykowi Józefowi Sienkiewiczowi, bazą zaopatrzenia najpierw oddziału majora Hubala, potem żołnierzy Armii Krajowej i wreszcie skoczków radzieckich. Henryk Józef dwukrotnie jest wówczas aresztowany, ale staraniem miejscowej ludności uwolniony za każdym razem z gestapo.

Wojna niszczy dworek, a po jej zakończeniu służy on przez pewien czas jako magazyn zboża i ziemniaków. Dopiero w roku 1958 Henryk Józef Sienkiewicz i jego siostra Jadwiga przekazują na rzecz Skarbu Państwa pałacyk wraz z otaczającym go parkiem o powierzchni 2 ha 1080 m². W tym samym roku, na mocy zarządzenia wydanego przez ministra kultury i sztuki, zostaje tu utworzone muzeum pod nazwą „Muzeum Henryka Sienkiewicza". Pierwszym kustoszem muzeum zostaje synowa pisarza — Zuzanna Sienkiewicz. Pełniła tę funkcję do roku 1968. Dworek ulega w tym czasie koniecznej rekonstrukcji. Obecnie kustoszem Muzeum Henryka Sienkiewicza w Oblęgorku jest mgr Ireneusz Rembosz. Wraz z nim opiekę nad muzeum sprawują stali mieszkańcy Oblęgorka, których jakby wrodzony szacunek do tego miejsca jest godny uznania. Otrzymaliśmy z ich strony niewypłacalną pomoc przy pracy nad filmem, za co raz jeszcze dziękuję im z łam tego pisma.

Przybywający dzisiaj do Oblęgorka turyści mogą obejrzeć wszystkie wnętrza, a więc salon, jadalnię, palarnię, sypialnię i gabinet pisarza, w których rozmieszczona jest ogromna ilość eksponatów. Jest tu między innymi portret Henryka Sienkiewicza pędzla Kazimierza Pochwalskiego, poczet królów polskich będący darem od jubilerów warszawskich, a także obraz Nałęcza „Skała Czackiego" — z kolei dar od mieszkańców Żytomierza. Spośród pięknych, stylowych i zachwycających prawdziwym kunsztem rzemiosła mebli, osobiście wyróżniam sepet hiszpański. Wszystkim tu zresztą można się zachwycić. Natomiast w mojej pamięci pozostanie na zawsze gabinet pisarza, który filmowaliśmy w nocy. Na biurku leżał rękopis „Na polu Chwały", pióro mistrza i jego binokle, stał piękny kałamarz i niezwykły świecznik. Z chwilą, kiedy ruszyła kamera, w muzeum zaległa całkowita cisza. Powiem tylko, że nad wyraz wymowna...

Film „Oblęgorek Henryka Sienkiewicza" będzie miał swoją premierę w październiku br. w Kielcach, w trakcie kolejnego przeglądu filmów muzealnych. To chyba ważne, że kręcony był w roku sienkiewiczowskim — 130 rocznica urodzin i 60 śmierci pisarza — jak i ważne jest to, że w tym samym roku zostanie oddany do rozpowszechniania. Mam ogromną satysfakcję, że mogłem pomóc przy jego realizacji. A oto co o swym filmie mówi sam reżyser, Edward Pałczyński: „Film ten traktuję jako wyraz hołdu, który składam swemu ulubionemu pisarzowi. Z tematem Henryk Sienkiewicz nosiłem się już od dawna, jest to temat obszerny, z którego należało coś wybrać... Dlatego wybrałem Oblęgorek, miejsce-symbol jedności narodu z jego wielkim duchowym przywódcą".

KRZYSZTOF KLAJS

POD ŻAGLAMI „ZAWISZY"

15 maja 1976 r. opuściliśmy Gdynię. Mamy dwutygodniowe opóźnienie. Płyniemy do Nowego Jorku, gdzie zakończy się „Operacja Żagiel-76". „Zawisza Czarny" reprezentuje Polskę jako jedna z dziewięciu jednostek. Nasz jacht — flagowy szkuner ZHP nigdy jeszcze nie pływał tak daleko.

Na Bałtyku lekkie zachodnie wiatry. Na Morzu Północnym cisza. Płyniemy na silniku. W Cieśninie Kaletańskiej wysoka, ostra fala, „Zawisza Czarny" ciężko sztormuje pod wiatr. Pokład raz po raz zmywają białe bryzgi. Po czterech godzinach wachty zimno i mokro. Na jedzenie nie można patrzeć. Z nadzieją na odpoczynek czekamy na port.

Wreszcie Plymouth — pierwszy port na naszej trasie. Położony na południowo-zachodnim cyplu wyspy, przez wiele lat był centrum angielskiej żeglugi. Tu sir Francis Drake rozpoczynał swe zwycięskie wyprawy przeciwko flocie Hiszpanii. W 1620 roku oddał cumy na nabrzeżu Plymouth statek „Mayflower" wiozący stu dwóch prześladowanych purytan — pierwszych angielskich osadników w Nowym Świecie. Dla nas chwila wytchnienia. Następny postój — Madera.

Po siedmiu dniach pływania ukazuje się przed nami wystający z wody zielony stożek. Foldery nazywają ją wyspą kwiatów. Nie mylą się. Kolorowe plantacje i barwne ogrody pną się tarasami w górę, na ulicach żółto i fioletowo kwitną drzewa. Madera żyje z rybołówstwa, plantacji owoców cytrusowych, bananów i trzciny cukrowej, a przede wszystkim z turystów i swego wina.

Codziennie zawija na Maderę kilka statków turystycznych. Prom z Lizbony płynie tu 24 godziny. Szczególnie modna jest ta wyspa w RFN, o czym świadczą chociażby regularne połączenia lotnicze z Frankfurtem i Monachium. Turystów niemieckich jest tu najwięcej, ale nie brakuje i Francuzów, Anglików czy Holendrów.

Po dwóch dniach postoju w porcie żegnamy się z Europą. Kurs południowo-zachodni. Będziemy tym kursem płynąć dopóki siła wiatru nie wzrośnie do czterech, pięciu stopni w skali Beauforta i nie zmieni on kierunku na wschodni. Wtedy na niebie pojawią się ławice cumulusów. Będziemy w pasacie. Wtedy bierzemy kurs Hamilton na Bermudach. Czas na jachcie mierzony jest rytmem służby. Raz na cztery dni wypada wachta kuchenna. Wyżywienie i obsługa ponad trzydziestu zgłodniałych „rekinów" to wcale nielekka sprawa. Załoga spożywa posiłki w tym samym pomieszczeniu gdzie śpi — w kubryku, przy wspólnych, szerokich stołach. Kapitan i oficerowie jedzą w sympatycznym saloniku — mesie i usługuje im specjalny steward. Wiadomo — szarże! Mimo że różnica wieku nie jest duża i w końcu wszyscy jesteśmy żaglarzami, obowiązują stare zwyczaje i zasady demokracji trafiły tu na niezdobyty bastion.

Dzień podzielony jest na wachty. Cztery godziny wachty nawigacyjnej i osiem godzin odpoczynku, cztery godziny wachty i tak w kółko. Odpoczywamy przy pędzlach i młotkach. Przed wyjściem z Gdyni „Zawisza Czarny" był dokładnie pomalowany. Słona woda jest jednak nieubłagana. Jacht rdzewieje totalnie i szybko. Nie można się z tym pogodzić, więc klepiemy rdzę i malujemy, malujemy. Gdy pomalujemy dziób, zaczyna rdzewieć rufa. I tak bez końca, bez szans na zwycięstwo z morzem. Załoga nie może się nudzić, musi mieć zajęcie.

Noce są gorące i duszne. Część z nas śpi na pokładzie. Koc rozłożony na twardych deskach, przykryci starym żaglem. Leżymy zgodnie, jeden przy drugim. Nad głową maszty kreślą łuki na rozgwieżdżonym niebie. Lekko skrzypi olinowanie w takt długiej, kołyszącej, oceanicznej fali.

Po siedemnastu dniach zobaczyliśmy Bermudy. Raj turystów amerykańskich. Trzysta wysp, wysepek i skał wystających z rafy. 21 mil kwadratowych powierzchni. 800 mil od Nowego Jorku, 3500 mil od Londynu. W 1609 roku na rafie koralowej tracą swój statek osadnicy płynący do Virginii. W dalszą podróż już nie wyruszają i rozpoczynają angielską kolonizację na Bermudach. Trwa ona bez zmian do drugiej wojny światowej, kiedy to Anglicy w zamian za parę niszczycieli oddają Stanom Zjednoczonym, w 99-letnią dzierżawę dziesiątą część archipelagu. Bermudy są jeszcze kolonią brytyjską.

W porcie Hamilton dogoniliśmy uczestników „Operacji Żagiel". Była to ostatnia możliwość, aby jeszcze wziąć udział w tej imprezie. Zaczęła się ona 1 maja 1976 r. w Plymouth, gdzie spotkały się jachty europejskie. Po paru dniach wspólnych imprez i uroczystości wyruszyły one do Teneryfy na Wyspach Kanaryjskich. Tam zaczął się drugi etap Teneryfa — Bermudy. Ostatni rozpoczął się w Hamilton, a na metę wyznaczono Newport w stanie Rhode Island w USA.

Na każdym z etapów rozgrywano regaty. Wszystkie jachty podzielono na trzy grupy: A — wielkie żaglowce takie jak „Dar Pomorza", „Gorch Fock" czy „Kruzensztern", B — mniejsze żaglowce, ale nie używające spinakerów (do tej grupy zaliczono „Zawiszę"). C — jachty grupy spinakerowej.

Start do regat w Hamilton dostarczył wielu emocji. Umowna linia rozpoczęcia wyścigu przebiegała między dwoma zakotwiczonymi okrętami angielskiej Royal Navy, tak że żaglowce miały wiatr z rufy. Wystrzały armatnie oznajmiały 20, 10 minut do startu i sam start. Dobre rozpoczęcie to minięcie wyznaczonej linii z pełną prędkością dokładnie o oznaczonym czasie. Trzy grupy startowały w półgodzinnych odstępach, ale rzecz jasna wszyscy wypłynęli zawczasu na pole startowe, aby obejrzeć walkę w klasie A.

Jak to bardzo często bywa, większość uparła się, aby startować w tym samym miejscu i o oznaczonej godzinie ruszyły do przodu szeregi białych żagli. Duże, ciężkie i skomplikowane w manewrowaniu jednostki płynęły tuż obok siebie. W tłoku i podnieceniu przedstartowym doszło do kolizji. Wielki czteromasztowy szkuner „Juan Sebastian de Elcano" stracił przedni maszt. Jeszcze większe straty poniosła amerykańska fregata „Gazela Primeiro". Z podartymi, postrzępionymi żaglami, okaleczone, smutno wracały do Hamilton. Na naszych oczach rozgrywał się widok, przypominający stare płótna holenderskie — zderzenie wielkich żaglowców. W kolizji ucierpiały jeszcze dwie inne jednostki, w tym amerykański „Eagle", a „Dar Pomorza" był o krok od uczestnictwa w tym wypadku. Poszkodowani wystartowali ponownie po dwóch dniach i dogonili całą flotyllę w Newport. Newport — niewielkie miasto, od kilkunastu lat Mekka światowego żeglarstwa. Meta wielkich Regat Samotników co cztery lata ściąga tu tysiące sympatyków żagli. Zwycięzca regat jest tu spodziewany lada dzień. Pierwszy wchodzi Tabarly na „Pen Diucku", a niewiele później (jako trzeci) — absolutna sensacja, Marek Jaworski na „Spanielu". W 1972 roku siedemnaste miejsce Krzysztofa Baranowskiego było wielkim sukcesem. Teraz radość nasza jest ogromna. Potwornie zmęczony, wyglądający jak po stoczonej bitwie, Marek Jaworski zbiera niekończące się gratulacje.

Nad portem smukłe maszty. W mieście — spotkania, pikniki, zabawy. Nieustający festyn młodości. Żeglarskie spotkania odbywają się tu od 1956 roku.

W połowie lat pięćdziesiątych wycofane ze służby ostatni wielki żaglowiec niemiecki „Passat". Wydawało się, że epoka żagli minęła bezpowrotnie. Wtedy właśnie postanowiono organizować co dwa lata spotkania jachtów i statków szkolnych. Takie spotkania miały miejsce w Anglii, Portugalii, Breście, Oslo, Nowym Jorku. W 1972 roku w Kilonii po raz pierwszy startowali Polacy. Później żeglarzy gościła Gdynia. Obecna operacja zgromadziła najwięcej jachtów, około stu pięćdziesięciu jednostek, wielkie statki szkolne Japonii, Kolumbii, Chile, Argentyny, Stanów Zjednoczonych i państw europejskich.

Z Newport żeglujemy do Nowego Jorku. Wpływamy na East River. Po prawej stronie wysoka zabudowa Manhattanu. Mijamy siedzibę Organizacji Narodów Zjednoczonych i dwa najwyższe budynki miasta — World Trade Center. Kotwiczymy za mostem Verrazano w pobliżu Sandy Hook.

4 lipca — w Dniu Niepodległości — finał „Operacji Żagiel". Parada żaglowców na rzece Hudson. Na wielkim lotniskowcu amerykańskim loża honorowa. Paradę ogląda prezydent Gerald Ford i burmistrz miasta Abraham Beame. Flotyllę prowadzi amerykański „Eagle". Jachtów amerykańskich jest oczywicie najwięcej. Polska z dziewięcioma jednostkami jest po Anglii trzecią co do wielkości ekipą.

Cumujemy przy nabrzeżu nr 60 na Manhattanie. Obok nas stoi piękna dwumasztowa brygantyna „Explorer". Jacht jest cały drewniany, pachnie morzem i morską włóczęgą. Przez wiele lat był używany jako frachtowiec, potem stał bezczynnie w porcie i wreszcie jego właściciele postanowili go spalić. Piękno jednostki, jej dostojny i surowy wygląd urzekły kilku młodych ludzi, którzy wykupili „Explorera" i uczynili go swoim pływającym domem. Jedni pracują stale na jachcie, inni w portach zarabiają na jego utrzymanie.

Kończy się „Operacja Żagiel-76". Do zobaczenia za dwa lata w Tallinie! 6 lipca odlatujemy do Polski. Wymienia nas inna grupa, która będzie żeglować przez następne miesiące. „Zawisza Czarny" popłynie na Wielkie Jeziora Kanadyjskie, przez północny Atlantyk wróci na Morze Śródziemne, odwiedzi Afrykę i po roku wędrówki wróci do kraju.

ZBIGNIEW S. NOWAK

BAZAR

Dawniej był na Czerwonym Rynku. Latami stanowił nieodłączny a barwny element staromiejskiego, chojeńskiego pejzażu, przydając mu swoistej egzotyki. Znali go chyba wszyscy w okolicy, nie tylko rodowici łodzianie. Od zawsze było wiadomo, że najlepiej kupić czy sprzedać można tylko tam — obojętne co. A jeśli już nie pohandlować, to przynajmniej warto pokręcić się w rozgwarzonym tłumie, popatrzeć. Widziało się tam różne różności, było czym oko sycić i czemu się dziwować.

Stragany pełne wszelakiego dobra, ławy rozłożyste, a na nich w bród rozmaitości, gdzie indziej skromniejsze kramy na starych beczkach czy skrzyniach, jeszcze dalej towar wprost na ziemi gazetą ledwie posłanej, albo też wyjątkowe okazje w garści zwyczajnie noszone, z rączki do rączki. Pośrodku baby szerokozade i czerwonogębe, jak choćby ciotka Komorowska od małosolnych, Rożniatowa od pomidorów, cebuli i kopru czy Brożyna od innych fruktów, wiejskie kumoszki z jajami w kosałkach wiklinowych, śmietaną we flaszkach po synalku i osełkami najprawdziwszego masła w gałganku, potem handlary pyskate szmat najdziwniejszych prosto z Ameryki, mysich skórek i innych puszystości, butów starych jak nowe, kla-

Foto: W. Parys

merek, wstążek, pasków, szpilek, brosz, naszyjników i różnych świecidełek, wreszcie wiecznych kwiatów z papieru czy plastyku i czego tam jeszcze. Z boku chłopki roztropne na wozach wyładowanych ziemiopłodami dorodnymi, przy nich gołębiarze, emeryci z kłapouchami własnego chowu i szczeniętami niewiadomego pochodzenia, tu kanarki malowane, tam papużki-nierozłączki, ówdzie złote rybki. Naokoło rupieciarze, a u nich stare lampy, oporniki, cewki i potencjometry, klamki, mutry i zawiasy, konusy, piasty i mufki, winkle i antaby, papiaki i bretnale, ruszta, haczyki, rury i fajery. W głębi na lewo — antykwaryści, gdzie królował gruby Cygan Kozik, stare lichtarze, lampy naftowe bez kloszy i oślepłe lustra w złoconych ramach, kulawe zegary z kurantem i kukułką, kilimy i obrazy świętych, srebrne sztućce i platery, jelenie rogi i numizmatyka, starodruki i makulatura, „Trędowata", „Znachor", „Profesor Wilczur", filateliści, medale i ordery, biała broń i krócice, węglowe żelazka, mosiężne tłuki i moździerze, wieloramienne żyrandole i pstrokate landszafty, szkło, fajans, porcelana. Z brzega, od Rzgowskiej, elita — pozłacane altaniki, niklowe longinesy, srebrzyste doxy i inne cykoty przegubowe, masywne cebule, połyskliwe łańcuchy dewizek, ciężkie bransolety, tabakiery z monogramem, ronsony i gilzowe pocierajki, dukatowe i czternastka, polski bursztyn, włoskie kamee, dęte złoto weneckie, kryształy czeskie, włóczka australijska, pieprz turecki, guma do żucia. Tu i ówdzie rozsiani spece od dziewiątego wała, trzech kart, kapsla, kości i oczka, pan Bronek od ruletki, krościaty Franek od zechcyka, ponury Zakapior z bambulą za pazuchą, długi Grzdyl, co go jeszcze nikt trzeźwego nie widział, Sztamajza, który w rękach żelazo łamał, Zenek-Brzytwa, Kaczor, niewidomy akordeonista Znojek i kto tam inny. Długo by tak jeszcze wymieniać i opisywać...

Dawniej był na Czerwonym Rynku, ale go stamtąd „wygryźli", jak to określił stary Kubik, „bo to, panie, końskie gówna jem się nie podobali i te inaksze simrajstwo, że niby kole zagranicznej soszy to nie pasuje". Obecnie gnieździ się na osłoniętym chudą zielenią małym placyku u zbiegu Wodnej i Nawrot. Czas i przeprowadzka zrobiły swoje. Na pozór wszystko po staremu, niby handelek się kręci, także w sobotę, zgodnie z tradycją, tylko plac inny, ale podobno to już nie ten sam, słynny niegdyś, łódzki bazar. Tak mówią. Już nie przy wielkiej trasie komunikacyjnej, gdzie turysta prosto z samochodu trafiał w sam środek starołódzkiego, kramarskiego folkloru. Brak też dogodnego dojazdu tramwajem, jak kiedyś na „Czerwoniak". Spory kawałek trzeba dojść pieszo jeśli kto własnej lokomocji nie posiada.

Kubikowi bardzo to nie na rękę. Stare nogi nie niosą już tak lekko i chybko. Przy tym musi targać na własnych, mocno pochylonych plecach cały swój zardzewiały „jenteres", a to ciężar nielichy. Śpiesznie jednak poczłapuje ogromnymi buciorami, aby zdążyć na czas, bo inaczej konkurent zajmie lepsze miejsce. A i tak jest już cokolwiek późno.

Wystarczy z Tuwima skręcić w Wodną, aby poczuć przedsmak wielkiego biznesu. Po obu stronach ulicy roje samochodów różnych maści, jak okiem sięgnąć. Wiele nietutejszych, rejestracje pozałódzkie bywają też zagraniczniaki: z Danii, Holandii, Francji, RFN i Czechosłowacji, trafił się nawet jeden z dalekiej Turcji. Nawrot przy targowisku dla odmiany zapchana szczelnie motocyklami, mopedami i innymi odkurzaczami. Pośród nich wejście między kramy.

Opuszczam starego Kubika i daję nura w tłum. Muszę jednak gwałtownie hamować. Tuż przed moim nosem szczerzy kły ogromna, łaciata paszczęka. Spojrzenie nawet dobrotliwe, ale za mordę nie dałbym gwarancji. Szukam wzrokiem właściciela, a tu znajome twarze. Pół obstawy spod „Jubilera". Złoto do złota, to znaczy, że tu też to chodzi. Chyłkiem omijam doga i włażę w jakiś warzywniak. Poruszona do żywego babina wrzeszczy piskliwie:

Foto: W. Parys

Foto: W. Parys

— Gdzie leziesz, chomącie jeden?!

— To niechący, bo ten pies... — próbuję tłumaczyć.

— A co mi un? Marchwi mi przecie nie zeźre — leci terkoczący jazgot.

Fakt. Wyskakuję z buraków, hopsam nad cebulą z groszkiem, potem jeszcze slalom między piegowatymi papierówkami i pomidorową zupą, byle dalej. Nie nęcą mnie nawet zeszłoroczne goździki w pobliskim kiosku-kwiaciarni.

Pod płotem, za stertą zdechłej kapusty nudzi się stoisko z rowerami. Jeszcze dwa miesiące temu takie składaki szły jak woda, ale teraz sezon już się kończy; tłum udają tu jedynie senni właściciele bicykli. A ceny nawet dość przystępne.

Naprzeciwko kram futrzarski. Kilka czap z nieokreślonej sierści, łyse kołnierze, wygryzione błamy, kocie skórki na korzonki, wilcza szuba na zimę stulecia. Naftalinowy smród krzyczy wniebogłosy, ale poza tym nic się nie dzieje. Nawet mole jakoś nieruchawe, bo i gdzie tu się spieszyć.

Butów nie kupię. Kolor mi nie odpowiada, poza tym akurat same damskie. Hamaki także, lecz za to chyba co najmniej czternastki. O, spodnie z bistoru mają nawet amatorów! Aż dwóch. Ale tylko przez chwilę.

Nieopodal konkurenci PeKaO. Koszulki polo w paski, kratkę, kółka, gładkie, modylen, brinylon, akryl. Skąd oni jeszcze to mają? Są i nonirony firmy „Arido". Jednak chętnych nie ma. Cóż, naród przerzucił się ostatnio na teksas, a tego jak raz brak. Jeden tylko chłopaczek macha portkami navy-blue, ale to same rifle made in Italia; oryginalnych amerykańskich wranglerów nie uświadczysz, chyba że na czyjejś...

Jest jeszcze wielbłądzia włóczka, ale cuchnie gorzej od samego zwierza. Zanim się wywietrzy, to i z grzbietu spadnie.

— Pani, ile za ten kasak?

— Niech będzie trzysta...

— Chyba moli w tej szmacie — obrusza się amatorka zielonego wełniaka.

— Krew nie woda, majtki nie pokrzywy! Brać, wybierać! — wąsaty drągal potrząsa garścią niewymownych. Widać z interesem kiepsko.

Dymi barobus. Smażona kiełbaska, pomarszczona buła i butelka pełnego za jedyne dwie i pół dychy. Ale kilka kroków dalej to samo o dwa złocisze taniej. Tam dopiero kolejka się kręci...

U wylotu uliczki na Wodną są nareszcie antykwaria. Na honorowym miejscu kościelne kadzielnice. Skąd oni to wytrzasnęli, u Boga Ojca?!

— Przerobisz se pan na kinkiet i będziesz miał — zachwala mi towar zwalisty albinos. — Tera takie modne.

Być może. Nie znam się na tym, więc rezygnuję. Obok biegnąca Diana w brązie, tak na oko pół metra. Cena przyprawia mnie o ból żołądka. Tylko dwanaście. Tysięcy. Pozłacana ruhla w kopercie, ale bez dewizki — tylko siedem. Platerowa patera na owoce prawie już do nabycia. Tysiąc dwieście. Kryształowa cukiernica w srebrze też niedroga. Równy badyl. Natomiast lśniące szczerbce prosto spod sztancy — po dwa i pół. Dla amatorów. Gorszy złom także ma swoją cenę. Pół samowara chą oddać za osiem stów.

Idę do kanarków. Chmara dzieciarni pohukuje na biedne wróble, a te ze strachu ani pisną.

— Panie, tylko nie wróble — oburza się przylizany starszy. — Oni w Krakowie na zawodach nawet byli.

— Jasne — popiera go konkurent — w biegu przez płotki.

Przylizany kamienieje. Reszty nie wiem; wolę się odsunąć. Ale awanturę słychać jeszcze dość daleko. Oglądam gołębie. Gdzie te srebrniaki lotne, krępe murzyny, wyfraczone wajsszwance, zadziorne belgijki pocztowe, czy choćby poczciwe siwki. Podskubane to jakieś, wymięte, nawet do granka nie ma co włożyć. Fach schodzi na psy. Wolałbym królika, tylko że też takie przywiędłe. Niby ma te pięć kilo, tyle że kości i to w drugim gatunku. A może lepiej złotą rybkę? Jest tego bez liku. Welony jednak najładniejsze, ceny też ładne.

Znużony opieram się o jakiś stragan. A tu „agrawki po dwa sześćdziesiąt", „śpilki do włosóf" i „obrączki ekxtra". Jak ten czas leci, ortografia się zmieniła, chyba jeszcze raz pójdę do szkoły. Bardziej już podobają mi się „skury tóreckie", ale za drogie i nie mój rozmiar.

Za straganami cała orkiestra. Pełny panarachoniowy skład, ale coś nie stroi. Przymierzają się muzykanci, krygują, jak u krawca przed ślubem. Nic z tego. Niewyspani, albo instrumenty diabeł stroił. Wreszcie jeden wystrzelił z akordeonu soczystą przyśpiewką, aż się zdumiała gawędź naokoło. Widać klezmer weselny, taki zagra nawet na starym kaloszu.

Skowyt weltmeistra prowadzi mnie aż do wyjścia. Jeszcze tylko rzut oka na wystawę jubilerską na serdelkowatych paluszkach spod Łeczycy. Są i znajomi z łaciatym potworem, ale tylko kręcą głowami. Ich nie tak łatwo nabić w syntetyki, choćby w szczerym złocie. Paniusia chyba widzi, że nie na frajerów trafiła, bo się boczy. Niepotrzebnie zresztą, bo chłopcy przystojni.

Już mam iść, a tu nagle ruch jakiś dziwny. Sympatyczni panowie milicjanci koniecznie chcą coś wydłubać spod kopy skrzynek, pracują w pocie czoła. Nareszcie wykopali. Zupełnie malutkiego cwaniaczka od „góra-dół". Pomogli mu wstać, ubranko nawet z kurzu otrzepali, a on nic. Nie podziękował, nie dygnął jak pani w szkole uczyła, ani się nie uśmiechnął.

Zabrali go więc, łobuza, i pewnie postawią gdzieś do kąta. Nich się uczy porządnego zachowania, taki — owaki.

Jednak to prawda, że ten bazar to nie to co kiedyś, na Czerwonym. Czegoś tu wyraźnie brakuje. Fasonu, obywatele geszefciarze, fasonu...

Foto: W. Parys

OBYCZAJE

SKREŚLIĆ SZARY KOLOR

Lato. Urlop. Jeździłem dalej, niż jeżdżę przez resztę roku. Przez resztę roku jeżdżę przeważnie z jednego końca miasta na drugi. W czasie urlopu pojechałem nad morze, pojechałem w góry. Pogoda była tego lata piękna. Dla niektórych, na przykład dla Auglików, aż za piękna. Wspomnienia z wojaży przywiozłem brzydkie i przykre. A to z powodu powszechnie panującego brudu i niechlujstwa. Z powodu rozrosłej do jakichś monstrualnych rozmiarów abnegacji higienicznej i estetycznej.

Pewnego dnia, o pewnej godzinie, wyjechałem z brudnego Dworca Kaliskiego, brudnym ekspresem pt. „Pomorzanin" i szczęśliwie, choć z opóźnieniem dojechałem do stacji Sopot, która też okazała się być brudna. Potem była jeszcze brudna stacja Kołobrzeg, brudna stacja w Jastarni, były brudne pociągi pośpieszne i osobowe, brudne autobusy. Były niesamowicie brudne płatne plaże i ciężkie od brudu obrusy w restauracjach, w których rumsztyk i każda butelka piwa czyniła moją kieszeń coraz lżejszą. Pojechałem potem w góry i w Zakopanem znowu brudny dworzec i śmieci na górskich ścieżkach i wreszcie wróciłem na brudny Dworzec Kaliski. I usiadłem, żeby napisać ten felieton, bo mimo, że na temat brudu wypisano setki długopisów — brud jest.

Przeczytałem niedawno w gazecie, że w Bieszczadach harcerze sprzątają po turystach. Robią porządki „w naturze" zebrali 10 ton śmieci: puszek po konserwach, butelek całych i stłuczonych, opakowań różnego rodzaju, odzieży i innych. Włos się jeży na głowie. Jacy to ludzie jeżdżą w Bieszczady? Otóż w te Bieszczady, na plażę sopocką, na Hel, do Jastarni jeździmy my sami. A harcerze, miast bawić się w podchody, poznawać przyrodę, przemierzać szlaki górskie — sprzątają po nas.

Wstyd. Wstyd, że brudzimy, śmiecimy, zanieczyszczamy i że dzieci muszą sprzątać po rodzicach. Wstyd, że nie stać nas na utrzymywanie czystości we własnym domu i to na dodatek wtedy, gdy zapraszamy do nas gości. Rozmawiałem z kilkoma cudzoziemcami, którzy przyjechali do nas na urlop. Chwalili sympatycznych ludzi (to znaczy nas, Polaków) za gościnność i serdeczność, ciszę (!), lasy i wody, ale narzekali wszyscy na... brud, na to, że trudno na campingach, na plażach, w jeziorach, nad jeziorami. Było u nas kiedyś takie powiedzonko: „Brudny, jak Cygan". Za granicą mogą po pobycie u nas ukuć inne: „Brudny, jak Polak". I nie pomoże nam szyk i elegancja, Argentyna i Francja, bistory, aniłany, teksasy i czysta żywa wełna, ani też sam Stanisław Lem, który wie, co będzie w roku dwutysięcznym dwusetnym, ani Łańcut, ani Wawel, ani Muzeum Narodowe, ani Penderecki, ani Jakubowski Będą nas inni mieli za brudasów i cześć!

Niechęć (czy niemożność) utrzymywania miejsc publicznych, tudzież natury, w jakiej takiej schludności łączy się u nas z powszechną niechęcią do kolorów i wręcz ze strachem przed czystą, jasną, jaskrawą, wesołą, ożywiającą, odświeżającą barwą w architekturze, we wnętrzu. Upodobaliśmy sobie szarość w jej najbardziej ponurych odcieniach, „ugier złoty", co rozumieć należy jako „ugier zbrudzony", albo „złamany", tępą żółć, bezdźwięczną zieleń oraz dla elementów drewnianych — ciemny i jasny orzech. Oto paleta barw, którymi malujemy Polskę. Elewacje domów, reklamy ścienne, poczekalnie, dworce, urzędy, biura — wszystko to „leci" z owej palety. I w efekcie — szarzyzna, monotonia, wrażenie zaniedbania, niechlujstwa, przygnębiająca ponurość poczekalni i świetlic dworcowych, korytarzy w urzędach, sklepów...

Jest oczywiście argument: te kolory mniej się brudzą. Nonsens. Brudzą się tak samo, jak każde inne, z tą różnicą, że same w sobie będąc brudne, są brudne podwójnie.

Nie jestem w stanie wyjaśnić owej ogólnej bojaźni przed barwą jasną i czystą. Tłumaczenie, że przemysł farbiarski produkuje takie właśnie kolory jest mało przekonujący, bo skądinąd wiadomo, że dla przemysłu lekkiego wyrabia się bardzo szeroką gamę barw. Dlaczego więc nie można by wyrabiać w takim asortymencie kolorów emulsyjnych i olejnych do malowania ścian i barwników do barwienia płytek PCW?

Może tradycja (ale jaka)?

Może dalionizm powszechny (mamy liczne szkoły i uczelnie artystyczne, dobrych malarzy oraz plastyków miejskich, osiedlowych, gminnych i innych)?

Może abnegacja, stagnacja i brak wyobraźni (pozdychamy w tej szarości)?

A może rzeczywiście ścianę pomalowaną żywym, czystym kolorem trzeba częściej umyć (a nam w brudzie tak leniwie, takt dobrze, tak ciepło), odnowić?

— O, srebrzyste szarości Bonnarda.
— O, zielenie Velazqueza i Matisse'a.
— O, żółcie Van Gogha,
— jakże okrutnie was spostponowano w kraju, którego malarze na was właśnie uczyli się malować.

A na razie, na wstępie, dla polepszenia sytuacji na odcinku barwy i czystości proponuję skreślić szary kolor — dosłownie i w przenośni i mniej brudzić. Parafrazując rosyjskie przysłowie powiem: „Mniej brudzisz — dalej jedziesz".

ANDRZEJ GRUN

POWIEŚĆ W ODCINKACH (5)

Mater na ośle bohater

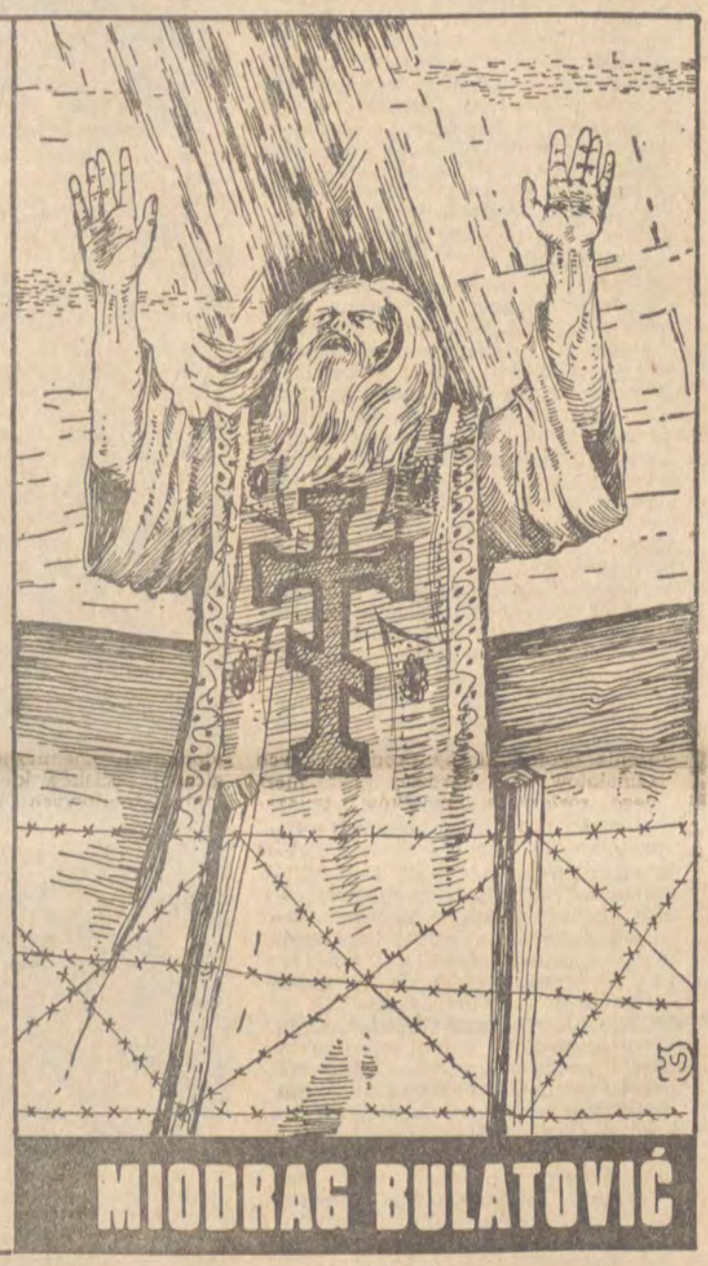

MIODRAG BULATOVIĆ

Rys. J. Szymański — Glanc

— W trumnie z nieboszczykiem — powtórzył machinalnie pułkownik.

— Tak, nawet w trumnie z nieboszczykiem — potwierdził kapitan Brambilla. — Nie przebierają w środkach.

— Widzę, że pan ich dobrze przestudiował — rzekł chłodno pułkownik.

— Komunizm to moja największa specjalność, panie pułkowniku.

— I grzech mojej młodości — dodał cicho Spartaco Allegretti.

Pułkownik Allegretti obejrzał się: żołnierze stali na szczęście tak daleko, że nie mogli go słyszeć. Przestąpił z nogi na nogę, odkaszlnął, po czym zaczął nieco innym tonem:

— Zarządzam ogólną gotowość. Wzmocnione patrole niech krążą po miasteczku. Jeżeli ci szaleńcy nie zaprzestaną swoich piekielnych modlitw, zagłuszyć je ostrymi salwami ze wszystkich rodzajów broni, jakimi rozporządzamy.

— W jakim kierunku strzelać, panie pułkowniku? — wtrącił się znowu kapitan Brambilla.

— Oczywiście do nieprzyjaciela! — odrzekł pułkownik podniesionym głosem i ciągnął dalej: — Ze wszystkich rodzajów broni, jakimi rozporządzamy. Tak, właśnie tak. Do jutra w południe nie wpuszczać do miasta i nie wypuszczać nawet ptaka. Czujnie obserwować osoby z listy numer jeden. Sprawnie aresztować wszystkie osoby z listy numer dwa. Zrewidować wszystkich na ulicach, łącznie z ewentualnym orszakiem pogrzebowym, a nawet i nieboszczyka.

Vittorio Brambilla czknął i włosy zjeżyły mu się na głowie.

— W tym momencie nawet czerwoni nieboszczycy są niebezpieczni — szybko dodał pułkownik. — Nieprawdaż, kapitanie? Jako ekspert w sprawach komunizmu i jego przerażającej, napastliwej, absolutnie bezwzględnej propagandy, musi pan wiedzieć także o tym. Myślę, iż ma pan rację mówiąc, że ich trupy bardziej cuchną.

Lorenzo Fioravanti patrzył na nich.

Vittorio Brambilla zbladł.

Pułkownik zdjął rękę z rewolweru.

— Mam nadzieję, że panowie zapamiętali wszystko.

— Tak jest, panie pułkowniku — powiedział niepewnie kapitan Brambilla. — Nie mam tylko jasności, jak należy postępować z osobami znajdującymi się na liście numer trzy.

— Muszę panu zwrócić uwagę — rzekł pułkownik patrząc w dal. — Jako kapitan wielkiej i doprawdy dzielnej armii włoskiej, a zwłaszcza jako oficer, którego „najwęższą specjalnością" jest komunizm, i wreszcie jako członek ważnego ośrodka informacyjnego i operacyjnego nie powinien pan dopytywać się o to, o czym nie było mowy. Wobec tego proszę starać się nie zapomnieć, co zleciłem. A jeżeli chodzi o listę numer trzy, mogę panu powiedzieć, że figuruje na niej tylko jedna osoba: moja sympatia, ten „straszny" Czarnogórzec... chwileczkę, zaraz sobie przypomnę jego nazwisko... wiem już: Malić, Gruban Malić.

— Tak jest, panie pułkowniku — powiedział kapitan Brambilla i ponownie zbladł.

— Tak — rzekł pułkownik jakby do siebie i uśmiechnął się. — Gruban Malić, *Il Montenegrino.** Dziwne to nazwisko, a jeszcze dziwniejszy człowiek! Wciąż mi się wydaje, że będę miał z nim nie raz do czynienia. No, a jeżeli już jesteśmy przy nim...

— Co z nim robić, panie pułkowniku? — pospieszył się Brambilla.

— Nic — rzekł nerwowo pułkownik. — Nie zauważać go.

— Tak jest — powiedział kapitan Brambilla.

Surowym wzrokiem pułkownik zmierzył Lorenza. Następnie odwracając się ku żołnierzom, gotowym na każde jego skinienie, cicho powiedział:

— Kapitanie, najlepiej, żeby pan wypił jeszcze kieliszek — dwa i dobrze się wyspał.

Lorenzo patrzył na niego dużymi, mętnymi oczyma.

— Jest pan wolny do jutra, do godziny dziesiątej — rzekł pułkownik. Mam nadzieję, że do raportu przyjdzie pan trzeźwy. Miłych snów, kapitanie.

Kapitan Fioravanti stanął na baczność. Pułkownik nie zauważył. Lorenzo chciał coś powiedzieć — słowa uwięzły mu w gardle. Nawet otworzył usta — ale to już nie były słowa ani szept, ani stękanie. Nagle zakręciło mu się w głowie. Pułkownik patrzył gdzieś ponad nim.

— Horacego proszę mi sprowadzić — rzekł pułkownik przekonany, że wszyscy go słuchają.

Trzej żołnierze ruszyli biegiem. Szukali na rozległym dziedzińcu, obiegali budynek Komendy, przepychali się wśród ludzi na rynku. Patrzyli po sobie zrozpaczeni i znów biegali w kółko; całe szczęście, że pułkownik wzrok miał utkwiony w dal. Bo nigdzie nie było Horacego.

No gdzież jest ten diabelny Horacy? Znowu go nie ma. A to potwór. Był tu przed kwadransem. To dlaczego mu nie powiedziałeś, żeby zaczekał! Dość mam tych twoich głupich żartów. Nie ma go nawet w tym ogrodzie gdzie się najczęściej zapuszcza. Czy czasem nie wszedł na górę do Komendy? Uspokój się, ciszej trochę. No dobrze, a może jest w bufecie na rogu? Nigdzie go nie ma. Poszedł sobie na spacer, wstrętny łajdak. Nie ma go ani na rynku, ani w cerkwi, ani przed meczetem. Paka nas nie minie. Lepiej już gnić w pace niż na wolności bić się z czarnogórskimi dzikusami. Boże, Horacego naprawdę nigdzie nie ma i pułkownik postawi nas przed sądem wojskowym albo w pierwszym szeregu.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa pułkownik rozprawiał z kapitanem Brambillą na jakiś niezwykle poufny temat: wbrew obyczajom szeptał i gestykulował kreśląc nad głową Vittoria jakieś kółka i krzyżyki. Przestraszony kapitan drżał jak wróbel; kto by na niego spojrzał, pomyślałby, że spodziewa się gromu z jasnego nieba albo uderzenia miękkiej ręki pułkownika.

— Chciałbym pomówić z pańską narzeczoną, kapitanie — powiedział pułkownik niemal szeptem. — Niech pan będzie tak uprzejmy, jak jest pan gorliwy, i poprosi ją, żeby przyszła do mojej kancelarii. Albo niech pan ją sam przyprowadzi.

Pułkownik trzymał ręce na pasie. Patrzył kapitanowi prosto w oczy.

— Z wielką przyjemnością, panie pułkowniku — powiedział Brambilla i ucieszył się, że nikt tego nie słyszy.

— Chciałbym ją co nieco podpytać — ciągnął pułkownik. — Czy pan mnie dobrze rozumie?

— Doskonale rozumiem, panie pułkowniku — powiedział kapitan i do reszty zbladł. — Gotów jestem wykonać każdy pana rozkaz. Ale... czy mógłbym ją sam zastąpić?...

— Na razie nie — rzekł pułkownik nieco ostrzej.

Kapitanowi oczy zaszły mgłą. Zadrżała mu broda. Stał jednak nieruchomo, nie tracąc przytomności.

Poufne umowy przerwali żołnierze. Wystraszeni, zdyszani i bladzi, prowadzili dwie kobyły i Horacego: był to wypielęgnowany, śmigły, biały jak mleko ogier. Żołnierze najwidoczniej spodziewali się gromów. Na myśl im nie przyszło, że pułkownik zapomniał już o kobyłach, o Horacym i swojej południowej przejażdżce do lotniska i z powrotem.

Horacy przestał rżeć i wierzgać przednimi nogami, dopiero gdy pułkownik poczęstował go kostką cukru wysupłaną z chusteczki. Spartaco Allegretti bał się wszelkich zwierząt, a takich czworonogów najbardziej, lecz jako komendant posiadał konia i nie mógł z niego zrezygnować. Zamiast poklepać Horacego, tylko podszedł i chwycił za kulę u siodła.

Porucznicy siedzieli już na kobyłach, a żołnierze, oczekujący ostatnich, najważniejszych rozkazów, przyglądali się, jak pułkownik nieruchomo stoi obok konia. Nie pierwszy raz byli świadkami tego, że ich komendant nie ma dość siły ani odwagi, aby włożyć stopę w strzemię, a następnie odbić się w górę, na siodło. Oficerowie i żołnierze wymienili znaczące spojrzenia, po czym przywdziali na swoje łagodne, jowialne, bynajmniej nie marsowe twarze maskę odwagi i surowości.

Giovanotto, widocznie dziś nie jesteś w formie — powiedział sobie pułkownik. — A musisz dosiąść Horacego, dowlec się do lotniska i z powrotem. Dalejże, wsuń stopę w strzemię, potem odepchnij się i odbij; widziałeś, jak przed chwilą zrobili to ci prostacy, *terroni***, ci porucznicy. Jakiego diabła się boisz, przed czym się wzdragasz. Stracha masz, że zlecisz i zakurzysz błyszczące cholewy. Albo wydaje ci się, że nie oderwiesz od ziemi spasionego, nisko zwisającego dupska, że popękają ci spodnie... Coś z tego się spełni, skoro nie masz odwagi nawet drgnąć, poruszyć się, obojętne, do przodu czy do tyłu, i tym ich zaskoczyć.

Kapitan Fioravanti spostrzegł, jak Vittorio Brambilla podsuwa pułkownikowi krzesło. Horacy zdziwił się i zarżał. Pułkownik nerwowo, z niesmakiem odkaszlnął, nienawistnym spojrzeniem zmierzył milczących żołnierzy i oficerów. Wszedł na krzesło i jakby robił to po raz pierwszy, wdrapał się na grzbiet konia. Obrzydzenie w nim wzbudził lizusowski, długi, przeciągły uśmiech Brambilli i żeby nie skląć jego i wszystkich stojących w pobliżu, obruszył się na Lorenza, wstrząsanego czkawką:

— Kapitanie, czyżby pan nie pamiętał, co nie tak dawno panu rozkazałem? Mam powtórzyć?... Jeżeli nie, to niechże pan poprosi dwóch żołnierzy, żeby pana zaprowadzili do łóżka.

— Rozkaz — rzekł Lorenzo Fioravanti.

Niezręcznie ukłuty ostrogą, Horacy skoczył i pułkownik ledwo utrzymał się w siodle.

Porucznicy, Arturo i Nicola, ruszyli za pułkownikiem, który jakby nie wiedział, dokąd zmierza i jak ma kierować wypoczętym, złym, spragnionym biegu Horacym.

Żołnierze spoglądali za kobyłami.

* ☆ *

Il Montenegrino — powiedział do siebie pułkownik. — *Signor* Malić. — Przypomniał sobie pułkownika Fabiani i jego opowieść. — Trzeba by napisać drogiemu Enzowi, że sympatyczny czarnogórski karczmarz był w tym mieście pierwszym człowiekiem, który spojrzał na mnie z pogardą. Wesoły Toskańczyk zdjąłby okulary i śmiałby się do łez. Tak, napiszę mu, że nasza wspólna sympatia, nasz *Montenegrino* zaraz po moim przybyciu oświadczył, że nie boi się żadnego, niczyjego wojska, a już najmniej Włochów, którzy smarują się brylantyną, za dużo śpiewają, razem z dziećmi łapią żaby i zjadają koty. Zawiadomię Fabianiego, że karabinierzy chcieli zamknąć Maliciowi karczmę, aresztować go i surowo ukarać. Powiedziałem im, żeby go zostawili w spokoju, i dodałem, że jako Włoch i zawodowy oficer wysoko cenię spontaniczny protest i szczere uczucia patriotyczne, bez względu na to, kto je wyraża.

Za pułkownikiem, który sztywno trzymał się w siodle, jechali porucznicy: śniady Arturo Esposito z lewej, a żywy, skłonny do śmiechu Nicola Riva z prawej strony. Przed i za nimi szli żołnierze z bagnetami na krótkich karabinach.

Pułkownik Allegretti lubił drobnych niepokaźnych mężczyzn, takich jak *signor* Gruban Malić, i współczuł im. Powiedział to pułkownikowi Enzo Fabiani, który, nie podzielając jego uczuć, z powątpiewaniem kręcił głową i dowodził, że właśnie takie „okazy" odgrywają pierwsze skrzypce we wszelkiego rodzaju zamieszkach, powstaniach i wzniecają rozmaite rewolucje.

„Dlatego że są mali? — uśmiechnął się pułkownik Allegretti. — A nie dlatego, że chcą dobra ludzkości?"

„Przede wszystkim dlatego, że są mali — powiedział przekonującym tonem pułkownik Fabiani. — Tak, dlatego że są niepokaźni i obrażeni. Zresztą, przypomnij sobie nasz marsz na Rzym w dziewięćset dwudziestym drugim roku: iluż tam było karłów i idiotów!"

Zjeżdżali po wyboistej pochyłości, która kończyła się mostem. Stary wyga Horacy czuł, że jego pan ma stracha, że ściska go kolanami, więc podnosił głowę i usztywniał szyję, żeby siodło nie zsunęło się aż do grzywy.

Koło nich biegły dzieci i wzbijały kurz, na którego widok pułkownik zawsze dostawał gęsiej skórki. Pojawiały się wszędzie tam, gdzie można i gdzie nie można było się ich spodziewać, te bose, obdarte, zgłodniałe dzieci, które wyciągały rękę ku niemu i ku jego eskorcie. Dziwny wydawał mu się język, w jakim żebrały te małe diabły o rozdętych szyjach i wielkich głowach. Pragnął jak najprędzej znaleźć się na moście i w ten sposób przynajmniej na parę minut uwolnić się od małych, upiornych żebraków i od ich miękkich, gardłowych głosów.

Patrząc na dzieci pułkownik przypomniał sobie chudego i obdartego greckiego buntownika, Janisa Durosa, który poza działalnością rewolucyjną uprawiał też handel rogacizną, znachorstwo i drobne kradzieże. Szczerbatego *signor Greco* przyłapali kiedyś na rozlepianiu po płotach antywłoskich haseł. Krzywonogi patriota o dużych oczach jeszcze spod szubienicy krzyczał: „Niech żyje wolna i wielka Grecja!", „Precz z Włochami i z czarnym faszyzmem!" Pułkownik darował mu życie i wkrótce potem został przeniesiony do Albanii. Tam również nie brakowało drobnych, niepokaźnych mężczyzn. Ale ci nie buntowali się. Nisko się kłaniali swoim „wyzwolicielom" i prześcigali w nauce języka włoskiego.

Stary drewniany most kołysał się pod nimi i pułkownika ogarniał lęk, że noga Horacego ugrzęźnie w jednej z licznych dziur, na które patrzył z przerażeniem. Na most wpędzono bydło i teraz nie mógł ruszyć się ani naprzód, ani w tył. Rozbrykane owce z głośnym beczeniem zbijały się w szpetne kłęby; nadmiernie obładowane słomą i chrustem osły ryczały ogłaszając południe. Czując bliskość obory, myczały mleczne krowy; oganiały się od much i gzów, obsiadających również Horacego, i ogonami tłukły pułkownika po cholewach, spodniach, a nawet po karku.

Wymachując długimi i grubymi kijami, biali od kurzu, pomieszani z bydłem, wlekli się pasterze. Niektórzy w kobiałkach i podartych workach nieśli pokrzywę i jakieś zielsko, innych ledwo można było dojrzeć pod brzemieniem siana czy chrustu. Obszarpani i bosi, o długich szyjach i płonących oczach, niemiłosiernie okładali bydło, które nijak nie chciało zejść z mostu i dać drogi oficerom i żołnierzom. Pokrzykiwania — głodne i chore głosy — towarzyszyły razom, od których jeszcze bardziej wzbijał się i kłębił i tak już gęsty, gorący kurz. Spychając stado ku spróchniałym barierom mostu, pasterze przepuszczali jeźdźców.

Na pomarszczonej, spalonej słońcem twarzy porucznika Riva malowała się fałszywa troska, nawet ubolewanie: przez te kozy, osły i rozbeczane cielęta nie mógł zbliżyć się do pułkownika, aby oczyścić z krowiego łajna jego czapkę, plecy i spodnie. Wiedział, że pułkownik nie odważy się wypuścić z rąk ani ściągniętej uzdy, ani kuli siodła, i nie wyjmie chusteczki z kieszeni, żeby przynajmniej z czoła i podbródka zetrzeć ciemne ślady. Myśląc o tym Nicola Riva z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Spojrzał w lewo, szukając wesołości w oczach Artura. Esposito udawał, że nie widzi ani tarapatów pułkownika, ani swego kolegi zawsze skłonnego do śmiechu i żartów; jego łagodna chłopięca twarz pełna była napięcia, szukał bowiem przejścia dla Horacego, który udręczony przez ścisk i muchy, gryzł i ślinił wędzidło, tłukąc na wszystkie strony tylnymi kopytami.

(cdn)

Przełożyła:
DANUTA CIRLIĆ-STRASZYŃSKA

* Czarnogórzec.

** Pogardliwe określenie południowca: prostak, gbur, cham.

WYDAWNICTWO DLA MILIONÓW

„MŁODA GWARDIA" — jest wydawnictwem leninowskiego Komsomołu. W naszym rozumieniu nie jest to zwykła oficyna wydawnicza, lecz potężny koncern prasowo-wydawniczy, trzeci co do wielkości w Europie. Ma też swoją długą i bogatą w dorobek historię, już ponad półwiekową.

Uchwałę o powołaniu do życia wydawnictwa podjęto w 1922 roku na V Zjeździe Komsomołu. Od tego czasu MG aktywnie towarzyszy kolejnym pokoleniom radzieckiej młodzieży w jej życiu, pracy i walce. Początki są skromne. 71 książek o nakładzie ok. 600 tysięcy egz. Wśród nich ukazują się utwory Szołochowa, Gajdara, Serafimowicza, Fiedina, Furmanowa, Aleksego Tołstoja, Bezymieńskiego, Asiejewa. Opublikowane zostaje przemówienie Lenina, historyczne przesłanie do młodzieży, wygłoszone na III Zjeździe Komsomołu. Wznawiane regularnie w następnych latach, osiąga w sumie 65 wydań w nakładzie ponad 22 miliony egz.

W 1932 r. ukazuje się książka Mikołaja Ostrowskiego „Jak hartowała się stal". Niezwykły jest żywot tej książki i popularność jej bohatera — Pawki Korczagina, który stał się wzorem dla radzieckiej młodzieży. Książka miała 390 wydań, w 19 mln. egz., ukazując się w 58 językach.

W roku następnym, z inspiracji Gorkiego, ukazuje się pierwsza książka z serii kontynuowanej do dzisiaj „Życie sławnych ludzi". Do tej pory opublikowano 550 utworów.

W czasie wojny ojczyźnianej MG publikuje książki i broszury podnoszące ducha walki narodu, obnażające istotę niemieckiego faszyzmu. Wydaje dziesiątki milionów ulotek przerzucanych za linię frontu.

W czasie wojny i w okresie powojennym nawiązują z wydawnictwem ścisłą współpracę najwybitniejsi pisarze radzieccy: Szołochow, Fiedin, Twardowski, Leonow, Gorbatow, Sobolew, Smirnow. Debiutują Malcew, Kalinin, Niedogonow, Babajewski, Trifonow. Tutaj publikuje swą głośną książkę Fadiejew — „Młodą Gwardię".

Książki publikowane przez MG zdobywają nie tylko uznanie i popularność wśród czytelników, ale także liczne nagrody i wyróżnienia. Autorzy MG Szołochow, Szagianin, Leonow, Ajtmatow, Gamzatow, Bondariew, Honczar, Smirnow, Pieskow otrzymują Nagrody Leninowskie, a ponad 50 książek innych autorów zostaje wyróżnionych Nagrodą Państwową lub Komsomołu.

Obecnie „Młoda Gwardia" wydaje każdego roku ponad 350 tytułów książek, w nakładzie przeszło 40 milionów egz. W ramach wydawnictwa działa 14 redakcji zgrupowanych w dwóch pionach: społeczno-politycznym i popularnonaukowym oraz literatury pięknej. Książki publicystyczne przybliżają młodzieży wiedzę o kraju i świecie, jego współczesnych, skomplikowanych problemach i dniu wczorajszym; uczą jak żyć i pracować, prezentują dorobek młodych pokoleń i ich wkład w rozwój Kraju Rad. W tym dziale ukazują się także książki będące pomocne w pracach aktywistów organizacji pionierskiej i komsomolskiej, a także oficjalne dokumenty związku.

„Młoda Gwardia" — jest także potężnym wydawcą prasowym. Ukazuje się tutaj 14 czasopism i gazet o jednorazowym nakładzie ponad 27 mln. egz. (M. in. gazeta „Pionierska Prawda" o nakładzie ok. 10 mln. egz.). Czasopisma i gazety adresowane są do wszystkich grup społecznych i zawodowych młodzieży z miast i wsi, a także grup wiekowych: od przedszkolaków do młodzieży studenckiej.

MG jest nie tylko kombinatem prasowo-wydawniczym. To także miejsce spotkań miłośników literatury i sztuki. Tutaj odbywają się spotkania z pisarzami, malarzami, kompozytorami, działaczami partii i Komsomołu, przodującymi robotnikami oraz gośćmi z zagranicy. Organizowane są wystawy książek i ilustracji książkowych oraz ekspozycje młodych plastyków. Wydawnictwo organizuje także jubileusze swoich zasłużonych autorów oraz liczne imprezy upamiętniające wydarzenia edytorsko-literackie z przeszłości.

Za swoją wszechstronną działalność na polu wychowania dzieci i młodzieży, aktywne uczestnictwo w rozwoju radzieckiej literatury Wydawnictwo „Młoda Gwardia" odznaczone zostało Orderem Czerwonego Sztandaru Pracy.

(JW)

„TORNADO" — OD MYŚLIWCA DO BOMBOWCA STRATEGICZNEGO

Konstruowany wspólnie przez Anglię, zachodnie Niemcy i Włochy nowy wojskowy samolot „Tornado" będzie kosztował astronomiczną sumę: minimum 6 milionów funtów szterlingów za sztukę! Do tego należy jeszcze dodać okrągłą sumkę związaną z przygotowaniem każdego samolotu do eksploatacji i lotów. Składają się na nią wydatki na przeróżne programy naukowe, na części zamienne i paliwo. W konsekwencji „cena systemu" będzie nieomal dwukrotnie wyższa od początkowej ceny samolotu. Na planowany przez brytyjskie dowództwo wojskowe zakup 385 samolotów „Tornado" potrzeba zatem środków, równych całej sumie rocznych wydatków na obronę.

Biorąc pod uwagę gwałtowne tempo wzrostu cen nowoczesnych samolotów wojskowych, w Pentagonie obliczono, że jeśli będą one nadal rosnąć w takim tempie, jak na przestrzeni ostatnich 15 lat, to za 60 lat USA będą sobie mogły pozwolić na jeden samolot rocznie, wydatkując na jego kupno cały budżet wojskowy. Zachodnioeuropejskie kraje zareagowały na tę eskalację wydatków w dwojaki sposób.

Po pierwsze — „Tornado" budują na zasadzie kooperacji trzy państwa: Anglia, RFN i Włochy. Celem kooperacji jest obniżenie ceny jednostkowej każdego samolotu drogą zwiększenia ogólnej liczby produkowanych samolotów oraz bardziej równomiernego rozłożenia wydatków, związanych z projektowaniem i opracowywaniem prototypu. Ponadto taka współpraca daje wojskowym możność zajęcia mocnej pozycji, pozbawia bowiem przywódców politycznych możliwości zahamowania rozpoczętych prac, czy też zredukowania ich zakresu, bez zaostrzenia stosunków z zagranicznymi partnerami.

Po drugie — nowe samoloty projektuje się jako wielozadaniowe. „Tornado" jest typowym wzorcem takiego właśnie samolotu. Podstawowy prototyp będzie samolotem wywiadowczym, szturmowym i bombowcem do działań strategicznych. Anglicy samodzielnie opracowują wariant „Tornada", który mógłby być samolotem myśliwsko-pościgowym.

Samolot ten ma jeszcze jedną istotną cechę, zasługującą na uwagę także członków partii labourzystowskiej. Otóż w odezwie przedwyborczej partia labourzystowska zobowiązała się do nieuczestniczenia w kreacji nowego pokolenia środków przenoszenia broni jądrowej. Jak wiadomo, „Tornado" będzie zdolny do zastępowania szeregu typów samolotów, a w tym również strategicznego bombowca „Wulkan" przystosowanego do przenoszenia broni jądrowej. I jeśli w ministerstwie obrony kultywuje ktoś idee stworzenia nowego systemu przenoszenia broni jądrowej, to najprawdopodobniej ma na uwadze użycie do tych celów właśnie samolotu „Tornado"...

W każdym razie, zachodnie Niemcy z rozbrajającą szczerością oświadczyły — pisze komentator londyńskiego „New Statesman" — że chcą mieć „Tornado" głównie dlatego, iż zdolny jest on do przenoszenia broni jądrowej. Ten moment posiada szczególnie ważne znaczenie jeśli przypomnieć, iż RFN nie może mieć własnej broni jądrowej, chociaż jak informowano, zachodnioniemieckiemu lotnictwu wojskowemu niejednokrotnie zezwalano na praktyczny udział w operacjach załadunku i wyładunku broni jądrowej, używając do tego celu amerykańskie bomby atomowe.

Wygląda na to, że brytyjska współpraca z RFN w konstruowaniu samolotu „Tornado" dopomoże zachodnim Niemcom w stworzeniu bombowca strategicznego, czego kategorycznie zabraniają Porozumienia Paryskie z 1954 r. Podpisy pod nimi złożyła zarówno Wielka Brytania jak i RFN (a także USA i Francja. Nawet te Porozumienia, których głównym celem było włączenie RFN do NATO i stworzenie warunków dla odrodzenia zachodnioniemieckiej armii, zawierają szereg ograniczeń w stosunku do RFN, która zobowiązała się do nieprodukowania na swoim terytorium broni atomowej, chemicznej i bakteriologicznej, pocisków kierowanych, samolotów odrzutowych i bombowców strategicznych).

Ten nowy przykład wyścigu zbrojeń, wymagający gigantycznych nakładów, w którym uczestniczy kilka państw należących do NATO, wzbudza niepokój w postępowych kołach zachodniej Europy. A udział Republiki Federalnej Niemiec w projekcie seryjnej produkcji wielozadaniowego samolotu „Tornado" jest sprzeczny z międzynarodowym powojennym porozumieniem, które nakłada na RFN określone ograniczenia w sferze produkcji zbrojeniowej.

J. C.

FAŁSZYWE FUNTY Z TOPLITZ-SEE

Starszy, mocno już szpakowaty mężczyzna z pokoju Nr 5 odmówił uregulowania rachunku. Przebywał trzy doby w hotelu „Czarny kot" w Bonn, ale kiedy właścicielka hotelu przedłożyła mu rachunek za pobyt i obiady powiedział: „Zapłacą za mnie"...

Sprawa potoczyła się utartą drogą. Właścicielka hotelu wezwała policję. Niebawem starszy pan w brudnawej koszuli i zabawnie szerokich spodniach siedział w policyjnym samochodzie. Podał swoje prawdziwe nazwisko: „Schwendt, Friedrich".

Na wydarzenie to nikt by nie zwrócił uwagi, jak na tysiące innych tego rodzaju incydentów hotelowych, gdyby... Friedrich Schwendt nie był swego czasu, przez całe trzy lata, nieomal legendarnym bogaczem — „doktorem Wendig". W owych latach, Schwendtowi, ogarniętemu niepohamowaną żądzą bogacenia się za wszelką cenę, starczyłoby środków na kupno każdego hotelu, w którym by się zechciał zatrzymać. Wszak Schwendt vel „dr Wendig" był owym wyrafinowanym fałszerzem pieniędzy, którego SS i Himmler wyciągnęli z więzienia żeby przy jego pomocy pokusić się o wygranie wojny.

Będąc jeszcze młodym mechanikiem samochodowym marzył o wielkich pieniądzach, toteż z wdzięcznością przyjął nieoczekiwaną propozycję szefa wywiadu w Innsbucku członka SS — Freubena. Schwendt miał być generalnym „dystrybutorem" fałszywych pieniędzy.

Kiedy pierwsza waliza z 500 tysiącami angielskich funtów szterlingów przybyła do Abbacio (obecnie Opatija, jugosłowiański kurort nad brzegiem Morza Adriatyckiego), jeden z najwytrawniejszych współpracowników Schwendta — Rudi Rasch, zwany „człowiekiem bez nerwów", udał się z pierwszą paczką nowiutkich „essesowskich" funtów szterlingów do solidnego banku, żeby „stestować" jakość fałszywych banknotów.

W Banku Włoch pod kasjerem ugięły się kolana: angielskie funty, twarda waluta w tym niesłychanym zamęcie wojny! Cud! „Test" wypadł na piątkę...

Zaraz po tej udanej próbie ludzie Schwendta z pełnymi walizkami fałszywych funtów rozpełzli się po Włoszech i Szwajcarii. A Friedrich Schwendt dzięki zasługom w dziele podważania wartości angielskiej waluty poszedł szybko w górę; ze zwykłego spekulanta walutą przedzierzgnął się w wysokiego oficera SS, otrzymując przy tej okazji nowe nazwisko łącznie z tytułem: „dr Wendig".

Tymczasem produkcja fałszywych funtów brytyjskich osiągnęła skalę nieomal przemysłową. W izolowanych i niezwykle czujnie strzeżonych barakach Nr 18 i 19 obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, gdzie początkowo pracowało zaledwie 40 więźniów, teraz zatrudniono przy fałszowaniu pieniędzy aż 140.

Operację „Bernhard", nazwaną tak od imienia jej „ojca" technicznego, hauptsturmführera SS Bernharda Krügera z technicznego wydziału RSHA (Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy), trzymano w ścisłej tajemnicy, wiedziało o niej zaledwie kilku hitlerowskich bossów.

W ogólnym zamęcie ostatnich miesięcy wojny każdy ratował własną skórę. Kiedy w Merano (miasto w północnych Włoszech) grzmiały już wystrzały partyzantów, Schwendt wsiadł pospiesznie do samochodu i udał się do kryjówki, którą przygotowywał już od dawna w dalekiej dolinie Kaunertahl.

Wtedy to właśnie wyszło na jaw, iż Schwendt handlował fałszywymi pieniędzmi nie tylko ku chwale Trzeciej Rzeszy. W Kaunertahl zakopał na własny użytek 80 kilogramów złota w woreczkach, 80 tysięcy dolarów i 100 tysięcy szwajcarskich franków w gotówce, a ponadto skórzaną walizę z cennymi przedmiotami ze złota. W tym czasie był już właścicielem zamków w Lebers i Hochnaturns pod Merano, w Dolomitach, trzech hoteli i luksusowej willi nad jeziorem Garda. Był także udziałowcem jednego banku i miał konta bankowe w wielu krajach.

Ogromne ilości fałszywych funtów, przechowywanych dotąd w składnicach SS, esesowcy zatopili w jeziorze Toplitz w górach Salzkammergut. Głębokość tego jeziora sięga 80 metrów. Stąd właśnie wyciągnęli reporterzy „Sterna" w 1959 roku pierwsze fałszywe funty, po sensacyjnych poszukiwaniach na dnie Toplitz-see (pieniądze przekazano austriackiej policji).

Wzbogaconemu na wojnie Schwendtowi nie udało się skorzystać z nagromadzonych bogactw. Amerykanie przesłuchiwali go dopóty, dopóki nie ujawnił swego złotego schowka. Wyjechał do Peru, gdzie osiadł na stałe.

Niedawno Peruwiańczycy wydalili Schwendta do Republiki Federalnej. Kiedy bońska policja skonfiskowała jego nieruchomości, z milionów Schwendta pozostała tylko legenda. W kieszeniach hitlerowskiego superszefa fałszerzy waluty znaleziono 22 marki 45 fenigów. Te były chyba prawdziwe.

JERZY CZECH

CHRL

ZAOSTRZENIE WALKI O WŁADZĘ

Sytuacja polityczna w Chinach staje się coraz bardziej złożona. Z jednej strony zaostrza się walka między ugrupowaniami walczącymi o władzę, z drugiej zaś rośnie opór szerokich mas ludowych przeciwko polityce maoistowskiej góry.

Komentatorzy polityczni wielu pism, a głównie dobrze poinformowane „China News Analisis" wychodząca w Hongkongu, czy tokijski „Asahi Dzianam", utrzymują, iż propaganda maoistowska próbuje zatuszować toczącą się walkę polityczną w Chinach. Zły stan zdrowia Mao Tse-tunga przydaje jej szczególnej zaciętości, bowiem zwalczające się ugrupowania nie przebierają w środkach, żeby umocnić swoje pozycje nim Mao zejdzie ze sceny politycznej.

Wydarzenia na placu Tian An Men w Pekinie, po śmierci premiera Czou En-laia, nie były izolowanymi incydentami. Podobne zaburzenia miały miejsce w kilku prowincjonalnych miastach. Po raz pierwszy mówi się, że anonimowe masy występują przeciwko przewodniczącemu Mao oraz przeciwko innym przywódcom (lub przywódcy). To ostatnie słowo niemal na pewno należy rozumieć w liczbie pojedyńczej (w języku chińskim nie ma różnicy między liczbą pojedyńczą a mnogą), ze wskazaniem na Ciang Cing, przeciwko której — co jest absolutnie pewne — były skierowane wystąpienia na placu Tian An Men w Pekinie.

Ten Siao-ping, najwybitniejszy ze starych administratorów, padł wprawdzie, ale inni wciąż jeszcze zajmują swoje stanowiska. Radykałowie zupełnie otwarcie dają do zrozumienia, że walka przeciwko „prawicowcom" nie jest bynajmniej zakończona. Mówią o dwóch odmianach wrogów: „ludziach w partii idących drogą kapitalistyczną", rozumiejąc pod tym określeniem starą gwardię oraz o „niewielkiej grupce wroga klasowego", za którą uważają młodych buntowników organizujących rozruchy.

W tej chwili radykałowie i stara gwardia działają prawdopodobnie wspólnie, żeby „zgnieść" prowokatorów rozruchów, lecz cele tych obu ugrupowań są bez wątpienia różne i określenie: „kontrrewolucjonista" — nie oznacza chyba tego samego w każdym miejscu. W niektórych prowincjach przeprowadzono rzeczywiście masowe mityngi, żeby „zmobilizować" armię, milicję, służbę bezpieczeństwa i sądy w celu „zdławienia zła", ale w innych prowincjach panuje spokój.

Tymczasem słabnie polityczna zwartość kraju. Wieści, że po kraju krążą sfałszowane instrukcje Mao, sfałszowane dokumenty partyjne, sfałszowane przemówienia i testament Czou En-laia stwarzają jeszcze większy zamęt. W informacjach z poszczególnych prowincji mówi się, iż sfałszowane dokumenty rozpowszechniono bardzo szeroko. Być może, że kopie odbito w wielkim nakładzie. Mówi się, że testament Czou En-laia jest najbardziej szkodliwy ze wszystkich dokumentów. W styczniu tego roku zastępca redaktora naczelnego japońskiej gazety „Sankei Shinmbun" powiedział, że według informacji pewnej osoby, której nazwiska wymienić nie może, testament Czou En-laia wdowa po nim rozesłała do wszystkich członków komitetu centralnego partii. Nie wysunięto sugestii na temat sprawców rozpowszechniania sfałszowanych dokumentów.

Już w początkach kwietnia tego roku zaczęły się pojawiać na ulicach wiersze krytykujące przewodniczącego Mao oraz przywódcę (lub przywódców) komitetu centralnego partii. 5 kwietnia prowincjonalny komitet partyjny wydał pilną odezwę prawdopodobnie późnym wieczorem, po aresztowaniu demonstrantów w Pekinie. Tejże nocy wszystkie plakaty z odezwą zerwano ze ścian. Nazajutrz, 6 kwietnia, miało miejsce starcie między „kontrrewolucjonistami" a propagandystami nawołującymi do poparcia instrukcji komitetu centralnego. Następnego dnia opublikowano dwie rezolucje z Pekinu: o naznaczeniu Hua Kuo-fenga (na stanowisko premiera) i potępieniu Ten Siao-pinga. W Chenan kontrrewolucjonistów „zmieciono" (to znaczy aresztowano). W Czen Czou, ważnym węźle kolejowym, wybuchły rozruchy wśród kolejarzy.

Wzburzenie wywołała śmierć 62-letniego generała Pi Din-ciona, dowódcy okręgu wojskowego w Fudżou. Zginął on w katastrofie lotniczej, 7 lipca br., prawdopodobnie, jak podają zachodnie agencje prasowe, w wyniku dywersji zorganizowanej przez jedno ze zwalczających się ugrupowań. Opóźnienie wiadomości o śmierci generała i mętne sformułowanie samej informacji mogą oznaczać — jak podaje UPI — że do jego śmierci przyłożyli rękę radykałowie na czele z Cian Cing, żoną przewodniczącego Mao. Specjaliści od zagadnień Chin kontynentalnych uważają, że dziesięciu głównodowodzących okręgami wojskowymi na kontynencie chińskim stanowi jedyną przeszkodę na drodze do zagarnięcia władzy przez radykałów.

Jaką drogą pójdą Chiny? W każdym wypadku kluczem do tej odpowiedzi jest stanowisko prowincji i armii. Dlatego też kampania przeciwko „prawicowcom" zaczyna się przenosić z terenu uniwersytetów do fabryk, na wieś i dalej — do szeregów wojska.

W odpowiedzi na napaści zwolenników „rewolucji kulturalnej", działacze starego kierownictwa, na czele ze zrehabilitowanymi kadrami, już w końcu 1974 roku określili swoją linię polityczną w następujący sposób: „Zgadzamy się z polityką, ale nie zgadzamy się z władzą. Ustępujemy w centrum, ale nie ustępujemy w prowincjach. Ustępujemy we władzy partyjnej, ale nie ustępujemy we władzy wojskowej. Ustępujemy z kierownictwa w nauce i propagandzie, ale nie ustępujemy w kierowaniu finansami".

NOTATNIK JAŁTAŃSKI

Ciąg dalszy ze str. 1

Tak więc via-Moskwa znalazłem się w połowie lipca w Jałcie, czarnomorskiej perle, znanej w świecie nie tylko jako kurort. Właściwie byłem pewien, że tutaj wrócę, bo cztery lata temu do fontanny na głównym placu Jałty wrzuciłem 10 kopiejek. Wyjeżdżając też rzuciłem pieniążek, na wszelki wypadek 20-kopiejkowy, chociaż radziecka waluta nie ulega dewaluacji.

Foto: Archiwum

2.

Przyjechałem odpocząć z całą rodziną. Takie było teoretyczne założenie. Byczyć się, mózg odłożyć na półkę do szafki. Ale to zbożne życzenie na szczęście się nie spełniło, natomiast przybyło mi kilka arkuszy powieści, nad którą biedzę się od trzech lat, a w notesie garść dziennikarskich refleksji, którymi chciałbym na chwilę zająć uwagę czytelników.

Dom Pracy Twórczej im. Czechowa przypomina dziewiętnastowieczny pałac, ogromem i neoklasycystyczną architekturą. Od poziomu morza trzeba się tu drapać ze dwadzieścia minut, ale za to cisza i niezapomniany widok na jałtańską zatokę. Dla nie lubiących wspinaczki jest podręczny mikrobus, który zawozi domowników na plażę i przywozi na obiad. Potężna ta budowla i funkcjonalna, bo jest nawet „domowe" kino, jest własnością Litfondu, funduszu literackiego powstałego z procentów od wydawanej klasyki. Kapitał musi to być spory, bo Litfond jest bogaty. Tylko w tym rejonie podobnych domów pracy twórczej jest kilka: w Soczi, Gagrze, Picundzie. Ale związek pisarzy w ZSRR też ogromny: ponad siedem tysięcy członków.

Znając nasze ZLP-owskie stosunki pomyślałem sobie, że pewnie dom w Jałcie wzięli w wyłączne posiadanie pisarze moskiewscy. Rozczarowałem się i głupio mi było za to posądzenie, moskwian było najmniej. A w ogóle narodowościowa Wieża Babel: Ukraińcy, Białorusini, Uzbecy, Tatarzy, Kazachowie, a nawet goście z bliskiej Gruzji. To porównanie z biblijną wieżą jest jednak w połowie słuszne. Bo chociaż są jeszcze goście zagraniczni: z Wietnamu, Mongolii, Jugosławii, Rumunii — z porozumieniem się nie ma żadnych trudności. I nie tylko w sensie lingwistycznym. Ta spora gromadka ludzi szybko się zaprzyjaźnia, tworzy jedną wielką, zżytą rodzinę, w której — bez natrętnego wścibstwa — wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

Nasze akcje, to znaczy Aleksandry Aleksandrownej i moje, od razu skaczą do góry, bo przywieźliśmy dzieci. A nigdzie tak na świecie, jak w Związku Radzieckim, nie kocha się dzieci. Wyróżnia się je serdecznością, uwagą i — sam nie wiem jak to określić — poważnie traktuje. Tutaj, w Moskwie czy Leningradzie, wszędzie, nie zauważyłem tej naszej obrzydliwej minoderii wobec dzieci, uleganie terrorowi smarkaczy, którzy domagają się pekaowskiej gwiazdki z nieba. I co gorsze, otrzymują. Tutaj synów redaktora „Prawdy" i naukowca z Kijowa nie odróżnisz na ulicy od rówieśników. To może nie najważniejsze, ale racjonalne uzupełnienie poglądu na przekształcenie dziecka w człowieka.

Więc mamy dzieci z głowy. Kasia ma już Monikę z Macedonii, Sofię z Leningradu i Świetkę z Mińska. Piotrek jest już za pan brat z Tolą i Wasią. Zachodzę w głowę jak oni się porozumiewają, bo nasze dzieci jeszcze nie rozpoczęły nauki rosyjskiego. Ale buszują gdzieś godzinami i do końca pobytu ta komitywa sprawnie funkcjonuje. Ten „język dzieci" to jakiś fenomen, bo jestem pewien, że gdyby tu byli mali Chińczycy czy Anglicy też by się dogadali.

3.

Świat jest oczywiście mały. Dwa lata temu poznałem w Moskwie Władimira Bielajewa. Wtedy podczas dekady kultury polskiej przegadaliśmy w Domu Literatury cały wieczór. Wołodia pokazywał nam również film według swego scenariusza, opowieść o zamordowanym przez nacjonalistów ukraińskich poecie Jarosławie Gałanie. Teraz wręcza mi bogato ilustrowaną zdjęciami z filmu książeczkę, którą podtytuł określa jako „kinopowieść". Mimo woli wprowadza mnie w stan lekkiej irytacji. Człowiek ze mnie jakby trochę ułomny, gdziebym czegoś nie zobaczył zaraz to przymierzam do swojego podwórka. Ilu to naszych publicystów pisało na temat jakiejś korelacji między filmami a ich pierwowzorami literackimi, czy choćby rzuceniem na rynek zwykłych wznowień.

Ale co tam, jesteśmy na urlopie. I biesiadujemy z wielkim przyjacielem Polaków. Kończą się te rozmowy daleko po północy, to i tak wcześnie dzięki (w sumie nieuciążliwej) opiece żon. Po kilku dniach i żona Bielajewa, Tatiana, aktorka MCHAT-u, też się poddaje. Wołodia opowiada rzeczy straszne (przeżył blokadę Leningradu) i komiczne, ale to komizm z opóźnionym zapłonem o kilka dziesiątków lat. Jak do tej pory niewiele z tego wykorzystał w swoich książkach, ale chcę naszym czytelnikom polecić jego trylogię „Stara twierdza" przełożoną u nas. W ZSRR doczekała się już dwudziestu czterech wydań! Mimo, czy może dlatego (?) wieloodcinkowego serialu telewizyjnego.

Dziwny to człowiek ten Bielajew. Ma 67 lat, ale wigorem obdarzyłby dwóch trzydziestolatków. Zna świetnie język polski, wszędzie był, świadkował, uczestniczył, pomagał i — jak się z niego podśmiewam — zna wszystkich Polaków. Wołodia też się śmieje, ale nie protestuje. — Jesteś z Łodzi, mówi, proszę bardzo, znam Łódź i wielu łodzian. Kłaniaj się pięknie pani Jadzi Andrzejewskiej — co niniejszym z przyjemnością czynię.

Pod koniec pobytu Wołodia przynosi nam swoje zdjęcie z dedykacją. Dawno to u nas przebrzmiały zwyczaj, ale tutaj żywy i sympatyczny. Na zdjęciu siwy, jowialny pan w gali, przy orderach. Dostrzegam Krzyż Kawalerski i Zasłużonego dla Kultury Polskiej. „No, bracie, myślę sobie, byłoby bardzo źle gdybyś tych wysokich odznaczeń nie miał".

4.

Warto tu było przyjechać choćby dla samych ludzi. Jeszcze o jednym nie sposób nie wspomieć. Chyba drugiego dnia podchodzi do mnie wielkie chłopisko z prawie białą, ogromniastą i zbitą jak nieprzeniknionym gąszcz czupryną. Twarz opalona, jak u wszystkich, ale dziwnie młoda w połączeniu z tą bielą. Prosi o ogień, częstuję go papierosem. „Wy polskij pismatiel?" Nie taka prosta odpowiedź, Iwanie, trzeba to długo wyjaśniać. Poza tym, że jestem Polakiem cała reszta samookreślenia jest względna. Nie starczyło tych wieczorów, spacerów żeby to sobie nawzajem wyjaśnić. Może za dwa lata kiedy przyjadę do Saratowa i pojedziemy razem, bez żon i dzieci, na te twoją wyspę na Wołdze i będziemy łowić ryby i gotować zupę na ognisku i piec ten twój okropny „likier" kubański to może wtedy przybliżymy się do tej prawdy o sobie. A teraz mogę cię tylko przedstawić...

Iwan Małochatkin, lat 45, wychował się bez rodziców, zaliczył długą listę zawodów, w tym górnika na Północy, taksówkarza i wydawcy. Ale nie myślcie, że jakiś to naturszczyk, bo także absolwent Akademii Literatury im. Gorkiego. Autor sześciu tomów wierszy, nie takich jak u nas listków-wizytówek, ale książek po dwieście stron każda. Nie sądźcie też, że nauczył się pisać wierszy na studiach. Nim pojechał do Moskwy miał już wydane dwa tomy. Ani lepsze, czy inne, niż te ostatnie. Bo dla Iwana nie istnieją sprawy warsztatu, misteria formy. Jest tradycjonalistą, w dobrym znaczeniu tego słowa. Pisze prosto, nie boi się patosu, wyłożenia serca na dłoń. Jest to jednak prostota subtelna, wieloznaczna, przebija cię nią jak cienką, srebrną szpilką — na wylot.

Zwiodła mnie z początku otwartość jego poetyckiego zapisu. Pomyślałem, zrobię mu przyjemność (?) przetłumaczę któryś z jego wierszy, krótki, najbardziej zrozumiały. Dwa dni ślęczałem nad tekstem, wszystkie kolejne wersje pakowałem do kosza. Znałem już każde słowo na pamięć, wiele znaczeń każdego słowa jeśli je posiadało. I nie potrafiłem tych słów skleić w harmonijną całość. Nie żałuję jednak tego wysiłku-zabawy w gruncie rzeczy, bo dopiero od tej chwili bardziej rozumiem trud tłumaczy. Zwłaszcza tłumaczy-poetów, bo nie nazywałbym ich tylko tłumaczami poezji. To ich barowanie się z niemożliwym, nieosiągalnym. A jednak wygrywają. Bo przecież trzeba wierzyć mądrym ludziom, gdy twierdzą, że istnieją tłumaczenia kongenialne.

A ja coraz bardziej zaczynam żałować, że z tym językiem rosyjskim nie jestem na per ty. Wania, który nie tylko pisze wiersze, ale kocha książki i potrafi się nimi bez literackiej zawiści zachwycać, podsuwa mi z biblioteki domu różne książki. Wśród nich Wiktora Astafiewa, krótką powieść „Pieriewał". Literatura to czysta jak kryształ, jakże ludzka, prosta, a jednocześnie głęboka i mądra. Nie wiem czy przełożona na polski, ale po powrocie zaraz dzwonię do Wydawnictwa Łódzkiego by sobie ją ewentualnie zastrzegli. Mamy przecież w Łodzi tłumaczy, którzy nic by nie uronili z jej piękna.

Nie chcę z tych refleksji zrobić dziennika lektur, ale jeszcze tylko wspomnę o Antonie Sergiejewie. Powieść „Dieło było w Pieńkowie", to jakby echo szołochowskich lektur. Dawno się tak nie uśmiałem, ale Sergiejew wywołuje śmiech ciepły, serdeczny, przechodzący w życzliwe dla jego bohaterów zamyślenie, w solidarność dla postawy autora, w zaufanie do jego nieliterackiej literatury.

5.

Jestem tu prywatnie. Wiele osób prywatnie wyjeżdża z kraju. Ale jak przekroczyłeś, bracie Polaku, jakąkolwiek granicę, to musisz tę swoją prywatność rozumieć po polsku. Jeśli nie rozumiesz, będąc kimkolwiek i gdziekolwiek, że jesteś ambasadorem, to wielka szkoda, że ci wydano paszport, wkładkę czy przystawiono pieczątkę w dowodzie osobistym na przejażdżkę za Odrę. Więc jeśli nie rozumiesz to ja bym ci zakwestionował prawo do pewnej rubryki w dowodzie osobistym, a nawet ci powiem wprost: szkoda, że się tu między Odrą a Bugiem urodziłeś.

Zastrzegam się, Bóg mi świadkiem, że nie piszę tego pod twoim adresem, czytelniku. Wątpię by po nasze wspólne pismo sięgali ludzie bez godności, moralne, dwunożne zera. Ale prośba: jeśli takich spotkasz, reaguj jak należy, zamiast się rumienić ze wstydu.

22 lipca od rana zbieramy życzenia, gratulacje. Znam trochę ludzi radzieckich i spodziewałem się tego. Zapraszamy na wieczór. Aleksandra Aleksandrowna, moja ślubna, od kilku dni jest w kłopocie. Nie pochwala picia pod żadnym pozorem, ale tym razem sama zadbała o napełnienie lodówki. Zresztą nikt nie przychodzi z pustymi rękami. Jakoś upychamy się na obszernej werandzie przy stole zarzuconym owocami, pomidorami, ogórkami i szklaną baterią. Wołodia Bielajew długo i pięknie mówi o Polsce i Polakach, nie mniej serdeczne toasty wznoszą Jefim Manew z Macedonii i Wasil Kołodiec ze Lwowa, obaj tłumacze polskiej poezji. (Wasyl nawet boryka się z Norwidem). Wszyscy znają nasz kraj. Tylko Iwan Małochatkin żałuje, że Polskę widział tylko z okna pociągu, a polskich poetów zna tylko z lektur.

Oczywiście wasz ambasador musiał zabrać głos i pięknie się pokłonić za te, nie tylko w słowach, liczne dowody przyjaźni i życzliwości, jakie tutaj i gdziekolwiek w Kraju Rad spotykały jego i tysiące nie znanych mu pobratymców. A potem popłynęły pieśni i piosenki, wiersze i wspominki, jakby to było gdzieś w Wieluniu, Łodzi, Katowicach, Warszawie, gdzieś bardzo blisko.

6.

Być może rozczarowałem czytelnika. Poza tytułem niewiele tu o Jałcie, Krymie. Mogę się tylko usprawiedliwić, że już dawno przestałem być poetą. A gdyby nawet... byli tu wcześniej Puszkin i Mickiewicz. Pozostaje tylko pobłądzić tropem lektur, wrócić do nich. Napotykając liczne ślady historycznych wydarzeń sięgnąć do powieści historycznych i nie tylko.

Cztery lata temu widzieliśmy to wszystko od strony morza. Statek pasażerski „Iwan Franko" („spotkaliśmy" się któregoś wieczoru w porcie) płynął nocami, w dzień stał w kolejnym porcie: Jałcie, Noworosyjsku, Soczi, Suchumi, Batumi. Opuszczaliśmy na kilka godzin ten pływający hotel, by zaliczyć miejscowe atrakcje turystyczne. W pamięci pozostała z tego mozaika kolorów, architektury, południowej flory, sal muzealnych, kafejek i herbaciarni. Tym razem mieliśmy okazję wejść w głąb Krymu. Obejrzeć go z góry, tym dokładniej, że przylot do Symferapola nastąpił po przymusowym (z powodu burzy) lądowaniu w Odessie. Potem, już z Jałty, zapuszczaliśmy się w bliższe i dalsze okolice, łącznie z Sewastopolem i jedynym w swego rodzaju Bachczyserajem.

Foto: Archiwum

Bachczyseraj, miejsce pielgrzymek turystycznych, jak przed laty, wielkich tego świata. Kogo tu nie było z ówczesnej Rosji: Żukowski, Gribojedow, Gorki, Tołstoj, Repin, Sierow. I mimo, że naprawdę są to miejsca niezwykłe, jak dawny pałac chanów krymskich, czy kilka kilometrów dalej wykute w skałach całe miasto z tysiącletnim prawie Soborem Uspieńskim — to sława i legenda tych stron wywodzi się z literatury. Wiele osób ma kłopoty z rozróżnieniem gdzie Rzym, a gdzie Krym, ale kto nie słyszał o Fontannie Bachczyseraju — „Fontannie łez", czy grobie Potockiej.

Przypomnijmy wieszcza Adama... (Z „Sonetów Krymskich")

„W środku sali wycięte z marmuru naczynie:
To fontanna haremu: dotąd stoi cało
I perłowe łzy sącząc woła przez pustynie:

Gdzież jesteś, o miłości, potęgo i chwało?
Wy macie trwać na wieki, źródło szybko płynie:
O hańbo! wyście przeszły, a źródło zostało!"

A jego poetycki brat, Aleksander Puszkin podczas „południowej zsyłki" we wrześniu 1820 roku tak sławił dzieło perskiego mistrza Omera.

„Fontan lubwi, fontan ziwoj!
Prinies ja w dar tiebie dwie rozy
Ljublju niemołcznyj gawor twoj
I poeticzeskije sliezy".

Wszędzie tu wszechobecna jest poezja i literatura. Obok fontanny popiersie Puszkina. W naszym domu w hallu biust Czechowa, na bulwarze nadmorskim jego pomnik w pobliskim sąsiedztwie Gorkiego. Z tym, że Czechow siedzi zamyślony, a spiżowy Gorki jakby zastygł w zamaszystym geście. Żałuję tylko, że jałtańskie muzeum Czechowa jest w remoncie.

Natomiast o Liwadi, gdzie odbywała się Konferencja Jałtańska, Pałacu Woroncewych, Ogrodzie Botanicznym, Jaskółczym Gnieździe, obozie pionierów w Arteku, legendarnej skale Ajpietri, sewastopolskiej panoramie i diramie, Ałupce, Ałuszcie i skale Ajudahu, napiszę po ponownych odwiedzinach tych pięknych miejsc.

W jałtańskiej fontannie leży przecież moich 20 kopiejek!

JERZY WAWRZAK

Foto: Archiwum

RELAX

Rodzimy komiks ma już u nas historię prawie dwudziestoletnią. Po okresie anatemy odrodził się na łamach magazynu „Dookoła świata", a potem ze zmiennym szczęściem gościł w różnych pismach i gazetach codziennych.

Potem przyszła epoka komiksu prawdziwego czyli wydawnictw zeszytowych — wydawanych głównie przez „Sport i Turystykę". Dyskontowano więc telewizyjną popularność kapitana Klossa, publikowano serie „Ryzyko" o dzielnym oficerze milicji, przypominano dzieje walk partyzanckich z serii „Podziemny front"...

Wszystkie te komiksy miały wspólną wadę. Zawsze coś tam naśladowały — a to film, a to literaturę... Komiks jednak ma swoją własną poetykę i swoją własną dramaturgię. Strona graficzna owych wydawnictw zeszytowych też przedstawiała wiele do życzenia — a już szczególnym skandalem plastycznym była historyjka o polskich piłkarzach.

I oto naraz w połowie roku 1976 ukazuje się wydawnictwo komiksowe z prawdziwego zdarzenia. Wydawcą jest Krajowa Agencja Wydawnicza i ma to być publikacja cykliczna.

Pierwszy zeszyt „Relaxu" (bo tak się to nazywa) zawiera jedną opowieść wojenną, jedną historyczną, jedną z gatunku „sciente fiction" oraz dowcipne opowiastki rysunkowe (m. in. Orient-Man, parodię Super-Manów). Ponadto znajdujemy tu zapowiedź stałego cyklu „Barwa i broń żołnierza polskiego".

Wszystko to — jak się rzekło — na dobrym poziomie (także poligraficznym), oparte na dobrych pomysłach i realizowane przez ludzi znających się na rzeczy. Obok młodych — nie znanych jeszcze autorów — spotykamy tu nazwiska m. in. Henryka Kurty, Szymona Kobylińskiego i — znanego z „Expressu" autora Koko i Kajtka — Christa.

„Relax" ukazywał się będzie cyklicznie, choć redakcja nie informuje o częstotliwości. Zapewne ze względów poligraficznych. Nakład pierwszego zeszytu — 100 tysięcy egzemplarzy. Brawo!

„Relax", Krajowa Agencja Wydawnicza, cena 18 zł + 2 zł na Centrum Zdrowia Dziecka.

ŁOWCA GOŁĘBI

W ostatnim czasie w młodej prozie polskiej pojawiło się nowe, interesujące nazwisko — Andrzej Pastuszek. Pisarz ten, urodzony w 1948 roku, publikuje co prawda na łamach czasopism („Twórczość", „Dialog", „ITD") od 1969 roku, ale swoją debiutancką książkę wydał dopiero teraz.

We współczesnym świecie jednak nie debiutanckie książki wprowadzają pisarza do literatury. W sytuacji rozwoju filmu i telewizji książki są często sprawą wtórną — przynajmniej jeśli chodzi o chronologię. Dobrą reklamą debiutu Pastuszka była też publikacja jego opowiadania „Kiciokuś" na łamach „Literatury". Ale bardziej pamiętamy interesujący film telewizyjny „Babie lato", zrodzony z opowiadania Pastuszka, film — teraz to można skonfrontować — utrzymany w klimacie i charakterze opowiadania pod tym samym tytułem.

Wrześniowy numer „Kalejdoskopu" przynosi także zapowiedź nowego filmu opartego o prozę Andrzeja Pastuszka. W istocie jest to proza „filmowa" — czyta się ją znakomicie a i tematyka nieco egzotyczna, choć dość wśród młodych pisarzy popularna, bo dotycząca tzw. marginesu — też przysporzy autorowi czytelników. Ale u Pastuszka nie chodzi tylko o egzotykę i epatowanie marginesem. Jest w tych opowiadaniach jakiś urzekający nastrój, poetycki i nieco nostalgiczny.

Andrzej Pastuszek — „Łowca gołębi", Czytelnik, cena 25 zł.

DZIEŃ OSZUSTA

Ireneusz Iredyński zaczynał jako poeta, ale najgłośniejsze stały się jego utwory dramatyczne i prozatorskie. Ostatnio „Czytelnik" wznowił dwie mikropowieści Iredyńskiego — „Dzień oszusta" i „Ukryty w słońcu".

Bohater „Dnia oszusta" nie potrafi żyć autentycznie, dla niego życie jest nieustanną grą, w której pionkami są wszyscy otaczający go ludzie, a tylko on jeden nimi kieruje i posiada rozeznanie sytuacji. Ta gra ma zapewne służyć ukryciu się przed światem, przed ludźmi, jest wyrazem strachu przed życiem.

Jego starszym bratem mógłby być bohater drugiej powieści — „Ukrytego w słońcu" — scenograf Jan. Tutaj mamy do czynienia z człowiekiem o pewnej pozycji społecznej, atrakcyjnym zawodzie. Ale i jego życie nauczyło obłudy, którą maskuje wzgardę dla otoczenia i cynizm. On również boi się świata.

Nieszczęśliwi są bohaterowie Iredyńskiego i smutny jest świat tych powieści. Nie to jest wszakże w tej prozie istotne, bo przecież i ten świat i ci ludzie są pokazani w jakiś przejmująco prawdziwy sposób.

Ireneusz Iredyński — „Dzień oszusta — Ukryty w słońcu", Czytelnik, cena 32 zł.

RYMKIEWICZ

Jak ten czas leci! To już dwadzieścia lat mija od debiutu Jarosława Marka Rymkiewicza, który w roku 1957 opublikował w Wydawnictwie Łódzkim zbiorek „Konwencje". Potem J. M. Rymkiewicz prowadził dział literacki w „Odgłosach", pracował naukowo w Uniwersytecie Łódzkim — wreszcie wyjechał do swojej rodzimej Warszawy, o której dwadzieścia lat temu — jeszcze w Łodzi — tak pisał:

„Gdzie są ulice którymi szedłem do pierwszej klasy,
Gdzie sklepik w suterenie, w którym kupowałem cukierki,
W jakim niebie rży i galopuje mój koń na biegunach,
mój spalony koń..."

Potem J. M. Rymkiewicz wydał głośne i znaczące dla współczesnej poezji zbiory: „Metafizyka", „Animula", „Anatomia", „Co to jest drozd" oraz eseje „Czym jest kalasycyzm?"

W prawie dwadzieścia lat po debiucie, wciąż młody klasycystyczny poeta wydał piękny „Wybór wierszy" — przypomnienie tych wszystkich utworów artysty, które wzruszały i poruszały nas przez minione lata.

J. M. Rymkiewicz — „Wybór wierszy", Czytelnik, cena zł 30.

SŁOWNIK TERMINÓW LITERACKICH

Autorzy nowego „Słownika terminów literackich" twierdzą skromnie, że jest to publikacja „średniego zasięgu" i nie może odpowiadać zadowalająco wysublimowanym potrzebom badaczy-specjalistów w zakresie nauki o literaturze. Być może, ale w porównaniu z dotychczasowymi publikacjami tego rodzaju jest to praca na bardzo wysokim poziomie.

Słownik pod redakcją Janusza Sławińskiego ma służyć pomocą przy studiowaniu prac poświęconych zjawiskom literackim — teoretycznych, historycznych czy krytycznych, umożliwiać właściwe rozumienie pojęć stosowanych w wywodach badaczy literatury, przybliżać osobliwości użytkowanego przez nich języka, który odbiorcy nie wtajemniczonemu jawi się często jako niepojęty żargon.

Tak więc autorzy (Michał Głowiński, Teresa Kostkiewiczowa, Aleksandra Okopień-Sławińska i Janusz Sławiński) dostosowali charakter tego opracowania przede wszystkim do potrzeb studentów filologii, nauczycieli polonistów i początkujących badaczy-adeptów literaturoznawstwa. Jest to pozycja niezwykle cenna, wydana w serii „Vademecum polonisty" zasłużonego wydawnictwa „Ossolineum".

WARTO PRZECZYTAĆ

Marian Czuchnowski — „Cynk", „Pieniądz", LSW, cena zł 55.
Ireneusz Iredyński — „Dzień oszusta", „Ukryty w słońcu", Czytelnik, cena zł 32.
Wanda Krajewska — „William Butler Yeats", WP, cena zł 40.
Stanisław Lem — „Suplement", WL, cena zł 35.
Oskar Jan Tauschiński — „Świętokradztwo". Autoryzowanego przekładu dokonał oraz posłowiem opatrzył Stefan H. Kaszyński, WM, cena zł 15.
Simon Vestdijk — „Lekarz i dziewczyna lekkich obyczajów", PIW, cena zł 23.
Witold Zegalski — „Wyspa Petersena". Opowiadania fantastyczne, W. Poz., cena zł 25.
Jadwiga Ruth-Charlewska — „Dziewczyna spoza szyby", WL, cena zł 20.
Danuta Knysz-Rudzka — „Pola Gojawiczyńska", PIW, cena zł 25.

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

BAJKA PRZYDAĆ SIĘ MOŻE

Przypadkowo wpadł mi do rąk stary egzemplarz „Odgłosów" z roku 1968 i znalazłem w nim felieton podpisany „Jerzy Widok". Oczywiście — osiem lat to żaden jubileusz dla stałej pozycji felietonowej. Redaktor Henryk Rudnicki z „Głosu Robotniczego" swój felieton „Ze środy na piątek" pisuje dłużej niż ćwierć wieku i też nikomu nie wpadło do głowy, żeby zasłużonemu publicyście urządzić jakiś skromny jubileusz.

A jednak ten pożółkły egzemplarz „Odgłosów" wywołał jakiś strumień wspomnień — wcześniejszych zresztą niż same narodziny Widoka. Prowadziłem bowiem na tych łamach stałe rubryki jeszcze wcześniej — „Informacje i zaczepki", „Kupić nie kupić", „Notatnik kulturalny", „Od niedzieli do niedzieli"... Dwadzieścia lat, a może mniej. No, raczej mniej, bo „Odgłosom" stuknie dwudziestka dopiero na wiosnę przyszłego roku.

Nieraz ludzie pytają jak można tyle lat pisać tydzień w tydzień, bez przerwy na urlop, na „chorobowe", na chandrę... Ano można, jeśli pisanie jest po prostu sposobem na życie, a nie tylko odwalaniem zadanej roboty.

Tak więc można, nawet jeśli czasem pisze się tak: „Kwiaty i motyle! Wieleż radości przynoszą nam te stworzonka. Ktoś porównał motyla do fruwającego kwiatu. I słusznie! Owad błonkoskrzydły, mieniący się wszystkimi kolorami tęczy, gdy w kapryśnym locie muśnie skrzydełkami płatki nasturcji..." Otóż te dyrdymały pisał przed laty Antoni Słonimski w „Wiadomościach Literackich". Kto chce niech sprawdzi w „Kronikach tygodniowych" wydanych przez Państwowy Instytut Wydawniczy w pięćdziesiątym którymś roku.

Ale wszystko ma swój sens (nawet felietonowe dyrdymały) i potrzebne jest nawet jątrzenie czytelnika, budzenie jego czujności na zjawiska groteskowe i głupie.

Czytelników w tych minionych latach miewałem różnych. Jedni udawali że nic nie pojmują — a byli raczej mądrzy. Inni niewiele z tego pisania rozumieli, a udawali mądrych i przenikliwych. Jeszcze inni szukali ukrytych znaczeń, których tu wcale nie było. Czyli normalnie — jak w życiu.

Z niektórymi czytelnikami nawet się zaprzyjaźniłem, niektórzy sami zaczęli pisać — i to trzeba przyznać — z powodzeniem. Jeden — niestety — zwariował. Ale mam nadzieję, że udział moich felietonów był w tym smutnym zdarzeniu znikomy.

Trzydzieści felietonów tej rubryki złożyło się na książkę wydaną przed paru laty w Wydawnictwie Łódzkim. Tytuł — „Rzeczy dziwne i ciekawe" — nawiązywał do zbiorku felietonów Piotra Choynowskiego „Rzeczy drobne i zabawne" wydanego w 1930 roku przez Gebethnera i Wolffa. Ale nikt tego nie zauważył.

Pożółkły egzemplarz „Odgłosów" znaleziony za redakcyjną szafą tak mnie rozkleił, że naprawdę ględzę tu o kwiatkach i motylkach, ale — kto wie — może jest w tym głębsze znaczenie?

Jak choćby u Słowackiego w „Beniowskim"

„Nowi poeci rodzą się jak grzyby
Szkoda, że każdy jest nadzwyczaj ławym
I w oknie duszy ma zielone szyby, —
Każdy ma język swój co jest kulawym".

Zapewne kulawy ten język felietonu, ale jest to język dnia powszedniego. Felieton to taka współczesna bajka, a — jak pisał Franciszek Morawski we „Wstępie do bajek" — „bajka przydać się może". A już na pewno nie zaszkodzi.

WIDOK

LEWYM OKIEM

KTO SIĘ POWINIEN WSTYDZIĆ?

Sierpień — miesiąc Powstania Warszawskiego. Wrzesień — desperackie zmagania z nawałą faszystowską. Miesiące, kiedy w pamięci coraz mniej licznych uczestników tamtych wydarzeń odżywają ze zdwojoną siłą nigdy niegasnące wspomnienia.

Na łamach „Kultury" ukazał się niedawno artykuł Piotra Adamczewskiego atakujący ostro nie wymienionego z imienia obywatela, który oferuje redakcjom swe wspomnienia z jakiejś szczególnej okupacyjnej akcji; zapewne brał w tej akcji udział. Domyśleć się można, że ów „kombatant" (cudzysłów nie mój, tylko Piotra Adamczewskiego, który nie kryje swego obrzydzenia do autora relacji okupacyjnych) zwrócił się z propozycją publikacji także do redakcji „Kultury" i że spotkanie to wywołało rienqu'abomination (wstręt i tylko wstręt) w adresatach oferty.

Nie mam pojęcia o kogo chodzi, a na pewno wielu jest takich, co wiedzą. Być może istnieją dostateczne przesłanki po temu, aby owego autora uznać za mistyfikatora, za człowieka nadmiernie eksploatującego swe przeżycia, może nawet nazbyt samochwalczo doprawiane i sprzedane już po kilkakroć. To się zdarza, ale to trzeba zawsze traktować incydentalnie, osobniczo... Mogła redakcja jedna z drugą tekstu nie przyjąć i koniec. Natomiast uogólnienie tej sprawy przez Piotra Adamczewskiego na zlecenie, czy z inspiracji, czy choćby za zgodą redakcji „Kultury", ogłoszenie w rubryce, stanowiącej wyraźną glossę redakcji jako całości do aktualnych zdarzeń, że najwyższy czas skończyć wreszcie z ględzeniem (i to odpłatnym) o tej sakramenckiej bohaterszczyźnie i martyrologii sprzed blisko czterdziestu lat — to wszystko budzi w nas odruch wielkiego zaniepokojenia.

Już w dwa tygodnie po ukazaniu się omawianego artykułu, znajdujemy na łamach tejże „Kultury" fragmenty listów czytelników, nawiązujących do artykułu. Niepokój rośnie w przerażenie, jeżące resztki kombatanckich włosów. Oto fragmenty tych fragmentów: „Zerowanie na męczeństwie uważam za najbardziej niesmaczną działalność, z jaką stykamy się czasami w życiu publicznym".

„Kombatant, który zarabia na fakcie, że przeżył wojnę, który rozmienia na liczne wierszówki śmierć swoich kolegów, przyjaciół, towarzyszy walki — to zjawisko niegodne, zasługujące na najwyższe potępienie".

„Nie wiemy, jak wyrazić nasze oburzenie. Szkoda, że nie podaliście (i zapewne nie podacie) nazwiska tego pana..." (sic!)

Takich listów ogłoszono pięć, a obok nich jeden, który bierze w obronę kombatanta chcącego publikować wspomnienia. Już sama proporcja listów świadczy, komu redakcja skłonna jest przyznać rację. No i co teraz pomyśleć o tych setkach, tysiącach autorów wspomnień z lagrów i więzień, z frontów i lasów, z podziemnych szkół, z gett i obozów zagłady? To przecież wszystko ludzie zarabiający na fakcie, że przeżyli wojnę. Ktoś w „Przekroju" zarobił nawet na tym, że przeżył trzęsienie ziemi w Peru, pożar w Chicago i katastrofę w londyńskim metro. Nasi wojenni lotnicy wydają tuziny książek, sprzedając wciąż na nowo śmierć swoich kolegów i towarzyszy walki. Bohaterstwo i męczeństwo swych przyjaciół sprzedają Szmaglewska i Hołuj, sanitariuszki i łączniczki, aptekarze i architekci, Jerzy Rawicz i legion innych. Czy powinni zamilknąć pełni wstydu? Może komuś lektury tych rzeczy nosem wyłażą, może im przeszkadzają w trawieniu i w błogim półsennym konsumpcyjnym samopoczuciu? Może zaorać wreszcie mogiły i cmentarze, oddać je wiecznemu zapomnieniu, nie pchać się ze wspominaniem, odtwarzaniem, świadczeniem? Po co te wszystkie „Było tak", „Tak też było", „Anus mundi", „Nadzy wśród wilków", „Zapiski z martwego miasta"? A może nie płacić za przeżycia, bo to brzydko i ach, jak niemoralnie, a płacić więcej za teksty piosenek i za wszelkie mętne pustosłowia ludziom, którzy niczego nie przeżyli?

„Uważam, że w tej sprawie powinien wypowiedzieć się ZBoWiD. Nie można tolerować takich ludzi w łonie tej organizacji!" — gromi pamiętliwych kombatantów zgorszony pan A. Tomczak z Łodzi, czytelnik „Kultury". A właśnie ZBoWiD ciągle szuka i namawia ludzi, aby pisali wspomnienia, by zgłaszali się na prelegentów i dzielili się swymi przeżyciami z młodzieżą, z zakładami pracy. Pan Tomczak nie musi na takie spotkania chodzić, ale czy „Kultura" naprawdę chce generalnie firmować i popierać stanowisko pana Tomczaka, Wójcika, pani Zabrańczyk i pana Adamczewskiego?

ĆWIEK

KSIĄŻKA

KTO NA GÓRZE, KTO NA DOLE?

Na pytanie to odpowiada książka, która stała się bestsellerem w Republice Federalnej Niemiec, gdzie pod tytułem „Ihr da oben — wir da unten" ukazała się w roku 1973 w wydawnictwie Kiepenheuer-Witsch. Głośno było o niej jeszcze zanim ujrzała światło dzienne. Jest to bowiem publikacja demaskatorska, w sensacyjny sposób ujawniająca tajemnice rodowej arystokracji zachodnioniemieckiej oraz bezkompromisowo obnażająca świat biznesmenów, przemysłowców i rekinów finansjery.

Autorzy owych pseudohagiograficznych szkiców i reportaży — Bernt Engelmann i Günter Wallraff — są szeroko znani w Republice Federalnej, częściowo zaś i w naszym kraju. Sławę zjednała im nie tyle umiejętność władania piórem, co podejmowana od lat z dużym powodzeniem problematyka.

Pierwszy z nich stał się głośny po wydaniu książek, których tytuły mówią same za siebie: „Władza nad Renem... Moi przyjaciele — giganci finansjery", „Moi przyjaciele — menadżerzy, moi przyjaciele — milionerzy", „My poddani", „Zjednoczeni przeciwko prawu i wolności". Były to, rzecz prosta, pozycje wysokonakładowe. Dwie ostatnie sam autor określił jako podręczniki niemieckiej antyhistorii. Bo zapoznając czytelnika z kulisami powstawania milionowych fortun, przedstawiając — z niejakim zdumieniem, że pozostało jeszcze tak dużo i tak bogatych jej przedstawicieli — arystokrację, sięga Engelmann zawsze w głąb niemieckiej historii. Kpi przy tym bezlitośnie zarówno z tradycyjnej historiografii, jak i ze współczesnej publicystyki. Sprowadza ad absurdum ujęcia uświęcone tradycją. Czyni to zaś tak obrazowo, że warto — za Wilhelmem Szewczykiem — przytoczyć wcześniejszą wypowiedź Engelmanna: „Około roku 1975 każdy, kto w RFN dbał o siebie, posiadał prywatny samolot odrzutowy. Latał nim przed południem do fryzjera w Paryżu, po południu do dentysty w Zurychu, by stamtąd zaraz polecieć do krawca w Rzymie. Ponadto każdy obywatel miał zdolny do dalekomorskich podróży jacht motorowy, wyposażony w luksusowe apartamenty, łazienki, bar i pływalnię (...). W zwyczaju było posiadanie kilku mieszkań w kraju i za granicą (...). Każda rodzina posiadała całą flotę pięknych, szybkich, luksusowych samochodów, składającą się z samochodu do podróży, na miasto i dla uprawiania sportów dla każdego dorosłego członka rodziny, jak również średniej klasy samochody dla licznej służby. Administrowanie tak liczną służbą znajdowało się w rękach wysoko wykwalifikowanych menadżerów, którzy za swoją odpowiedzialną pracę, podobnie jak wszyscy inni zatrudnieni w zakładowej rodzinie, otrzymywali zgodnie z wynikami pracy wysokie pensje, do tego udziały w zyskach, wspaniałe zaopatrzenie na starość oraz liczne inne świadczenia socjalne, często wyższe od ustawowych..."

Wallraff znany jest polskiemu czytelnikowi z „13 niepożądanych reportaży". W gromadzeniu materiału do swych reportaży posługuje się charakterystyczną techniką. Przybierając obce nazwiska, posługując się wypożyczonymi papierami, odpowiednio ucharakteryzowany trafia do zakładów pracy, poznaje wszystko z autopsji, ogląda dokumenty, przeprowadza setki rozmów. W ten sposób poznawał Wallraff tym razem życie tych, którzy są na dole — robotników, właściwych twórców bogactwa przemysłowej śmietanki.

Książka ta oparta jest na kontraście. Swoistemu „katalogowi" najbogatszych rodzin i rodów RFN (obejmującemu między innymi nazwiska Kruppa, Thurn und Taxis, Henkla, barona von und zu Gttenberga, Flicka, Hortena, doktora Oetkera) przeciwstawione zostały opisy warunków pracy, wyzysku i niejednokrotnie samowoli. Ujawniają one niejako wzorzec systemu, który szeroko szermując hasłami demokracji właśnie w sferze produkcji pragnie — jak powiada Wallraff — „utrzymać autorytet i hierarchię oraz nie dopuścić do demokracji".

„Wy na górze, my na dole" to doskonały przykład zaangażowanej społecznie literatury faktu. Nawiązuje w znacznej mierze do Brechtowskiej tradycji i stanowi poniekąd odpowiedź na „Pytanie czytającego robotnika":

Kto zbudował Teby o siedmiu bramach?
W księgach są nazwiska królów.
Czy królowie przytaszczyli bloki skalne?
A zburzony po wielekroć Babilon —
Kto tylekroć odbudował?

Wiele uwagi poświęcają autorzy obyczajowości tych z góry, nie stroniąc wcale od sensacji, trafiających zazwyczaj do towarzyskich kronik poczytnych magazynów ilustrowanych. Spragnieni publicyty beznesmeni oraz ich żony poświęcają niemało środków na różnego rodzaju wydarzenia towarzyskie i szokujące przyjęcia.

Skoro o obyczajach mowa nie sposób pominąć spraw seksu, zwłaszcza że to przecież Günter Arzberger, właściciel największego w Europie domu sprzedaży wysyłkowej mebli, powiedział, iż pieniądz to seks mężczyzny i przydaje człowiekowi zmysłowości. Lepszym wszakże od Arzbergera w tym zakresie jest Gunter Sachs („Wielki Sexy"), uznany za światowej rangi playboya i stałego członka międzynarodowej elity towarzyskiej. To on był partnerem takich znakomitości takich jak Tina Onassis, wreszcie małżonkiem Brigitte Bardot. Nie przeszkadzało mu to zupełnie w realizacji chlubnej dewizy: każdego roku inna ponętna dziewczyna, a więc modelka od „Chanela", mistrzyni świata w nartach wodnych, aktorka filmowa itd.

Inna znana sentencja: „O pieniądzach się nie mówi, pieniądze się ma". Tym wszystkim, którzy chcieliby się dowiedzieć, skąd Sachs i jemu podobni mają pieniądze i co z nimi robią — gorąco książkę Engelmanna i Wallraffa polecam.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

B. Engelmann, G. Wallraff, Wy na górze, my na dole. Przełożył H. Wandowski. Przedmowę napisał W. Szewczyk, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1976, nakład 5 000 + 290 egz., cena zł 35.

BIAŁY REKIN

Lato 1973 r. W znanym francuskim kąpielisku Antibes na Lazurowym Wybrzeżu spotykają się czterej młodzi ludzie. Nie, to nie jest przypadkowe spotkanie. Ci czterej przybyli tam w ściśle określonym celu, a było nim rozważenie możliwości nakręcania filmu o wielkim białym rekinie, rekinie-mordercy.

Czytelnicy zapewne domyślają się już, że mowa tu o filmie „Szczęki" („Jaws"), filmie, który pobił wszelkie rekordy kasowe w Stanach Zjednoczonych, zarazem doprowadzając do wyludnienia plaż atlantyckich Ameryki i to również tam gdzie nigdy dotychczas rekinów nie widziano. Ów filmowy dreszczowiec zaliczany jest do dość przerażających pozycji z tego gatunku i to nie bezpodstawnie, jako że przyprawił już niejednego z widzów o zawał serca. Od pewnego czasu mamy możność oglądania go również na ekranach naszych kin i bez względu na kontrowersyjne oceny walorów tego filmu, zarzuty komercjalizmu itp., nie sposób odmówić jego twórcom dużego talentu i umiejętności jakie wykazali przy jego nakręcaniu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że kręcenie zdjęć do tego filmu należało do jednych z najtrudniejszych pod tym względem przedsięwzięć w historii kinematografii.

Powróćmy jednak do owego spotkania w Antibes. „Szczęki" książka, pod tym samym tytułem co film, nie była jeszcze wówczas bestsellerem. A jednak wspomniani wyżej ludzie postanowili podjąć się jej sfilmowania i to z pełnym rozmachem, nie bacząc na piętrzące się przeszkody. Miał powstać film jakiego dotychczas jeszcze kina nie widziały.

Ale historia „Szczęk" nie zaczęła się w 1973 r. Nastąpiło to dwa lata wcześniej w czerwcu 1971 roku, a dokładniej w dniu kiedy to młody pisarz Peter Benchley wręczył czterostronicowy tekst zawierający zarys przyszłej powieści odpowiedzialnemu przedstawicielowi znanego amerykańskiego domu wydawniczego Doubleday. Czy jego koncepcja zyska aprobatę?

Dla Petera Benchley'a wyniki dyskusji są pozytywne i obie strony przystępują do omówienia warunków kontraktu. Zgodnie z nimi Benchley jest obowiązany dostarczyć firmie Doubleday cztery pierwsze rozdziały w terminie do 15 kwietnia 1972 r.

Dla Benchley'a rozpoczynają się więc trudne miesiące. Pisze, wnosi poprawki do tekstu, koryguje, znów pisze dalsze rozdziały, dokonuje kolejnych korekt. Musi się spieszyć, termin ukończenia książki upływa bowiem w styczniu 1973 r. Jej tytuł ma brzmieć — „Szczęki". Zapada decyzja, że książka ukaże się w sprzedaży jesienią tego samego roku.

Do tego momentu Benchley otrzymał 7.500 dolarów. Jak za rok ciężkiej pracy zapłata raczej niewielka, a przecież aby napisać tę książkę trzeba było kilku lat przygotowań, zbierania doświadczeń. W efekcie po ośmiu tygodniach od chwili napisania słowa „koniec" na koncie bankowym Benchley'a pozostało zaledwie 600 dolarów.

Ale oto nagle, odmiana losu. Sprawa przybiera niespodziewany obrót. Wydawnictwo **Bantam** nabywa za sumę 575.000 dolarów prawa autorskie na druk książki, która ma zostać wydana w ramach kolekcji kieszonkowej.

W tym samym czasie, gdy sprawa zaczyna nabierać tempa na odcinku wydawniczym, pojawiają się na scenie dwaj producenci filmowi **Richard Zanuck i David Brown.** Chcą zasięgnąć jak najwięcej informacji o przygotowywanej książce. Nawiązują więc kontakt z autorem, Peterem Benchley'em i domem wydawniczym Doubleday. Od tej chwili sprawy toczą się szybko, rozpoczyna się pierwszy etap ich pracy.

Przede wszystkim dzielą się rolami. Zanuck prowadzi negocjacje w Los Angeles; Brown — z ludźmi z Nowego Jorku. Każdy z nich, ulokowany w luksusowej restauracji — Zanuck w „Bistro" na Beverly Hills, Brown w „Palm" w Nowym Jorku omawia z zainteresowanymi te same punkty tej samej sprawy. Wreszcie pertraktacje dobiegły końca i w rezultacie Zanuck i Brown stali się właścicielami praw do adaptacji filmowej tej książki, która niebawem miała się stać bestsellerem. Kosztowało ich to 150.000 dolarów. Kilka tygodni później cena byłaby na pewno znacznie wyższa, ale w dniu kiedy spisywano kontrakt książka nie była jeszcze całkiem ukończona. Działali więc szybciej i zyskali. Jedna z klauzul umowy przewidywała, iż Benchley napisze ciąg dalszy scenariusza, i że owe 150.000 tysięcy dolarów może ewentualnie zamienić się w 250.000. Ewentualnie.

Do tego momentu wszystko przebiegało pomyślnie. Zanuck i Brown udają się więc teraz na południe Francji do wspomnianego już kąpieliska Antibes. Tam dołącza do nich Benchley oraz młody reżyser Steven Spielberg, który właśnie podróżuje po Europie, prezentując jeden ze swoich filmów: „Pojedynek". Ci czterej ludzie spędzają na plaży długie godziny rozważając, dyskutując nad kwestią zasadniczą: jak zekranizować „Szczęki" aby przyniosły sukces? Początkowo Spielberg nie chce się podjąć realizacji filmu. Podobnie zresztą jak inni reżyserzy, zadanie jest przecież niezwykle trudne. Zanuck i Brown prowadzą z nimi niekończące się rozmowy. Bez wielkiego rezultatu. Jeden z reżyserów proponuje aby zamiast rekina posłużyć się wielorybem. Wreszcie Spielberg zaczyna się powoli przełamywać. Dalsze dyskusje z Zanuckiem i Brownem powodują, że jego entuzjazm do realizacji tego, bezprecedensowego w historii kinematografii przedsięwzięcia stopniowo narasta. Akceptuje propozycje obu producentów.

Prace nad projektem filmu rozpoczęły się więc pod najlepszymi auspicjami. Benchley pisze scenariusz, Spielberg przystąpił do rozwiązywania pierwszych problemów technicznych. Tymczasem już pierwszy problem, zresztą zasadniczy dla całego przedsięwzięcia jak zaplanować rolę rekina, wydawał się być barierą nie do pokonania.

W grę nie wchodziły bowiem żadne tricki, czy możliwość posłużenia się delfinami. Dla realizatorów stało się więc jasne, że rola rekina musi zostać rozwiązana w sposób szczególny, ale jak tego na razie nikt nie wiedział.

Przede wszystkim należało znaleźć człowieka, który potrafiłby umiejętnie poradzić sobie z kręceniem zdjęć, przewidzieć trudności, które się wyłonią, zastosować odpowiednie środki zaradcze, właściwie ocenić koszt i czas potrzebny na realizację scenariusza. Słowem musiał to być człowiek zdolny i wszechstronny, a takim właśnie był Bill Gilmore. W tym samym czasie wkroczył także na scenę dyrektor artystyczny: Joe Alves.

1 grudnia Alves przystąpił do realizacji głównego zadania filmu tj. stworzenia głównego bohatera-rekina. Jak to zrobić? Pytanie to wciąż powracało niczym bumerang. Po długich i wyczerpujących studiach licznych książek, prac naukowych i specjalistycznych periodyków, po wielogodzinnych rozmowach ze Spielbergiem i oceanografami, po obejrzeniu szeregu filmów ukazujących w akcji „tygrysa oceanów", w umyśle Alvesa zaczęła kiełkować wizja rekina. Jego rozmiary miały być ogromne, powinien mierzyć jakieś 8,5 metra długości. Skąd wziąć taki okaz?

Spielberg sugerował, aby nakręcić zdjęcia z prawdziwymi białymi rekinami. Gilmore przystał na to i w tym celu zaangażowano dwoje Australijczyków: **Rona i Valerię Taylor,** którzy we współpracy z Peterem Gimbelem, wybitnym znawcą rekinów, mieli nakręcić zdjęcia u wybrzeży Greet Barrier Reef w Australii, często odwiedzanych przez ten gatunek rekinów.

W tym okresie powstały główne sceny filmu, między innymi wyprawa stateczku „Orca", walka trzech śmiałków z rekinem, panika na plaży, scena z Chrissy itd. Tym samym nadszedł moment, iż trzeba było wreszcie wkroczyć w „twórcze" stadium realizacji. **Wielki, biały rekin Benchley'a miał prawie siedem metrów długości. Oczywiście osobniki tych rozmiarów istnieją i są spotykane, ale dzieje się to raczej bardzo rzadko. Przeciętnie białe rekiny, na jakie natrafiali podczas zdjęć wspomniani Australijczycy, nie przekraczały 3,5 metra długości.** Aby więc można było je wykorzystać na ekranie, musiały się wydawać dwa razy większe niż były nimi w rzeczywistości. Jak to osiągnąć? Rozwiązanie było właściwie jedno: aktorzy muszą być mali, bardzo mali, trzeba bowiem zachować odpowiednie proporcje. I tak oto na planie pojawia się **Carl Rizzo,** były dżokej, mający zaledwie 1,50 m wzrostu, dzięki czemu doskonale nadaje się do roli, jaką ma odegrać w tym filmie. Natychmiast otrzymuje bilet lotniczy do Australii i 15 dni później wraz z przedstawicielem kompanii „Universal" ląduje po 17-godzinnym locie w Port Lincoln, gdzie ma „polować" na wielkie, białe rekiny — ludojady. Nie popełni się błędu, twierdząc, że rola, jaka przypadła mu w udziale, znacznie wykraczała poza warunki umowy z producentami, ale praca jest pracą, a Rizzo był przecież zawodowcem.

Zrobiono dwie klatki, z których jedna była przeznaczona dla niego. W drugiej, znacznie mniejszej, umieszczono manekin ubrany w strój płetwonurka z butlami tlenowymi, oczywiście również miniaturowymi oraz wyposażono go w maleńką kuszę. Rizzo nosił oczywiście taki sam strój oraz zaopatrzony był w identyczne akcesoria. Przez pierwszy tydzień wszystko przebiegało dobrze. Pogoda była doskonała i rejon kręcenia zdjęć obfitował w sporą ilość rekinów. Kiedy opuszczono klatkę z manekinem pod wodę, można było sfilmować te zwierzęta wyraźnie węszące wokół niej i to nawet w sposób wyglądający dość groźnie oraz rzucające się żarłocznie na potężne kawały mięsa końskiego, które użyto w charakterze przynęty. Rizzo jednak wyraźnie nie był w formie, prawdopodobnie jego organizm źle reagował na szczepionki, które mu zastrzyknięto. Gdy nadeszła jego kolej, wszedł do klatki i uważnie, chyba nawet z pewną obawą, przyglądał się jej konstrukcji. Klatka była zrobiona z grubych, solidnych prętów z dobrze hartowanej stali, wydawało się więc, że Rizzo nie powinien się niczego obawiać. Rozpoczęła się faza zanurzania. Początek był pomyślny.

Taylorowie w innej, specjalnie przystosowanej dla nich klatce, znajdowali się już na swym posterunku i uzbrojeni w kamery z napięciem oczekiwali momentu pojawienia się pierwszego białego rekina. Nie czekali długo. W pewnej chwili pojawił się spory, ważący chyba kilkaset kilogramów osobnik, który natychmiast zaatakował klatkę. Uderzenia są niezwykle silne, klatka zachowuje się jak huśtawka. Nagle, po jednym z takich wściekłych ataków żarłacza Rizzo traci regulator umożliwiający mu kontrolowanie dostępu powietrza i ogarnięty paniką zapomina jak należy odfiltrowywać wodę ze swojego aparatu tlenowego, myśli tylko o tym, że jest otoczony kilkuset kilogramami wygłodniałego rekina.

Powietrze z aparatów tlenowych Rizza gwałtownie uchodzi. Uruchamia więc sygnał alarmowy, który wyraża jego błagalną prośbę: „Natychmiast mnie wyciągnijcie". Technicy na statku spełniają ją zresztą z nie mniejszym zapałem. Ale klatka jest ciężka i operacja staje się skomplikowana. Rizzo nie powinien bać się rekina, pręty klatki doskonale go przed nim chronią, ale największym niebezpieczeństwem jest w tej sytuacji brak powietrza. Wreszcie udaje się odwrócić uwagę rozjuszonego zwierzęcia i Rizzo ogarnięty szokiem, ale nietknięty ukazuje się na powierzchni. Jego szczęście polegało na tym, że nie zabrakło mięsa końskiego.

Po tej przygodzie trzeba było rozpocząć na nowo kręcenie tych ujęć. Ale pogoda nie była już tak dobra, jak na początku, były natomiast trudności ze znalezieniem rekinów. Ekipa kieruje się więc ku cieśninie zwanej Dangerous Reef (Niebezpieczna Rafa). Rizzo w stroju płetwonurka znów opuszcza się pod wodę. Czuje się zagrożony. Wielki biały rekin pojawia się w okamgnieniu. Jest głodny. Ale Rizzo tego nie widzi. Znajduje się bowiem poza klatką. Rekin natomiast kieruje się ku niej. Nie czeka, aż krzyk asystenta: „obróć się" zwróci nań uwagę Rizza. Ten jednak w ostatniej chwili dostrzega niebezpieczeństwo. Próbuje wejść do klatki, od góry. Rekin przyśpiesza. Silne cięcia zębów. Drapieżne uderzenie ogona i Rizzo zostaje dosłownie wyrzucony jak z katapulty poza obręb klatki w kierunku statku. Jego miejsce w klatce zajmuje rekin. Zwierzę wściekle szamoce się w podwodnej pułapce, siejąc spustoszenie. Waży chyba jakieś 750 kilogramów. Dysponuje ogromną siłą. Może zabić szybciej niż mgnienie oka. Grube stalowe pręty klatki wyginają się jakby były z plasteliny. Tymczasem na powierzchni nikt nie wie czy Rizzo jest wewnątrz klatki czy nie. Jeśli jest, to wydaje się być raczej więcej niż pewne, że zostanie rozszarpany i pożarty przez rozwścieczone zwierzę. Jeśli go tam nie ma, to i tak jest stracony. W każdym razie zabraknie mu powietrza, jako że jego butle tlenowe nie mają przecież niewyczerpanych zapasów. Na szczęście rekin uwalnia się z pułapki nie zabijając nikogo. Klatka jednak poważnie ucierpiała i po wyciągnięciu jej na powierzchnię okazało się, że jest niemal doszczętnie rozbita. Po chwili pojawił się również Rizzo. Był cały i zdrowy, jeśli nie liczyć szoku, jakiego doznał pod wodą. Później nurkował jeszcze kilkakrotnie, ale pewnego pięknego dnia, kiedy znów miał zejść pod wodę, okazało się, że przepadł bez śladu. Poszukiwania początkowo nie dawały żadnego rezultatu, choć statek, na którym znajdowali się filmowcy nie był duży. Wreszcie znaleziono go, gdy skulony siedział w dużej skrzyni z kilkoma butelkami alkoholu. Poprzysiągł wówczas, że już nigdy nie da się namówić do nurkowania, ani też nie dotknie żadnej ryby czy skorupiaka.

Jego koledzy z ekipy, którzy zmuszeni byli powrócić do portu z powodu złej pogody, wypłynęli ponownie do rejonu kręcenia zdjęć w tydzień później. Warunki atmosferyczne były jednak niesprzyjające i miejscowi nurkowie nie mogli przystąpić do pracy. Stało się jasne, że więcej zdjęć nie da się nakręcić, nie bowiem nie zapowiadało poprawy pogody. Trzeba było zatem powrócić z tym, co dotychczas zrobiono. Taki był koniec „epizodu australijskiego", którego Rizzo chyba nigdy nie zapomni.

W tym samym czasie, kiedy krecono zdjęcia w Australii, Joe Alves z pasją przystąpił do pracy nad projektem rekina. Przede wszystkim było wiadome, że model żarłacza nie powinien niczym różnić się od prawdziwego osobnika. Jego wygląd musiał być na tyle groźny, aby wywoływał u widzów dreszcz strachu. Również pod względem sprawności nie mógł on ustępować wielkiemu białemu rekinowi, aby oglądający film nie poznali, które sceny były kręcone z autentycznymi osobnikami, a w których występował model. Technicy hollywoodzcy znani byli wprawdzie z tego, że potrafili dokonywać cudów, ale tym razem czekało ich wyjątkowo trudne zadanie. W wytwórni „Universal" dla nikogo nie ulegało wątpliwości, że jedynym specjalistą, który potrafi sprostać jest Bob Mattey, lecz właśnie przeszedł on na emeryturę. Postanowiono spróbować, czy nie udałoby się namówić go do podjęcia się realizacji projektu Alvesa. Czterdzieści lat pracy, z tego siedemnaście u Walta Disneya, mówiło samo za siebie. Udało się, Mattey powraca do studia i z miejsca przystępuje do intensywnej pracy. Towarzyszy mu 15 innych specjalistów. Powstaje specjalna pochylnia, na której będzie wznoszony kadłub rekina. Ma on mierzyć blisko 8 m długości i ważyć ok. 12 ton. Inwestycja ma kosztować około 2 milionów dolarów.

Tymczasem Benchley pracuje już nad trzecim scenariuszem i to nierzadko razem ze Spielbergiem. W pokoju hotelu Bel Air często więc ujawniają się różnice zdań między pisarzem a reżyserem odnośnie literackiej i filmowej koncepcji „Szczęk". Dodatkowym problemem, przed którym stanęli realizatorzy jest również wybór miejscowości kąpieliskowej, gdzie można byłoby nakręcić pozostałe sekwencje filmu. I to także nie jest łatwe. Trzeba bowiem poszukać miejscowości, gdzie morze niedaleko brzegu byłoby odpowiednio głębokie, ok. 8 do 12 metrów, a dno piaszczyste. Najlepiej, aby była to osłonięta zatoka, z dobrą widocznością. Przypływy i odpływy powinny być raczej słabe. Poza tym realizatorom zależało, aby owe wymarzone miejsce znajdowało się niezbyt daleko od kompleksu hotelowego i było oddalone od niego o jakieś 45 minut jazdy samochodem. Długo analizowano mapy świata, studiowano wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Azory, plaże afrykańskie. Wybór był trudny. Benchley proponował Long Island w Nowym Jorku, ale nie odpowiadała ona warunkom realizatorów filmu. Podobnie jak Capę Cod, Rhode Island czy wybrzeża Nowej Anglii. Wreszcie decyzja zapadła — Martha Vineyard, śliczna, mała miejscowość, piękne, piaszczyste plaże, umiarkowane przypływy, a więc wszystko, o czym marzono.

W okresie lutego i marca 1974 roku rozpoczęto więc intensywne przygotowania do wyprawy ekipy filmowej na tę piękną wysepkę Nowej Anglii. Trzeba było się spieszyć, każdy dzień kosztował drogo, ekipa zaś liczyła kilkadziesiąt osób, a budżet, jakim Zanuck i Brown dysponowali jeszcze na kręcenie filmu, wynosił zaledwie 3,5 miliona dolarów. Oznaczało to ok. 55 dni pracy zespołu nr 2, z tego 35 na lądzie, a 20 na morzu. 500 tysięcy dolarów pochłonęły już wydatki na zdjęcia w Australii oraz dotychczasowe koszty związane z pracą zespołu **Boba Matteya.** Teraz jednak miały być one znacznie większe, trzeba bowiem opłacić aktorów, którzy zagrają czołowe role w tym filmie. Wiadomo było od początku, że muszą to być gwiazdy, znane gwiazdy, a wiadomo również, że cena ich jest wysoka. Padają nazwiska **Paula Newmana, Roberta Redforda, Steve'a McQueena, Sterlinga Haydena czy Charltona Hestona** oraz nie mniej wybitnych aktorów. Kto z nich zechce przyjąć ofertę realizatorów, by zagrać rolę jednej z głównych postaci „Szczęk". A ról tych jest kilka. Młody naukowiec, ichtiolog **Matt Hooper,** człowiek o ujmującym sposobie bycia, jego przeciwieństwo — Quint, szyper, który poluje na rekiny powodowany żądzą zemsty i zyskiem czy wreszcie szef policji, człowiek, który próbuje podjąć walkę z zagrażającym kąpielisku niebezpieczeństwem, a jednocześnie prowadzi nie mniej dramatyczne zmagania z władzami miejskimi. Reżyser, autor scenariusza i producenci rozważają różne warianty obsady aktorskiej. Według nich Hooper to rola dla Richarda Dreyfussa, zaś Quint to Sterling Hayden. Czy jednak podejmą się tych ról? Rezultat pertraktacji jest połowiczny — Dreyfuss, acz z zastrzeżeniami wyraża zgodę, Sterling Hayden odmawia, gra akurat w innym filmie. Ale oto na planie pojawia się postać Roberta Shawa, Irlandczyka, który bardzo dobrze pasuje do roli Quinta. Jedyny problem to jego akcent, zupełnie nieamerykański. Ale i ten problem zostaje jakoś rozwiązany i oto 29 kwietnia 1974 roku ekipa filmowców ląduje na Martha Vineyard.

Tak oto rozpoczęła się ostatnia faza kręcenia „Szczęk", faza niewątpliwie najważniejsza, a zarazem najtrudniejsza. Cała, licząca około sześćdziesięciu osób ekipa, wraz z tonami sprzętu, kablami telefonicznych, elektrycznych, kilometrami taśmy filmowej przystąpiła od razu do urządzania się na wyspie. Kwatera główna mieściła się w wielkim hotelu należącym do kompleksu Edgartona. Tam właśnie ulokował się Spielberg, jego asystent Ric Fields oraz gwiazdorzy: Robert Shaw, Richard Dreyfuss, Roy Scheider i inni. Od momentu przyjazdu praca ruszyła pełną parą. Spielberg analizował scenariusz adaptując go do warunków filmu, Joe Alves rozwiązywał niełatwe problemy zaprojektowania odpowiednich dekoracji. Trudności nastręczało zwłaszcza wykonanie domu łowcy rekinów, Quinta, ale dyrektor artystyczny z pasją je pokonywał. Nie tylko zresztą takie problemy miał na głowie. Musiał także z nie mniejszą pasją walczyć o fundusze na realizację swych „dzieł" z wytwórnią „Universal", której dotacje raczej nie były zbyt hojne.

Pod koniec czerwca zakończono kręcenie „lądowych" sekwencji filmu z wyjątkiem dwóch. Zresztą z winy realizatorów. Wszyscy tak byli przyzwyczajeni do klimatu kalifornijskiego, iż zupełnie zapomniano, że na Wschodnim Wybrzeżu woda w morzu jest zimna aż do lipca. A tymczasem filmowcom potrzebna była plaża pełna opalających się i zażywających kąpieli. W tej sytuacji zadecydowano więc, że trzeba poczekać na bardziej sprzyjające warunki atmosferyczne we wrześniu. Niemałych kłopotów nastręczyło też nakręcenie innej sceny, ze złowionym po pożarciu chłopca wielkim białym rekinem, którego sekcję miał przeprowadzić Hooper. Rybacy z Martha Vineyard nie potrafili upolować tak dużego osobnika, a czas naglił. Wreszcie udało się go dostarczyć z Miami i przywieźć na wyspę dzięki przedsiębiorczości Gilmore'a, który przysłał w tym celu specjalny samolot odrzutowy. Ładunek doszedł na miejsce dosłownie w ostatniej chwili, jako że ten rodzaj ryby psuje się niesłychanie szybko.

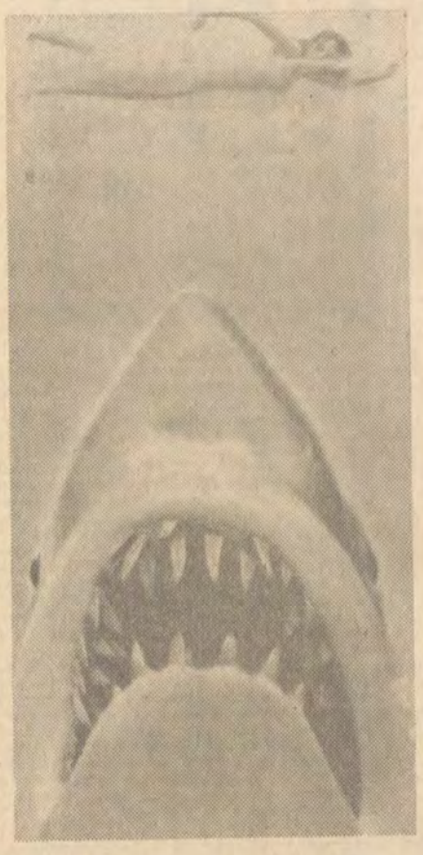

Tymczasem Mattey w pocie czoła wykańczał model swego rekina. W ogromnych hangarach w San Fernan do Valley powstała prawdziwa fabryka z najróżniejszymi maszynami. Na pytanie Spielberga, Zanucka czy Browna, kiedy będzie gotów, Mattey nieodmiennie odpowiadał: „kiedy tylko zechcecie".

Zresztą nie chodziło tu o jednego rekina, a o trzy, tzn. jednego całego i dwie połowy: prawą i lewą, które miały być wykorzystywane w zależności od ujęcia danej sekwencji. Obie części umieszczono na specjalnych podwodnych konstrukcjach i, aby symulować pływanie rekinów konstrukcje te musiały być przesuwane po szynach ułożonych na dnie i wykonanych ze specjalnego materiału. „Cały" rekin przypominał właściwie kadłub okrętu podwodnego i wykonany był z metalu oraz tworzywa sztucznego. Wewnątrz znajdował się cały mechanizm z masą rur, dźwigni, tłoków, kabli, przewodów itd.

Podczas podwodnych manewrów rekin był obsługiwany przez płetwonurków, którzy poruszali odpowiednie dźwignie, zwłaszcza podczas otwierania i zamykania paszczy, a także regulowali szybkość i sterowali modelem. Jego szkielet pokryty był „skórą" z pianki neoprenowej i poliuretanowej. Zanim osiągnięto oczekiwany efekt, Mattey musiał przeprowadzić wiele skomplikowanych prób. We wnętrzu owego kadłuba znajdowało się około 30 tłoków, służących do sprężenia powietrza, a także kilka silników przeznaczonych dla ruchomych części rekina. Ciężar modelu był tak obliczony, aby rekin wystawał częściowo nad powierzchnię wody, ale mechanizmy pneumatyczne powodowały stały ruch sprężonego powietrza, wskutek czego nie było mowy o jednakowym poziomie zanurzenia. Znaleziono na to sposób umieszczając pod jego brzuchem zbiorniki powietrza. Ledwie się z tym uporano, a już pojawiła się nowa trudność. Skóra rekina, która nie nastręczała żadnych problemów w Kalifornii, w klimacie Vineyard okazała się do niczego. Przez ponad miesiąc Mattey próbował temu zaradzić i w rezultacie data rozpoczęcia zdjęć musiała ulec przesunięciu o dwa tygodnie.

Wreszcie 1 lipca cała maszyneria, jak również „Orca", statek Quinta, oraz kamery były gotowe do akcji. Każdy chyba z tysiąc razy przećwiczył czynności, jakie trzeba było wykonać. Rankiem wyruszono więc w morze. Nadeszła godzina „O", i nagle nowy kłopot: kadłub rekina zaczął się niebezpiecznie przechylać na jedną stronę. Okazało się również, iż model wynurzył się z wody z ogromnym otworem w przedniej części. Wszystko na nic. Mattey znów musi zakasać rękawy. Przerwa w zdjęciach trwa aż do października. Kiedy wreszcie realizatorzy przystępują do pracy, nowa kłoda wali im się pod nogi. Tonie „Orca". Wydobyto ją, ale jest poważnie uszkodzona, trzeba więc wrak przetransportować do nowojorskiego atelier, aby tam załatać jakoś poszycie kadłuba. I znów dzielny Mattey okazuje się fenomenem.

Wreszcie, po wielu perypetiach, zdjęcia zostają wznowione. Verna Fields, kierująca ich montażem, przystępuje do akcji. W tym czasie wszyscy już wiedzą, że książka Benchley'a zrobiła furorę. To ostatnie stadium realizacji „Szczęk" obfituje jeszcze w wiele momentów pełnych napięcia i grożących fiaskiem całemu przedsięwzięciu. Mimo to jednak po kilku miesiącach pracy non stop udaje się doprowadzić dzieło do końca. Wszyscy są już skrajnie wyczerpani, ale zadowoleni. Teraz pozostała już „obróbka" materiału zdjęciowego, przeprowadzenie końcowego montażu zdjęć i oczekiwanie na premierę — a wówczas okaże się, czy będzie to także fantastyczny sukces, czy też kompletne fiasko. Ostateczny efekt widzowie mają możność ocenić na ekranach kin.

Opracował: A. B.

ARY STERNFELD W NAŁĘCZOWIE

Dalszy ciąg ze str. 1

Tymczasem nic z tych rzeczy. Okazało się, że profesor Ary Sternfeld nie jest typem uczonego, jaki sobie zazwyczaj wyobrażamy, rozprawiającego tylko i wyłącznie o swojej dziedzinie wiedzy.

Dostojny wiek i zaiste imponująca, patriarchalna broda dodawały mu powagi i onieśmielałyby rozmówcę gdyby nie ujmujący sposób bycia, sprawiający, iż zapominało się, że to wielki uczony, a z przyjemnością gawędziło się jak z dobrym znajomym albo wręcz z bliskim krewnym. To nie tylko wielki uczony, to przede wszystkim serdeczny, życzliwy człowiek.

Po przemiłym powitaniu zachęcił mnie: proszę mi zadawać pytnia, ja odpowiem na nie i tak powstanie «interwiew».

Zachęcony w ten sposób zadawałem pytania, nie kilka, a kilkaset pewno i żadną miarą nie uda się naszych długich rozmów zamknąć w ramach wywiadu. Były to serdeczne rozmowy, profesor również pytał, ale przede wszystkim opowiadał o bardzo ziemskich, zwyczajnych, codziennych sprawach, opowiadał nader zajmująco. O swoim życiu, o swojej „drodze do gwiazd" (nomen omen, bo przecież dosłowne tłumaczenie nazwiska Sternfeld znaczy pole gwiazd lub pole bitwy o gwiazdy).

Bardzo, bardzo dużo miejsca zajęły wspomnienia o Łodzi dzieciństwa i młodości, o Łodzi początku jego kariery naukowej.

Urodził się co prawda w Sieradzu 14 maja 1905 r., ale już w roku 1915 przeniósł się z rodzicami do Łodzi, tu uczęszczał do szkoły, tu ukończył gimnazjum. Uczony doskonale pamięta swoje gimnazjum. Od razu rozpoznał je na wykonanym przed paroma tygodniami zdjęciu, które mu pokazałem. Rozpoznał je tym łatwiej, że przedstawiało szkołę od strony dziedzińca, z charakterystyczną wierzbą płaczącą, tą samą i prawie taką samą jak przed pół wiekiem. Dziś jest to też szkoła, choć zupełnie inna — jest to najstarsza w Łodzi podstawowa szkoła specjalna przy obecnej ulicy Mariana Buczka 21.

Doskonale też pamięta dom, w którym mieszkał z rodzicami w Łodzi przy ówczesnej Cegielnianej 12, a późniejszej Śródmiejskiej 21. Dom stoi do chwili obecnej przy ul. Więckowskiego 21.

Pamięta doskonale nawet rozkład mieszkania, w którym w latach 1932—33 pisał „Wstęp do Kosmonautyki". Opisuje ze szczegółami, a córce, która na początku bieżącego roku odwiedziła Łódź narysował z pamięci dokładny plan domu, wejście z lokalizacją, plan zgodny z rzeczywistością we wszystkich szczegółach.

W rozmowach tych brała żywy udział, wtórując, skromnie chcąc pozostać w cieniu — nieoceniony pomocnik — żona Ilza, też łodzianka, bo mimo, że urodziła się w Zduńskiej Woli to już w piątym roku życia przeniosła się z rodzicami do Łodzi, mieszkając cały czas w domu przy obecnych Al. Kościuszki 27. Szkołę podstawową i średnią kończyła podobnie jak Ary Sternfeld w Łodzi i podobnie też rozpoczęła studia wyższe poza Łodzią (w Politechnice Gdańskiej), gdyż Łódź wówczas, ale i do 1939 r., nie miała wyższej uczelni z prawdziwego zdarzenia. W odpowiadaniach uzupełniali się wzajemnie i jaki miły był to dwugłos, ileż ciepła wyczuwało się we wzajemnych żartobliwych przekomarzaniach.

Rozmowy cały czas toczyły się w języku polskim, którym obydwoje władają swobodnie mimo tylu lat spędzonych poza Polską. Nie ma w tym nic dziwnego gdyż Ilza Sternfeld przez wiele lat pracowała w Polskiej Rozgłośni Radia Moskiewskiego. Natomiast drobne potknięcia językowe u Ary Sternfelda dodawały tylko uroku jego wypowiedziom.

I tak oscylowałem pomiędzy chęcią możliwie wnikliwego poznania tego ciekawego człowieka i utrwalenia jak największej sumy wiedzy o nim a koniecznością uszanowania stanu jego zdrowia i wymogów leczenia sanatoryjnego.

Ary Sternfeld wspomina jak w młodości, w dni wolne od nauki, chodził pieszo do Zgierza, do Pabianic i innych podłódzkich miejscowości nie tylko po to aby poznać te miasta, bo wówczas łatwiej byłoby dojechać elektrycznym tramwajem podmiejskim (kursowały od stycznia 1901 r.), ale w ten sposób odpoczywał.

Jakże kontrastująco w świetle tych zwierzeń brzmią wyrzuty, niemal skargi żony i córki, że uczony nie chce odpoczywać, nie można go ubłagać aby wyjechał poza miasto, czy wyszedł tylko na spacer na przykład z wnukami, a wnuki bardzo kocha.

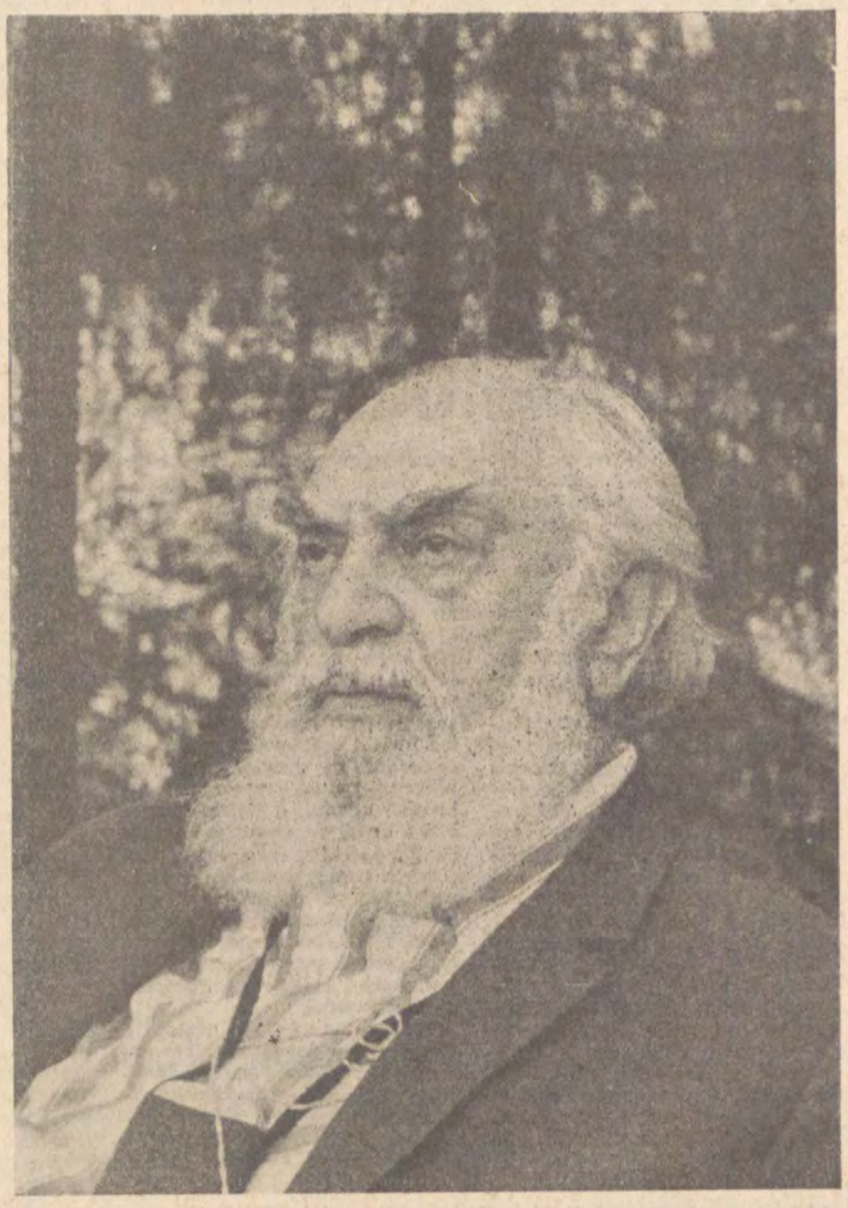

Foto: M. Wojalski

Wakacje natomiast spędza na wędrówkach po całym kraju, ale szczególnie w górach. W ten sposób poznał Tadeusza Banachiewicza, dyrektora obserwatorium astronomicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Koniecznie chciał poznać obserwatorium astronomiczne, a stało się to dopiero wtedy, gdy wykazał się przed Banachiewiczem dobrą znajomością astronomii. (Dziś natomiast astronomia praktyczna niewiele uczonego interesuje i z rzadka obserwuje sputniki na niebie, natomiast żona Ilza jest specjalistką w obserwacji sputników).

Z Krakowa powędrowali z kolegą do Zakopanego pierwszy raz w góry i wędrowali po nich bez przewodnika — nawet na Giewont wdrapali się niemal bez zatrzymywania. I od tamtych to czasów uczonemu podobają się najlepiej góry, a nie morze. Podczas następnych wakacji również wędrował po górach, a potem we Francji po studiach chadzał w Alpy. Na wędrówki te zarabiał w ciągu całego roku, między innymi korepetycjami. We Francji natomiast wakacje przeznaczał na pracę zarobkową aby móc studiować. Pracował między innymi jako tragarz w paryskich Halach, jako tokarz w zakładach Renault i w innych podobnych ciężkich zawodach.

Często przeskakiwaliśmy z tematu na temat, z epoki w epokę i oto usłyszałem jak we wrześniu 1967 r. idąc ze znajomym ulicą Piotrkowską odczuł silne zmęczenie, a ponieważ przechodzili obok Salonu Wystaw Fotograficznych Łódzkiego Towarzystwa Fotograficznego, wstąpili tam aby usiąść i odpocząć. Kontynuowali przy tym rozmowę, ale po chwili zwróciło ich uwagę dziwne zachowanie się zwiedzających. Okazało się, że zdumiewającym zbiegiem okoliczności była to wystawa Ewy Ulikowskiej „Głowy «Polityki»", a Ary Sternfeld usiadł pod własnym portretem. Fotografa przy tym nie było!

I można tak dalej snuć niemal w nieskończoność perełki z życia tego wielkiego, a skromnego i ujmującego swoim zachowaniem uczonego. Jednej wizyty na to nie wystarcza. Byłoby dobrze gdyby sam Ary Sternfeld miał okazję podzielić się z łodzianami szczególnie młodymi, swoimi wspomnieniami, swoją „drogą do gwiazd", a spotkania takie odbywa chętnie. Byłem właśnie świadkiem takiego zaimprowizowanego spotkania Ary Sternfelda z młodzieżą w parku sanatoryjnym. Grupa młodzieży z zaciekawieniem przyglądała się niecodziennej postaci człowieka, który siedząc na ławce pisał coś zawzięcie w grubym brulionie, nie zwracając w tym momencie uwagi na otoczenie.

W tej samej chwili i ja znalazłem się w tym miejscu, a widząc zainteresowanie młodzieży spytałem czy wiedzą kogo obserwują. Okazało się że nie. Na pytanie zaś czy znają Ary Abramowicza Sternfelda odpowiedzieli, że owszem, słyszeli ale nie znają i skwapliwie skorzystali z tej niecodziennej okazji, aby w gościnnej Polsce poznać znakomitego uczonego radzieckiego. Pikanterii opisanemu wydarzeniu przydaje fakt, że rozmowa odbywała się w języku rosyjskim, a moimi rozmówcami byli studenci Uniwersytetu Przyjaźni Narodów im. Patrice Lumumby z Moskwy, goszczący aktualnie w Lublinie na Uniwersytecie im. Marii Skłodowskiej-Curie w ramach wymiany studentów i odbywający w niedzielę autokarową wycieczkę po pięknej ziemi lubelskiej.

Ary Sternfeld z ożywieniem rozmawiał z tą młodzieżą w języku rosyjskim, a również i po francusku.

Gdy mówiliśmy o Łodzi w każdym momencie mój uroczy rozmówca wiedział lub szybko sobie przypominał o jakich obiektach mówię, jeśli tylko były za jego czasów. Tak było i z Muzeum Historii Miasta Łodzi w dawnym pałacu Poznańskiego, choć zmieniło się dość zasadniczo otoczenie tego pałacu w ciągu 40 lat. A sprawa jest o tyle istotna, że profesor Ary Sternfeld docenia Łódź jako kolebkę jego działalności naukowej — wiemy przecież, że tu w Łodzi właśnie, w latach 1932—33, powstało główne dzieło jego życia „Wstęp do Kosmanautyki", a w latach gimnazjalnych kształtowały się jego przyszłe naukowe zainteresowania i dlatego Ary Sternfeld pragnie ofiarować Łodzi, łodzianom za pośrednictwem Muzeum Historii Miasta dokumenty, książki stanowiące jego dorobek naukowy.

Żałuje, że nie może przekazać całego swojego archiwum z okresu łódzkiego pozostawionego w domu rodziców (obecnie Więckowskiego 21). W archiwum tym znajdowały się między innymi listy pioniera astronautyki, Konstantego Ciołkowskiego. Sternfeld prowadził z Ciołkowskim ożywioną korespondencję podczas zbierania materiału do swej klasycznej pracy „Wstęp do Kosmonautyki". Notatki Sternfelda z okresu pracy nad tą książką również pozostały w Łodzi.

Przechowywali je rodzice uczonego, zamieszkali przy ul. Śródmiejskiej 21. Kiedy Niemcy wysiedlili mieszkańców domu, archiwum Sternfelda zabrane zostało prawdopodobnie przez rodzinę uczonego do łódzkiego getta.

Nie sposób ustalić, w jakich okolicznościach odbywało się wysiedlenie rodziny Sternfelda, ponieważ nie ocalał prawie nikt z jej członków. Nie wiadomo też, jakie później były losy archiwum Sternfelda. Być może listy Ciołkowskiego i notatki Ary Sternfelda dostały się w ręce osób trzecich i przetrwały wojnę?

Obecnie przy ul. Więckowskiego 21 (dawna Śródmiejska) w Łodzi zamieszkują wyłącznie powojenni lokatorzy. **A może ktoś z naszych czytelników pomoże w tej sprawie, przyczyni się do odnalezienia archiwum wybitnego uczonego?**

Muzeum Historii Miasta Łodzi na pewno wykorzysta ten cenny dar znakomitego uczonego — laureata dwóch międzynarodowych nagród astronautycznych i innych wyróżnień.

Będzie to zaszczytem i splendorem dla Łodzi i łodzianom przybliży postać Ary Sternfelda, bo jak dotąd nie jest ona zbyt dobrze znana, mimo że uczony po dziś dzień ciepło wspomina zatłoczoną salę Biblioteki Uniwersyteckiej w Łodzi, gdy wygłaszał 19.IX.1967 odczyt o meteorycie tunguskim o frapującym tytule „Alibi statku kosmicznego". Ciepło też wspomina swoje zmęczenie, gdy rozdał kilkadziesiąt autografów.

Pobyt w sanatorium okazał się korzystny. Ary Sternfeld wypoczął, poprawiło się ciśnienie, ustąpiła senność, na początku pobytu miał trudności z chodzeniem, a teraz spaceruje swobodnie po parku zdrojowym i cera mu się poprawiła.

Było to niewątpliwie wynikiem zabiegów leczniczych i właściwej opieki lekarskiej. A dr Maria Wnukowska troskliwy dyrektor sanatorium codziennie kontrolowała stan zdrowia obojga kuracjuszy, obwieszczając triumfalnie pomyślne komunikaty.

Uczony snuje plany dalszej swojej działalności. Pragnie zebrać w całość rozrzucone po całym świecie, w wielu krajach drukowane prace: książki i artykuły.

Na ukończenie też czeka książka, w której porównane będą na jednej stronie po lewej przewidywania drukowane w dawnych pracach, a po prawej, ich realizacja. W tym co już zestawione uderza zadziwiająca zgodność! Np. wrażenia kosmonautów wyrażone są w taki sposób jakby cytowali teksty Ary Sternfelda.

Byłby jednak już chyba czas napisać książkę o samym uczonym i mimo, iż obecnie wydano już tyle biografii znakomitych, żyjących ludzi, byłaby to, sądzę, nader pasjonująca lektura.

MIROSŁAW WOJALSKI

Foto: M. Wojalski

magazyn

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

OGŁOSZENIA DROBNE

Nie doceniamy drobnych ogłoszeń, zamieszczanych w gazetach codziennych. Smutne, ale prawdziwe. Owszem, czytają ogłoszenia drobne bezpośrednio zainteresowani, którzy chcą coś kupić, sprzedać, wynająć, zamienić, albo znaleźć pomoc domową za jedyne półtora tysiąca z wiktem i opierunkiem. Jest to wszakże czytanie pragmatyczne, wąskie, dalekie od poważnych wniosków i koniecznych przecież w naszym życiu umysłowym uogólnień.

Czytelnik umie czytać między wierszami, domyśla się, wnioskuje na podstawie tego, co nigdy nie zostało napisane, ćwiczy więc umysł przy lekturze. Tylko ogłoszenia drobne z reguły pomija, jeżeli nie jest sam zaangażowany w rubryki — sprzedam, kupię, zamienię.

Mam przed sobą jeden z niedzielnych egzemplarzy poważnego dziennika stołecznego — „Życie Warszawy", a w nim dwie bite, zadrukowane drobnym petitem kolumny ogłoszeń drobnych — krajowych. Znakomita lektura, pouczająca, która — co więcej — umożliwia wyprowadzanie wniosków ogólnych. Jakże bogaty jest nasz rynek wzajemnych propozycji! Nigdy nie przypuszczałem, że tyle atrakcyjnych rzeczy można u nas kupić. Chociażby miejsce w samochodzie marki fiat do Turcji albo Francji, czy miejsce w mercedesie do Bułgarii, oferowane z reguły przez kulturalnych panów. Między wierszami można bez trudu wyczytać, że młode blondynki, brunetki a pewnie i szatynki otrzymają duże zniżki za podnoszenie kultury towarzyskiej i działalność na polu szybkiego zbliżenia pomiędzy ludźmi.

No, ale żarty na bok, pomówmy poważnie o ogłoszeniach drobnych. Na pierwszy plan wysuwa się zdecydowanie czar czterech kółek. Trudno doprawdy rozumieć ten głód, to wyczekiwanie latami pod wydziałami komunikacji na własne gabloty, kiedy na wolnym rynku tyle ich można kupić. W omawianym numerze znalazłem 43 oferty. Kilka gatunków fiatów, mercedesy, wołgi, volva, citroeny, syreny, trabanty, wartburgi, ople, fordy, zastawy, skody, austiny, moskwicze, simki, zaporożce, do wyboru, do koloru i często — jak zapewniają oferenci w bardzo dobrym stanie i po przystępnych cenach. Można, jeśli ktoś ma większe wymagania, kupić ciągniki Ursus lub też zamienić je na fiata, można kupować samochody ciężarowe z przyczepami, bez przyczep i same przyczepy, wedle woli klienta. A ileż na kupca czeka części samochodowych! Progi, tłumiki, wschodnie, zachodnie i środkowoeuropejskie, podsufitki z dermy, cylindry, błotniki, karoserie, reflektory, bloki, ramy, kabiny, dyferencjały, a nawet gotowe numery rejestracyjne. Duży ruch, elastyczne zaopatrzenie.

Podobnie mają się rzeczy z psami z tym wszekże miłym zastrzeżeniem, że ogłoszenia drobne tyczą już tylko najwybitniejszych czworonogów z wyjątkowo cennym pochodzeniem. Arystokratycznym — jak można między wierszami wyczytać, dosłownie zresztą też. Oto typowe ogłoszenie: „Dogi po arlekinach championach międzynarodowych złotych medalistach oraz cocker-spaniele po Cacibie Camp międzynarodowym zwycięzcy do sprzedania". Ponieważ to ogłoszenie nie powtórzyło się więcej można sądzić, że nabywcy znaleźli się natychmiast. Cóż dużo mówić medaliści na czterech nogach są cenniejsi od medalistów na nogach dwóch, a pochodzenie, to dobre, mówiąc między nami, zawsze się liczy.

Lektura ogłoszeń drobnych rzuca wymowne światło na istne bogactwo asortymentów, nie jest więc tak źle, jak się czasem pisze na pierwszych stronach nie zaglądając do ostatnich. Można nabywać aparaty dziewiarskie dwupłytowe, łożyskowe, motorówki hydroodrzutowe, włoskie aparatury vocalowe „Montarbo", czy kalkulatory wieloczynnościowe. No, ale nie każdy klient idzie tak szybko z postępem i nie każdemu są akurat potrzebne trzy kotły parowe, albo duża łódź żaglowa. Oferenci biorą to pod uwagę. Bogatsi klienci mogą kupować pierścionki platynowe z brylantami, mogą też kupić sobie kawiarnie na chodzie wraz z pracownią lodów i bilardami elektrycznymi i to w Warszawie, a jeżeli nie, to traktorek trzykołowy, ale koniecznie ze złotym łańcuszkiem do tego i telefonem. Dla mniej zamożnych pozostają także atrakcyjne możliwości — nabijacze do naboi, szwedzkie palniki, komplet do malucha „Michelin", drzwi garażowe pochylne, suknie ślubne, 50 metrów zapewne kwadratowych klepki dębowej, albo wapno palone. Wybór olbrzymi, obejmuje artykuły gumowe, ogrodnicze, rolnicze, tekstylne, i jakie chcecie. Wymieniłem tylko maleńką część, ale i tego starczy, żeby się przekonać jak bardzo są szanowane rozmaite gusty i potrzeby.

Bogaci się także asortyment ofert w dziedzinie kultury, co musi cieszyć, świadczy bowiem o tym, że nie żyjemy samym chlebem. Z tradycyjnych ogłoszeń warto przypomnieć oferujące organy Hammonda, dziczki róży multiflory i goździki holenderskie tak bardzo podnoszące poziom naszego życia imieninowego i w ogóle pozazebraniowego. Pewną nowością są sekretery z epoki Ludwika XVI, naliczyłem ich cztery w jednym numerze, przede wszystkim jednak cenne obrazy. Można kupić — na przykład — obraz świętego Huberta pędzla znanego malarza, następnie „Śmierć Przemysława II" pędzla Józefa Simmlera w dużym rozmiarze, a także kilka obrazów mistrzów szkoły holenderskiej. Tego rodzaju oferty zdają się świadczyć o wystarczającym wyposażeniu naszych muzeów, sklepów „Desy", no i przede wszystkim — rosnących potrzebach indywidualnych kulturalnego typu na bieżącym etapie.

Ogłoszenia drobne dają dość precyzyjny obraz ruchliwości obywateli. Wielu z nich, dobrze nawet zagospodarowanych, nie może usiedzieć na miejscu. „Kawalerkę w Łodzi zamienię na podobną w Warszawie". „Szczecin 3 pokoje, centrum, wygody, zamienię na mieszkanie w Warszawie". „Własnościowe M-3, nowe, telefon, Włocławek, zamienię na podobne w Warszawie". I jeszcze kilkanaście podobnych ogłoszeń z różnych stron kraju. Wskazują one wyraźnie, że wielu obywateli ma już powyżej uszu życia na prowincji i pragnie oddychać wielkomiejskim powietrzem stolicy. Tylko z Krakowa ofert nie znalazłem, ale to nic dziwnego, Kraków od wieków uważa się za prawdziwą stolicę. Obserwujemy jednak równocześnie proces niejako przeciwny. Oto przykłady: „Warszawa, mieszkanie 38 metrów zamienię na domek w Płońsku", „M-3 własnościowe, spłacone, Warszawa, zamienię na domek w stanie surowym lub do remontu". I jeszcze kilka tego rodzaju ogłoszeń. Wskazują one wyraźnie, że wielu obywateli ma już powyżej uszu życia w stolicy i pragnie oddychać czystym małomiejskim powietrzem.

Osobną i zarazem bardzo wzruszającą kategorię stanowią ogłoszenia bezinteresowne w rodzaju: „Posiadam fiata 125, telefon, wolny czas po południu. Oczekuję propozycji". Albo „Posiadam zastawę 1100p oraz dużo wolnego czasu, oczekuję propozycji". Są to bezcenne i moralne propozycje, nie ma w nich nawet cienia zwietrzałych konwenansów, cienia przymusu, obowiązuje absolutnie wolna wola. A wybór bogaty — cortiny, dacie, renody, blondyni, bruneci, łysi i perukarze. Czytajcie uważnie ogłoszenia drobne.

FELIKS RAJCZAK

AFORYZMY

Obróć w niwecz słowo sprawiedliwość — otrzymasz litery prawa.

* * *

Człowiek prosty najczęściej się gnie.

* * *

Nie zaglądaj do kielicha przez mikroskop!

* * *

Budujemy nową wieczność!

* * *

Cóż, zaangażowanie jest swoistą formą walki o byt.

* * *

Życie jest niepoprawnym wciąż więźniem: u c i e k a.

* * *

Zaczynam ziewać w świątyni: czyżby znudziła mnie moa wiara?

ODROBINA PARODII NA CO DZIEŃ

„Demokratyczny savoir-vivre" Jana Kamyczka — „Przekrój"

Wanda Z. z Kielc. „Proszę rozstrzygnąć spór. Mąż mój twierdzi, że jeśli wizyta gości przeciąga się, można ich po prostu wyrzucić za kołnierz z dużym kopniakiem. Ja sądzę, że stosowniej jest tylko powiedzieć „won".

Stanowczo „won", chociaż, jeśli są bardzo zaprzyjaźnieni, można z kopa. Osobiście w takich wypadkach głośno chrząkam, przeciągam się, wreszcie idę spać, zamykając lodówkę i łazienkę na kłódkę i sztaby (w sklepach z żelazem).

Jola z Katowic. „Chłopiec, z którym chodziłam pół godziny, poprosił, żebym dała mu dowód miłości. Co robić?"

Obowiązkowo, droga Jolu — dać. Może wziąć od innej.

Franek z Częstochowy. „Ilekroć jestem w towarzystwie i jem rybę po grecko-cypryjsku (plus szampan „Bulbulazzo"), pogryzając fistaszki, myli mi się, w której ręce trzymać widelec, a w której kieliszek. Jak jest prawidłowo?

Przede wszystkim nie przyrządza się ryb po grecko-cypryjsku, bo grozi to konfliktem politycznym. Kieliszek może pan trzymać oburącz, rybę szarpać zębami, zaczynając od głowy. Daruj pan sobie fistaszki, są rakotwórcze, poza tym szkoda tego szampana przegapiać.

„Alfa i omega" czyli „Podpatrzone — zasłyszane". „Polityka".

Zmieniają się przysłowia uchodzące za mądrości narodów. Do szkoły w Babiniczach Dolnych chodzi blisko dwudziestka malców mieszanej karnacji, o czekoladowych buziach. Mieszkańcy Babinicz Dolnych nie mówią „szukaj wiatru w polu", ale „szukaj taty w buszu".

MARIAN MISZALSKI

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

KALKULATOR

Którąkolwiek z gazet
weźmiesz dziś do ręki,
wśród ogłoszeń znajdziesz
refren tej piosenki:
„Kalkulator sprzedam
wielodziałaniowy"
„Kalkulator z pamięcią"
„Kalkulator nowy"
W komisach aż oczy
bolą od cyferek:
tutaj komputerek
i tam komputerek.
Cóż, wspaniały przyrząd
taki kalkulator!
Myśleć ci pomoże,
gdy masz w mózgu zator!
Poda ci procenty,
obliczy dochody,
lata ci odejmie
i znów będziesz młody,
krzycząc: niech nam żyją
scalone obwody!
Doda ci odwagi
podczas ważnych narad,
dzielić z tobą troski
będzie ten aparat!
Kalkulator z pamięcią
przypomni łaskawie
co mówiłeś do szefa
gdzieś na popijawie!
A tak jeszcze nastawić
go na toto-lotka!
Sześć razy nacisnąć
i swe szczęście spotkać!
A tak jeszcze
biurowe wszystkie kalkulacje
przewidzieć, ustalić,
stwierdzić kto ma rację...
A tak jeszcze
obliczyć na co można liczyć!
Na co i na kogo
i jaką iść drogą?
Ech, kalkulatorek
wielodziałaniowy
to dopiero móżdżek!
Z nim — wszystko masz
z głowy!
I nową maksymę
wygłosisz wnet z gestem:
Ja, nowy Kartezjusz:
NIE MYŚLĘ — WIĘC
JESTEM!

BYŁEM NA TORWARZE

Tylko dwa występy w Warszawie! Transparenty rozwieszono w kilku centralnych punktach stolicy. „Najlepszy show na świecie" — zapewniają plakaty. Gdzieniegdzie widać fotografie z podobiznami członków zespołu. Grupa „Mud" gości w naszym kraju już po raz drugi; zresztą poprzednim razem — w listopadzie ubiegłego roku — widzieliśmy ją w Łodzi, a o przebiegu tego koncertu pisałem na łamach „Odgłosów" parę tygodni później.

Właściwie nie spodziewałem się nawet, że wybiorę się na Torwar, aby zobaczyć „Mud" po raz wtóry, ale w końcu zwyciężyła zwykła ludzka ciekawość: chciałem po prostu przekonać się, czy zmienili od poprzedniego spotkania swój program, a jeśli nie — to jeszcze raz poobserwować te elementy, które składały się na autentyczny show, a których była przecież zbyt wielka ilość, by odnotować wszystkie „od pierwszego wejrzenia". Jednakowoż była jeszcze jedna przyczyna wizyty na Torwarze: tym razem występ „Mud" nie miał być koncertem estradowym sensu stricto. Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe zaprosiły angielską grupę do udziału w zabawie dyskotekowej; a więc muzycy z „Mud" mieli po prostu grać do tańca!

W świecie naszej rodzimej estrady jest to być może dla wielu — szczególnie słabiej zorientowanych — sporym zaskoczeniem z tego względu, że jeszcze do niedawna powszechnie uważało się granie do tańca (nie wspominając już o działalności artystycznej w lokalach gastronomicznych, co na zachodzie Europy i w Stanach Zjednoczonych od lat jest praktykowane przez najlepszych wykonawców, a występy w renomowanych lokalach są nawet formą pewnej nobilitacji) za coś gorszego od pokazywania swego programu na „dużej" estradzie. Teraz, na szczęście, te sztuczne bariery są przełamywane, natomiast jedną z coraz częstszych form prezentowania się publiczności (choć nie może to być jedyny sposób bezpośredniego docierania do widza-słuchacza) są występy popularnych wykonawców, a przede wszystkim — zespołów instrumentalno-wokalnych, w dyskotekach, gdzie stanowią atrakcyjną część „żywą", uzupełniając bloki muzyki mechanicznej serwowanej przez współczesnego wodzireja czyli disc-jockey'a, czy bardziej z polska mówiąc — prezentera. Jednymi z pierwszych w naszym kraju wykonawców, którzy nie obawiali się stanąć przed dyskotekową publicznością, byli „Trubadurzy" z Krzysztofem Krawczykiem, których przed paroma miesiącami usłyszeć można było w warszawskim night-clubie „Nimfa" w specjalnie przygotowanym programie. Konfrontacji z najlepszymi płytami tanecznymi w nowoczesnych rytmach nie obawiali się i inni m.in. Maryla Rodowicz ze swoim zespołem oraz łódzka grupa „No To Co", którą w czerwcu br. oglądałem również w „Nimfie". Na podobnych zasadach wystąpiło w Polsce kilka zespołów zagranicznych m.in. powstała jeszcze w latach sześćdziesiątych angielska grupa „The Troggs".

W letnich, wakacyjnych miesiącach tego roku Zjednoczone Przedsiębiorstwa Rozrywkowe pokusiły się o zorganizowanie w Warszawie „największej dyskoteki w Polsce" (jak głoszą reklamy). Powstała ona w warszawskiej hali sportowej zwanej popularnie Torwarem. Otoczoną drewnianymi bandami taflę lodowiska przykryto specjalną podłogą z desek, która miała stanowić parkiet dla młodocianych amatorów tańca. A tych, jak wiadomo, w okresie upalnego lata w stolicy nie brakuje. Zapewniono również w miarę skuteczne nagłośnienie wnętrza hali oraz czołowych polskich prezenterów, jak choćby Marek Gaszyński czy Zbyszek Niemczycki. Trwający niemal dwa miesiące cykl codziennych wieczornych imprez nazwano „Disco-Show Torwar". I trzeba przyznać, że każdego wieczoru gromadziło się tam sporo młodzieży. Tym bardziej, że parokrotnie organizatorzy zapraszali na Torwar znane zespoły: kilka polskich grup, a także węgierski „Piramis-Rock". Impreza z udziałem „Mud", w początkach sierpnia, miała być ukoronowaniem działalności tej gigantycznej dyskoteki ZPR.

Nim na scenie, zbudowanej również na lodowisku, pojawiła się sympatyczna piątka angielskich muzyków, niezmordowany (jako konferansjer, oczywiście) Andrzej Kossowicz zapowiedział mniej znany ansambl z Czechosłowacji. Produkcje muzyczne naszych przyjaciół z południa nie wzbudziły jednak większego zainteresowania warszawskich nastolatków, którzy z niecierpliwością oczekiwali ukazania się na scenie zespołu zwiastowanego na plakatach — „Mud". Jego wejście poprzedziło kilka minut oczekiwania, gdyż personel techniczny musiał przygotować wszystko, co niezbędne było do realizacji starannie przecież wyreżyserowanego spektaklu. Na chwilę — podobnie, jak to miało miejsce jesienią w łódzkiej Hali Sportowej — wygaszono wszystkie światła, po czym rozległy się fanfary, zabrzmiała zapowiedź, zapalił się zielony neon z nazwą zespołu i potężne kolumny uniosły pierwsze akordy powitalnego utworu. Na moment zagłuszył je krzyk z kilku tysięcy gardeł, a zaraz potem zaczęła się zabawa na całego. Część nabywców biletów (a były one w cenie 100 zł od łebka) usadowiła się na trybunach po przeciwnej stronie i poprzestała na biernym oglądaniu widowiska, które jednak nie przebiegło tak sprawnie, jak wówczas jesienią w Łodzi. Większość widzów tańczyła tymczasem wyprawiając niesamowite wprost harce. Gdy znalazłem się między nimi przechodząc wzdłuż hali, by przyjrzeć się bawiącym, na chwilę straciłem orientację, gdzie się znajduję. Słyszałem tylko ogłuszające wrzask i tupot, dobiegały do mnie strzępy melodii śpiewanej przez pięciu również szalejących — tyle że po estradzie — chłopaków; było w tym tłumie bardzo duszno, a powietrze składało się głównie z tytoniowego dymu. Choć nie tańczyłem ani jednego „kawałka", po godzinie koncertu, po niespełna godzinie przebywania w okolicach parkietu byłem najnormalniej w świecie spocony.

Impreza dobiegła końca. Nieco wcześniej, niż tłum roztańczonej młodzieży, opuściłem Torwar. A kiedy owionął mnie chłodny wiatr znad Wisły, zdałem sobie w tę sierpniową noc sprawę z tego, że byłem przed chwilą świadkiem, ba — prawie że uczestnikiem, najbardziej epatującej młodzież lat siedemdziesiątych rozrywki. Uff! I byłem przez chwilę zadowolony, że do tej młodzieży już się nie zaliczam.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Zam. 1826. R-9. Nr indeksu 26762.